

Aprilynne
Pike
Skrzydka
Laurel

Buty Laurel wybijały radosny rytm, będący całkowitym zaprzeczeniem jej ponurego nastroju. Dziewczyna szła korytarzem szkoły średniej Del Norte pod ostrzałem zaciekawionych spojrzeń.

Nie ma chyba nic gorszego, niż znajdować się w miejscu, w którym najbardziej na świecie nie chciałoby się być. Laurel uważała, że nauka w domu doskonale sprawdzała się w jej przypadku przez ostatnie dziesięć lat, i nie rozumiała, dlaczego nagle musiało się to zmienić. Ale rodzice byli zdeterminowani, żeby zapewnić swojemu jedynemu dziecku wszystko, co najlepsze. Kiedy miała pięć lat, sprowadzało się to do domowej nauki w malutkim miasteczku, w którym wówczas mieszkali. Niestety, teraz, kiedy miała lat piętnaście, oznaczało to naukę w szkole państwowej w nie tak bardzo malutkim miasteczku.

Laurel dwa razy sprawdziła plan, a potem znalazła salę biologiczną i szybko zajęła miejsce pod oknem. Skoro już musi siedzieć w środku, niech przynajmniej ma szansę wyglądać na zewnątrz. Klasa powoli wypełniała się uczniami. Jeden z chłopców uśmiechnął się w jej stronę, przechodząc do przodu, i Laurel zmusiła się do odwzajemnienia uśmiechu. Miała nadzieję, że nie wyglądało to jak grymas.

Wysoki, szczupły mężczyzna przedstawił się jako pan James i zaczął rozdawać książki. Laurel od razu przerzuciła kartki podręcznika. Pierwsze rozdziały wydawały jej się proste – klasyfikacja roślin i zwierząt, to akurat umiała – ale dalsze dotyczyły anatomii człowieka. Wyglądało znajomo, chociaż... jej mama była bardziej botanikiem niż specjalistą w dziedzinie anatomii. Laurel wiedziała już, że będzie miała trochę do nadrobienia. Począwszy od osiemdziesiątej strony, teksty podręcznika zaczęły sprawiać wrażenie, jakby były napisane w obcym języku. Laurel westchnęła pod nosem:

– To będzie długi semestr.

Nauczyciel zaczął czytać listę obecności i Laurel rozpoznała kilka nazwisk z pierwszych dwóch lekcji. Ale i tak czuła, że upłynie jeszcze sporo czasu, zanim będzie umiała dopasować choćby połowę z nich do otaczających ją twarzy. Czuła się zupełnie zagubiona w morzu nieznajomych.

Mama zapewniała ją, że każdy pierwszoklasista będzie czuł się podobnie – w końcu dla wszystkich był to pierwszy dzień w nowej szkole – tylko że nikt inny nie wyglądał na przestraszonego czy zagubionego. Może po prostu po latach nauki w szkole publicznej człowiek przyzwyczaja się do strachu i zagubienia?

W klasie zrobiło się nagle cicho i Laurel usłyszała ponownie własne nazwisko.

- Jestem – powiedziała szybko.

Rozległy się przytłumione parsknięcia i Laurel skuliła się na krześle, oczekując, że nauczyciel będzie wyczytywał kolejne nazwiska z listy.

Tak się jednak nie stało.

- Laurel Sewell? Jesteś córką Jakuba Sewella? – zapytał.

- Nie, mój tata ma na imię Mark. Dopiero się tu przeprowadziliśmy.

Zaczęła wiercić się na krześle pod baczny spojrzeniem pana Jamesa rzucanym znad opuszczonych okularów. W końcu jednak nauczyciel wrócił do listy obecności.

Laurel wypuściła wstrzymywane dotąd powietrze i wyciągnęła zeszyt, starając się nie przyciągać niczyjej uwagi.

Próbowała słuchać, jak nauczyciel wyjaśnia zakres materiału przewidzianego na ten semestr, ale rozpraszali ją pozostali uczniowie. Przyglądała się im uważnie, chcąc zapamiętać najbardziej wyraźne cechy każdego z nich. Co rusz jej wzrok wędrował w stronę chłopaka, który wcześniej się do niej uśmiechał. Z trudem powstrzymała uśmiech, kiedy zauważyła, że on też zerka w jej kierunku.

Gdy nauczyciel wypuścił klasę na lunch, Laurel z ulgą wsunęła książkę do plecaka.

- Hej!

Podniosła wzrok i ujrzała chłopaka, który się jej wcześniej przyglądał. Najpierw zauważyła jego oczy – jasnoniebieskie, odcinające się wyraźnie od oliwkowej skóry. Ta karnacja wydawała się nie pasować do otoczenia, ale w pozytywny sposób. Chłopak wyglądał egzotycznie. Lekko falujące jasnobrązowe włosy, raczej długawe, opadały łagodnym łukiem na czoło.

- Masz na imię Laurel, prawda? – zapytał i uśmiechnął się ciepło, ukazując bardzo proste zęby.

„Pewnie nosił kiedyś aparat” – pomyślała i nieświadomie przesunęła językiem po własnych zębach, również prostych. Na szczęście takie były z natury.

- Tak – powiedziała zachrypniętym głosem.

Odchrząknęła. Czowała się jak idiotka.

- Jestem Dawid. Dawid Lawson. Chciałem... się przywitać. I powitać cię w Crescent City.

- Dzięki. – Laurel zmusiła się do bladego uśmiechu.

- Może masz ochotę przysiąść ze mną i z moimi przyjaciółmi na lancz?

Chłopak wydawał się miły, ale Laurel miała dosyć siedzenia w czterech ścianach.

- Właściwie to miałam zamiar znaleźć sobie jakieś miejsce na zewnątrz – powiedziała. – Ale dziękuję.

- Może być na zewnątrz. Mogę dotrzymać ci towarzystwa?

- Naprawdę chcesz?

- Jasne. Mam kanapki w plecaku, więcej nic mi nie trzeba. Zresztą – dodał, przekładając plecak na drugie ramię – nie powinnaś siedzieć sama w pierwszy dzień.

- Dzięki – odparła po krótkim wahaniu. – Będzie mi miło.

Wyszli na trawnik znajdujący się z tyłu szkoły i znaleźli w miarę suche miejsce. Laurel rozłożyła na ziemi bluzę, Dawid swojej nie zdjął.

- Nie jest ci zimno? – zapytał, patrząc sceptycznie na jej dżinsowe szorty i cienki top.

Laurel ściągnęła buty i zanurzyła stopy w gęstej trawie.

- Rzadko jest mi zimno, zwłaszcza tutaj. Kiedy jedziemy gdzieś, gdzie leży śnieg, czuję się strasznie, ale ten klimat jest dla mnie idealny – powiedziała i uśmiechnęła się nieśmiało. – Moja mama żartuje, że jestem zimnokrwista.

- Zazdroszczę ci. Ja się tu przeprowadziłem z Los Angeles i nadal nie mogę się przyzwycząić do tych temperatur.

- Przecież nie jest aż tak zimno.

- Nie – zaśmiał się. – Ale ciepło też nie jest. Po roku mieszkania tu przestudiowałem wykresy pogody. Czy wiesz, że różnica między średnią temperaturą lipca i grudnia wynosi tylko czternaście stopni? To dopiero dziwne – dodał i wyciągnął z plecaka kanapkę i chipsy. Laurel wyjęła puszkę sprite'a i miseczkę sałat.

Zamilkli. Dawid zaczął jeść swoją kanapkę, a Laurel dziobała widelcem sałatę.

- Mama zapakowała mi więcej ciastek – Dawid przerwał milczenie. – Masz ochotę? – zapytał, wyciągając rękę z babeczką polaną niebieskim lukrem. – Mama upiekła.

- Nie, dzięki.

Spojrzał z powątpiewaniem na jej sałatę, a potem przeniósł wzrok na ciastko.

- Aha. Rozumiem.

Laurel wiedziała, co sobie pomyślał, i westchnęła. Dlaczego wszyscy od razu wyciągali podobny wniosek? Można by sobie pomyśleć, że jest jedyną osobą na świecie, która lubi warzywa. Postukała palcem w puszkę napoju.

- Nie jestem na diecie.

- Ja nie chciałem...

- Jestem weganką – przerwała mu. – Dość rygorystyczną.

- Naprawdę?

Pokiwała głową, a potem zaśmiała się sztywno.

- Nigdy za wiele warzyw, co? – rzuciła.

- Pewnie nie.

Kiedy milczenie zaczęło się robić niezręczne, Dawid odchrząknął i zagaił:

- To kiedy się tu przeprowadziliście?

- W maju.

- Naprawdę? To gdzie ty byłaś przez całe lato? Nie spotkałem cię wcześniej.

- Sporo pomagałam tacie w sklepie. – Laurel wzruszyła ramionami. –

Prowadzi księgarnię w centrum.

- No patrz – byłem tam w zeszłym tygodniu. Fajne miejsce. Ale nie przypominam sobie, żeby tam widział.

- A to już wina mojej mamy. Przez cały tydzień ciągała mnie po sklepach, żeby kupić wszystko do szkoły.

- Nie robiłem tego od lat – zaśmiał się Dawid. – Pewnie od podstawówki.
- Dla mnie to pierwszy rok w szkole, bo wcześniej uczyłam się w domu.
Mama była przekonana, że absolutnie wszystkiego mi brakuje.

- Uczyłaś się w domu?

- Tak. W tym roku zmusili mnie do pójścia do szkoły.

- To bardzo dobra decyzja – zaśmiał się, nieco kpiąco, ale dało się w tym wyczuć poważną nutę. Przez chwilę spoglądał na swoją kanapkę, a potem zadał kolejne pytanie.

- Tęsknisz za swoim miastem?

- Czasem. – Uśmiechnęła się. – Ale tu też jest ładnie.

- Miałaś dużo przyjaciół?

- Niezbyt wielu. Ale Orick to naprawdę mała miejscina. Jakichś pięciuset mieszkańców.

- Nieźle! Los Angeles jest jednak ciut większe – zaśmiał się.

Laurel też się zaśmiała, krztusząc się przy tym sprite'em.

Dawid spojrzał na nią, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, ale w tej samej chwili rozległ się dźwięk dzwonka, więc tylko się uśmiechnął.

- Jutro też się spotkamy na przerwie? – zapytał, po czym zawahał się na moment. – Może z moimi przyjaciółmi?

W pierwszej chwili Laurel chciała odmówić, ale polubiła towarzystwo Dawida. Zresztą kontakty z rówieśnikami były jednym z powodów, dla których mamie tak zależało na posłaniu jej do szkoły.

- Jasne – odparła szybko, żeby nie stracić odwagi. – Będzie mi miło.

- To super! – Dawid podniósł się i podał jej rękę. Pomógł jej wstać, uśmiechając się kącikiem ust. – W takim razie... do zobaczenia.

Laurel patrzyła, jak odchodzi. Miał na sobie bluzę i luźne džinsy, tak jak większość, ale z tłumu wyróżniała go pewność kroku. Bardzo mu jej zazdrościła.

Może kiedyś...

* * *

Laurel rzuciła plecak na stół i opadła na wysokie krzesło kuchenne. Jej mama uniosła wzrok znad ciasta, które właśnie zagniała.

- I jak było w szkole?

- Do dupy.

- Jak ty się wyrażasz, Laurel!

- Kiedy naprawdę! Nie ma lepszego słowa, żeby to określić.

- Potrzebujesz czasu, kochanie.

- Wszyscy się na mnie gapią, jakbym była jakimś dziwadłem.

- Gapią się, bo jesteś nowa.

- Wyglądam inaczej.

- Chciałabyś to zmienić? – zaśmiała się mama.

Laurel przewróciła oczami, ale musiała przyznać, że mama trafiła w sedno. Może i uczyła się w domu i w ogóle była chowana pod kloszem, ale wiedziała, że przypomina nastolatki z czasopism i telewizji.

I była z tego zadowolona.

Dojrzewanie obeszło się z nią bardzo łagodnie. Jej niemal przezroczysta, biała skóra nie zaznała trądziku, a blond włosy nigdy się nie przetłuszczały. Ta drobna, szczupła piętnastolatka miała idealnie owalną twarz i jasnozielone oczy. Zawsze była chuda, choć nie chorobliwie, a w ostatnich latach jej sylwetka zaokrągliła się tu i ówdzie. Miała długie, zgrabne nogi i poruszała się z wdziękiem tancerki, choć nigdy nie brała lekcji tańca.

- Chodzi mi o to, że się inaczej ubieram.

- Przecież gdybyś chciała, mogłabyś ubierać się tak jak inni.

- No tak, ale wszyscy noszą niezgrabne buty, obcisłe dżinsy i trzy koszulki jedna na drugiej.

- No i?

- Nie lubię obcisłych rzeczy. Drapią mnie i czuję się w nich dziwnie. A te toporne buty to już w ogóle porażka.

- Więc noś to, co ci się podoba. Jeżeli to, w co się ubierasz, odsunie od ciebie potencjalnych przyjaciół, to znaczy, że nie są warci miana twoich przyjaciół.

„Typowa matczyzna rada. Kochana, szczerza, ale kompletnie bezużyteczna”.

- W szkole jest za głośno.

Mama przerwała ugniatanie ciasta i odsunęła grzywkę z czoła, zostawiając na twarzy ślad mąki.

- Kochanie, nie możesz oczekiwać, że w szkole będzie tak cicho jak w domu. Bądź rozsądna.

- Jestem. Nie mówię o normalnych dźwiękach. Ale oni biegają jak dzikie małpy. Kwiczą i chichoczą. I całują się w szatni.

- Coś jeszcze? – zapytała mama, opierając rękę na biodrze.

- Tak. Korytarze są ciemne.

- Nie są ciemne – głos mamy przybrał karcący ton. – Laurel, obeszliśmy całą szkołę w zeszłym tygodniu i wszystkie ściany są białe.

- Ale nie ma okien, tylko te okropne jarzeniówki. Dają blade światło i wcale nie oświetlają korytarzy. Tam jest... ciemno. Tęsknię za Orick.

Mama zaczęła formować bochenki z ciasta.

- Powiedz mi, proszę, coś pozytywnego o dzisiejszym dniu.

Laurel podeszła do lodówki.

- Nie. – Mama zatrzymała ją ręką. – Najpierw jakaś dobra wiadomość.

- Eee... Poznałam miłego chłopaka – powiedziała, po czym wyminęła mamę i wzięła puszkę z napojem. – Dawid... Dawid jakiś tam.

Tym razem to mama wzniosła oczy do nieba.

- No, ładnie – powiedziała. – Przeprowadzamy się do nowego miejsca, zapisuję cię do szkoły, a ty od razu poznasz chłopaka.

- To nie tak, jak myślisz.

- Przecież żartuję.

Laurel stała przez chwilę w milczeniu, słuchając odgłosu ciasta uderzającego o stół.

- Mamo...

- Tak?

Laurel wzięła głęboki oddech.

- Czy ja naprawdę muszę tam chodzić?

- Już to przerabiałymy, kochanie – odparła mama, pocierając skronie.

- Ale...

- Tak, i nie zamierzam już na ten temat dyskutować – powiedziała i oparła się o blat, zbliżając twarz do twarzy córki. – Nie mam odpowiednich kwalifikacji, żeby dalej cię uczyć. Prawdę powiedziawszy, już kilka lat temu powinnaś iść do szkoły. Ale z Orick było dość daleko, a już tata dojeżdżał do pracy... Tak czy inaczej, czas najwyższy.

- Mogłabyś zamówić program do nauki w domu. Widziałam w Internecie – dodała szybko Laurel, widząc, że mama otwiera usta. – Wcale nie musiałabyś mnie uczyć, tam jest wszystko.

- A wiesz, ile takie programy kosztują? – zapytała mama cichym głosem. Laurel nic nie odpowiedziała.

- Posłuchaj mnie – odezwała się mama po krótkim milczeniu. – Jeżeli za kilka miesięcy nadal będziesz nienawidziła szkoły, pomyślimy o takim programie. Ale dopóki nie sprzedamy domu w Orick, nie będziemy mieć pieniędzy na nic dodatkowego. Zresztą sama wiesz.

Laurel opuściła wzrok i zgarbiła się.

Do Crescent City przeprowadzili się przede wszystkim dlatego, że tata kupił księgarnię na Washington Street. Przejeżdżał wtedy kiedyś i zobaczył, że sklep jest wystawiony na sprzedaż. Laurel była świadkiem kilkutygodniowych rozmów dotyczących tego, co mogliby zrobić, żeby go kupić – było to wspólne marzenie rodziców z początków małżeństwa, ale nie mieli jak go zrealizować.

Aż tu nagle, pod koniec kwietnia, w pracy taty pojawił się Jeremiasz Barnes, zainteresowany zakupem posiadłości w Orick. Tata wrócił wtedy do domu ogromnie podekscytowany. Potem wszystko działo się tak szybko, że Laurel nie pamiętała już nawet, co było najpierw. Rodzice spędzili sporo czasu w banku w Brookings, a na początku maja księgarnia należała już do nich. Wkrótce przeprowadzili się z małej chatki w Orick do jeszcze mniejszego domku w Crescent City.

Mijały miesiące, a pan Barnes nie finalizował umowy. Do tego czasu musieli żyć oszczędnie. Tata spędzał długie godziny w księgarni, a Laurel znalazła się w szkole.

Mama położyła rękę na jej ramieniu.

- Laurel, nie chodzi tylko o koszty. Musisz nauczyć się walczyć z przeciwnościami. To ci wyjdzie na dobre. W przyszłym roku zapiszesz się na kursy przygotowawcze, może wstąpisz do jakiejś drużyny albo klubu, co jest dobrze widziane w podaniu na studia.

- Wiem, ale...

- Laurel, to nieodwołalne – powiedziała mama i uśmiechnęła się, żeby złagodzić stanowczy ton.

Dziewczyna prychnęła i zaczęła rysować palcem po fugach pomiędzy płytkami kuchennego blatu.

Zegar przerwał ciszę. Mama włożyła chleb do piekarnika i ustawiła czasomierz.

- Mamo, są brzoskwinie w puszcze? Jestem głodna.

- Jesteś głodna? – Mama popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

Laurel przejechała palcem po puszcze sprite'a, na której osadziła się skroplona para.

- Zgłodniałam na ostatniej lekcji.

Mama starała się nie robić z tego problemu, ale obie wiedziały, że nie była to zwyczajna sytuacja. Laurel rzadko czuła głód. Rodzice przez lata wypominali córce jej dziwne nawyki żywieniowe. Jadła coś przy każdym wspólnym posiłku, żeby ich usatysfakcjonować, ale ani tego nie potrzebowała, ani nie sprawiało jej to przyjemności.

To dlatego mama zgodziła się w końcu na trzymanie w lodówce zapasów sprite'a. Co prawda ciągle marudziła o nieudokumentowanym, jednak z pewnością negatywnym wpływie napojów gazowanych, ale nie mogła powiedzieć „nie” 140 kaloriom w puszcze. To o 140 kalorii więcej niż w wodzie. Dzięki temu przynajmniej miała pewność, że organizm Laurel w ogóle dostaje jakieś kalorie, nawet jeśli były puste.

Mama pospieszyła do spiżarni po brzoskwinie, zapewne w obawie, że Laurel się rozmyśli.

Ten obcy skurcz w żołądku pojawił się na lekcji hiszpańskiego, dwadzieścia minut przed ostatnim dzwonkiem. W drodze do domu uczucie głodu nieco osłabło, ale nie zniknęło.

- Proszę – powiedziała mama, stawiając przed Laurel miseczkę, a potem odwróciła się do niej plecami, jakby chciała zagwarantować jej prywatność. Laurel spojrzała na stół – mama postanowiła nie ryzykować: dała jej połówkę brzoskwini i jakieś pół szklanki soku.

Laurel jadła niewielkimi kęsami, wpatrując się w plecy mamy, jakby czekała, aż ta odwróci się i zacznie podglądać. Ale mama zajęła się naczyniami i ani razu się nie obejrzała. Laurel i tak miała wrażenie, że przegrała jakąś wyimaginowaną bitwę, więc kiedy skończyła, zabrała plecak i wyszła na palcach z kuchni, zanim mama zdążyła się obrócić.

2

Rozległ się dzwonek kończący lekcję biologii i Laurel wcisnęła zniechęcony podręcznik na sam spód plecaka.

- I jak mija dzień numer dwa?

- Okej – odparła.

Przynajmniej tym razem usłyszała swoje nazwisko już za pierwszym razem przy odczytywaniu listy obecności.

- Jesteś gotowa?

Laurel próbowała się uśmiechnąć, ale usta odmówiły jej posłuszeństwa. Kiedy poprzedniego dnia zgodziła się spędzić przerwę na lunch z Dawidem i jego przyjaciółmi, wydawało jej się to całkiem dobrym pomysłem. Ale teraz czuła wielki ścisk w dołku na samą myśl, że spotka grupę zupełnie obcych ludzi.

- Tak – powiedziała, świadoma, że jej głos nie brzmi wcale przekonująco.

- Jesteś pewna? Nie musisz.

- Nie, jestem pewna – rzuciła szybko. – Tylko się spakuję.

Zaczęła powoli wkładać do plecaka zeszyty i długopisy. Kiedy jeden z nich spadł na podłogę, Dawid nachylił się i podniósł go. Chwyciła za skuwkę, ale Dawid nie puścił, dopóki na niego nie spojrzała.

- Moi przyjaciele nie gryzą – powiedział poważnym głosem. – Daję słowo.

Potem Dawid wziął na siebie ciężar rozmowy i plótł o różnych trywialnych rzeczach, a kiedy weszli do stołówki, pokiwał grupce siedzącej po jednej stronie długiego, wąskiego stołu.

- Chodź – powiedział, kładąc rękę na jej plecach.

Dziwnie było czuć na plecach czyjś dotyk, ale – mimo wszystko – dodawało jej to otuchy. Dawid poprowadził ją przez zatłoczoną stołówkę, a kiedy doszli do właściwego stołu, opuścił rękę.

- Cześć wszystkim. To jest Laurel.

Dawid wskazywał na poszczególne osoby i wypowiadał ich imiona, ale już po pięciu sekundach Laurel nie pamiętała żadnego z nich. Usiadła na pustym miejscu obok Dawida i próbowała wsłuchać się w strzępki rozmów. Bez namysłu wyjęła puszkę sprite'a, sałatkę szpinakowo-truskawkową i brzoskwinie w syropie – to wszystko, co mama zapakowała jej rano.

- Sałatka? Dzisiaj dają lasagne, a ty jesz sałatkę?

Laurel spojrzała na dziewczynę o kręconych brązowych włosach, która postawiła przed sobą tacę pełną jedzenia.

- Laurel jest ścisłą weganką – odezwał się szybko Dawid, jakby chciał uprzedzić odpowiedź Laurel.

Dziewczyna popatrzyła na niewielką połówkę brzoskwini i uniosła brwi.

- Wygląda, że to coś więcej niż tylko wegetarianizm. Weganie nie jedzą chleba?

- Niektórzy. – Laurel uśmiechnęła się przez zaciśnięte zęby.

Dawid wzniosł oczy do góry.

- Proszę państwa, śledztwo przeprowadza Chelsea. Witamy panią, pani Chelsea!

- Dla mnie wygląda to na jakąś strasznie rygorystyczną dietę – powiedziała Chelsea, ignorując uwagę Dawida.

- Nie, naprawdę. Ja to po prostu lubię.

Laurel dostrzegła, że wzrok Chelsea wraca do jej sałatki, i wyczuwała, że za chwilę padną kolejne pytania. Zdecydowała, że lepiej będzie od razu powiedzieć, o co chodzi, niż odpowiadać na dziesiątki pytań.

- Zwyczajne jedzenie mi po prostu nie służy – wyjaśniła. – Jest mi niedobrze po wszystkim oprócz owoców i warzyw.

- Dziwne. Jak można żyć na samej zieleninie? Byłaś z tym u lekarza? Bo wiesz...

- Chelsea! – Dawid odezwał się ostrym tonem, ale chyba nikt przy stole nie zwrócił na to uwagi.

Szare oczy Chelsea otworzyły się szerzej.

- Przepraszam – powiedziała i uśmiechnęła się tak, że cała jej twarz rozbłysła w tym uśmiechu. Laurel nie mogła się powstrzymać i odwzajemniła go. – Miło mi cię poznać – dodała Chelsea i zaczęła jeść swój lunch. Już więcej nie spojrzała na jedzenie Laurel.

Przerwa trwała tylko dwadzieścia osiem minut – zbyt krótko według powszechnej opinii – ale dla Laurel ciągnęła się w nieskończoność. Stołówka była stosunkowo małym pomieszczeniem i głosy odbijały się od ścian niczym piłeczka pingpongowa, rażąc jej uszy. Miała wrażenie, że wszyscy jednocześnie na nią krzyczą. Przyjaciele Dawida próbowali wciągnąć ją do rozmowy, ale nie potrafiła się skoncentrować, kiedy temperatura w pomieszczeniu rosła z każdą minutą. Była zdziwiona, że nikt oprócz niej tego nie zauważa. Rano zdecydowała się włożyć luźny T-shirt zamiast topu, bo poprzedniego dnia czuła się dziwnie w koszulce bez rękawów. Teraz jednak dekolt uwierał ją tak, jakby miała na sobie golf, do tego bardzo ciasny. Rozległ się dźwięk dzwonka, więc uśmiechnęła się, pożegnała i odeszła pospiesznie, tak by Dawid nie mógł jej dogonić.

Pobiegła do łazienki, rzuciła plecak na podłogę pod otwartym oknem i wychyliwszy się, zanurzyła twarz w świeżym powietrzu – wciągnęła do płuc chłodną, słonawą bryzę, po czym potrząsnęła koszulką, by jak najwięcej powietrza owiało jej ciało. Kiedy wychodziła z łazienki – w ostatniej chwili przed rozpoczęciem lekcji – zaczęły ustawać mdłości, które miała w stołówce. Poczowała się trochę lepiej.

Po skończonych lekcjach powoli wracała do domu. Słońce i wiatr dodały jej energii, a nieprzyjemne uczucie w żołądku zniknęło całkowicie. Tak czy inaczej, kiedy następnego dnia szykowała sobie ubranie, znowu wybrała top bez rękawów.

Tuż przed biologią Dawid usiadł w ławce obok niej.

- Mogę? – zapytał. I tak już zdążył zająć miejsce, więc nie miałyby szansy

zaprotestować, nawet gdyby chciała. Ale nie chciała.

- Jasne. Dziewczyna, która tu zwykle siedzi, przez całą lekcję rysuje serduszka dla jakiegoś Steve'a. To mnie rozprasza.

- Zapewne Steve'a Tannera – zaśmiał się. – Cieszy się dużą popularnością wśród dziewczyn.

- Wszyscy zawsze wybierają taką banalną osobę – powiedziała, po czym wyciągnęła podręcznik i odnalazła stronę, którą pan James zapisał na tablicy.

- Masz ochotę zjeść ze mną lunch? I z moimi przyjaciółmi – dodał pospiesznie.

Laurel się zawahała. Domyślała się, że ją o to zapyta, ale nie wpadła na to, co mu odpowiedzieć, żeby nie zranić przy tym jego uczuć. Polubiła chłopaka. Polubiła też jego przyjaciół – tych, których zdążyła poznać.

- No, nie wiem – zaczęła. – Ja...

- Chodzi o Chelsea? Ona nie chciała sprawić ci przykrości z tym jedzeniem. Chelsea po prostu zawsze mówi to, co myśli. To nawet całkiem pokrzepiające, jak już się człowiek przyzwyczai.

- Nie, nie chodzi o Chelsea – masz bardzo miłych przyjaciół. Tylko że ja... ja się duszę w stołówce. Skoro już muszę cały dzień spędzać w szkole, to chociaż na lunch chciałabym wyjść na zewnątrz. Trudno mi się przystosować po dziesięciu latach nauki w domu.

- Więc wszyscy byli okej? – szepnął, bo nauczyciel zaczął uciszać klasę. Skinęła głową.

- Czy w takim razie możemy przysiąc się do ciebie na zewnątrz? Zamilkła, słuchając początku wykładu o klasyfikacji roślin.

- Będzie mi miło – szepnęła w końcu w odpowiedzi.

- Spotkamy się przed szkołą – powiedział Dawid, kiedy lekcja dobiegła końca. – Powiem im tylko, że mogą do nas dołączyć, jeśli chcą.

Laurel poszła do miejsca, w którym ostatnio siedziała z Dawidem. Minęły dopiero trzy dni, a coraz lepiej odnajdywała się w szkole, nie była już taka zagubiona i nawet hałasujący tłum nie wydawał jej się tak okropny.

Znalazła względnie suchy kawałek trawnika, usiadła i czekała na Dawida. Przyszedł dopiero po kilku minutach na czele grupki przyjaciół: nie wszyscy się przyłączyli, ale i tak zebrało się około dziesięciu osób. Usiedli w koślawym kółku i zaczęli od razu rozmawiać, zupełnie jak poprzedniego dnia.

Laurel nie była pewna, czego się powinna spodziewać po Chelsea, ale dziewczyna uśmiechała się szeroko i zajęła miejsce tuż obok niej.

Tak jak powiedział Dawid, szczerłość Chelsea była rozbijająca i zabawna. Cokolwiek przyszło dziewczynie do głowy, od razu przeradzało się w słowa. Pojawiły się pewne niezręczne momenty, na przykład kiedy Chelsea zakpiła z tego, że Laurel uczyła się tyle lat w domu, albo gdy zauważyła, że džinsowe spodenki i top mają tyle wspólnego ze szkolnym ubiorem co strój kąpielowy. Ale powiedziała też Dawidowi, że powinien używać żelu do włosów, i poinformowała chłopaka o imieniu Maks, że jeśli nie będzie pożyczać od niej notatek z angielskiego, to zawali semestr, więc Laurel nie czuła, że Chelsea uwzięła się właśnie na nią.

Zanim przerwa na lunch dobiegła końca, Laurel udało się zapamiętać co najmniej połowę imion i nawet włączyła się do kilku rozmów. Chelsea i Dawid mieli teraz zajęcia razem z nią, więc wyszło całkiem naturalnie, że poszli we trójkę. Kiedy Dawid zażartował z nauczyciela biologii, w korytarzu rozbrzmiał śmiech Laurel. Po raz pierwszy od opuszczenia Orick nie czuła się wyobcowana.

3

Następne tygodnie w szkole mijały szybciej, niż Laurel mogła się spodziewać po pierwszych trudnych dniach. Cieszyła się, że spotkała Dawida. Często spędzali razem czas w szkole, na jednych zajęciach spotykała się też z Chelsea. Nigdy już nie jadła samotnie i uznała, że doszła do momentu, w którym może nazywać Chelsea i Dawida swoimi przyjaciółmi. Lekcje też nie były złe. Co prawda zupełnie inaczej było uczyć się w takim samym tempie jak wszyscy, ale powoli i do tego przywykała.

Zaczęła się też oswajać z Crescent City. Miasto było większe niż Orick, ale i tak miało sporo zieleni, a budynki nie sięgały wyżej niż dwa piętra. Wszędzie, nawet przed sklepem spożywczym, rosły wysokie sosny i drzewa o szerokich liściach. Trawniki porastała gęsta, zielona trawa, a na winoroślach, pnących się po większości budynków, kwitły kwiaty.

W pewien wrześniowy piątek wychodziła właśnie z hiszpańskiego, ostatniej lekcji tego dnia, i wpadła prosto na Dawida.

- Przepraszam – powiedział, przytrzymując ją, by nie straciła równowagi.
- Nie szkodzi. Zagapiłam się.

Minęła chwila, po czym Laurel podniosła wzrok. Uśmiechnęła się nieśmiało do chłopaka, a potem zdała sobie sprawę, że tarasuje mu przejście.

- Przepraszam – powiedziała i odsunęła się.
- Eee, właściwie... właściwie to przyszedłem do ciebie – wyjąkał, najwyraźniej zakłopotany.
- Dobrze, tylko... – Podniosła książkę. – Schowam ją do szafki.
- Pójdę z tobą.
- Super.

Przeszli w stronę szafek. Laurel upchnęła podręcznik do hiszpańskiego, wyjęła książkę do historii i zamknęła drzwiczki. Uśmiechnęła się i spojrzała wyczekująco na Dawida.

- Pomyślałem sobie, że może... może spędzilibyśmy razem dzisiejsze popołudnie?

Uśmiech nie zszedł z twarzy Laurel, ale poczuła ścisk w żołądku. Jak dotąd ich przyjaźń nie wykraczała poza szkołę. Nagle zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, co Dawid lubi robić, kiedy nie je lunch albo nie notuje tego, co mówi nauczyciel. Jednak myśl, że będzie miała okazję się tego dowiedzieć, wydawała jej się całkiem atrakcyjna.

- A co zamierzasz robić?
- Za moim domem jest lasek – pomyślałem sobie, że moglibyśmy się tam przejść, skoro lubisz przebywać na zewnątrz. Rośnie w nim niesamowite drzewo, myślę, że ci się spodoba. Właściwie to nawet dwa drzewa, ale – zrozumiesz, jak zobaczysz. Jeśli będziesz chciała, rzecz jasna.
- Pewnie.
- Naprawdę?

- Jasne. – Uśmiechnęła się.
- To świetnie – odparł i spojrzał w stronę tylnego wyjścia ze szkoły. – Prościej będzie, jeśli pójdziemy tędy.

Przeszła za nim przez zatłoczony korytarz i wyszli razem na dwór. Słońce z trudem przedzierało się przez mgłę, a wrześnie powietrze było zimne i ciężkie od wilgoci.

Laurel narzuciła kurtkę i pomyślała, że dobrze zrobiła, wybierając dłuższe spodnie, a nie szorty.

- Czuć, że zmienia się pora roku. Zupełnie jakby dzisiaj był pierwszy dzień jesieni.

- Coś w tym jest – odpowiedział Dawid, zapinając bluzę.

Przeszli przez boisko, wyszli na Grant Street, a potem skręcili w Small Avenue.

- Daleko mieszkasz? – zapytała.

- Parę ulic stąd.

Panował chłód, a wiejący od zachodu wiatr niósł ze sobą słonawy zapach oceanu. Laurel wciągnęła powietrze do płuc, napawając się jesienią. Właśnie weszli do cichej dzielnicy podmiejskiej, niecały kilometr od jej domu.

- A więc mieszkasz z mamą? – zapytała.

- Tak. Moi rodzice rozeszli się, kiedy miałem dziewięć lat. Mama skończyła studia i przyjechała tutaj.

- Czym się zajmuje twoja mama?

- Jest farmaceutką. Pracuje w aptece Medicine Shoppe.

- O! – zaśmiała się Laurel. – A to ironia!

- Bo?

- Bo moja mama jest specjalistką od naturopatii.

- Na czym to polega?

- Naturopata to ktoś, kto właściwie sam robi leki z ziół. Moja mama nawet hoduje własne roślinki lecznicze. Nigdy w życiu nie brałam żadnych leków – nawet paracetamolu.

- Żartujesz!? – Dawid spojrzał na nią zdumiony.

- Nie. Mama sama robi leki, które stosujemy.

- Moja mama dopiero by się zdziwiła. Uważa, że na wszystko znajdzie się medykament.

- Z kolei moja sądzi, że lekarze to mordercy.

- Pewnie obie mogłyby się od siebie czegoś nauczyć.

- Pewnie tak – zaśmiała się Laurel.

- Twoja mama nigdy nie chodzi do lekarza?

- Nigdy.

- Czy to znaczy, że urodziłaś się w domu?

- Zostałam adoptowana.

- Naprawdę? – zapytał i zamilkł na chwilę. – Znasz swoich prawdziwych rodziców?

- Nie – parsknęła śmiechem.

- Czemu cię to śmieszy?

- Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie będziesz się śmiać.
- Dawid uniósł rękę w udawanej powadze.
- Obiecuję.
 - Ktoś podrzucił mnie w koszyku na próg domu moich rodziców.
 - Akurat! Teraz to mnie nabierasz!
- Uniosła brwi z oburzenia.
- Serio? – otworzył szeroko oczy.
- Pokiwała głową.
- Naprawdę znaleźli mnie w koszyku. Ale nie byłam niemowlakiem. Miałam około trzech lat i, jak twierdzi moja mama, kiedy otworzyli drzwi, wierzgałam i próbowałam wydostać się z koszyka.
 - Potrafiłaś mówić?
 - Tak. Podobno jeszcze przez rok miałam dziwny akcent.
 - Hm. Nie wiedziałaś, skąd się tam wzięłaś?
 - Znałam swoje imię i nic poza tym. Nie miałam pojęcia, jak się tam znalazłam ani co się stało.
 - To najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałem.
 - Z prawnego punktu widzenia spowodowałam wielki galimatias. Kiedy moi rodzice postanowili mnie adoptować, wynajęli detektywa, żeby spróbował odnaleźć moją biologiczną matkę; poza tym trzeba było zapewnić mi tymczasową opiekę i tego typu rzeczy. Sprawy urzędowe trwały ponad dwa lata.
 - Mieszkałaś wtedy w rodzinie zastępczej czy coś w tym rodzaju?
 - Nie. Sędzia ocenił, że moi rodzice są skłonni do współpracy, więc przez cały ten czas mogłam mieszkać z nimi. Co tydzień przychodził ktoś z opieki społecznej na kontrolę, no i rodzice nie mogli mnie wywieźć do innego stanu, dopóki nie skończyłam siedmiu lat.
 - Dziwne. Nie zastanawiałaś się, skąd się tam wzięłaś?
 - Czasem. Ale skoro nie ma odpowiedzi, takie zastanawianie się prowadzi do frustracji.
 - A gdybyś mogła odnaleźć prawdziwą mamę, zrobiłabyś to?
 - Nie wiem – odpowiedziała, wkładając ręce do kieszeni. – Chyba tak. Ale jestem zadowolona ze swojego życia. Nie żałuję, że trafiłam do moich rodziców.
 - Niesamowite – powiedział i pokazał w stronę uliczki. – Tędy – dodał, po czym spojrzął do góry. – Znosi się na deszcz. Zostawmy plecaki, mam nadzieję, że zdążę pokazać ci drzewo.
 - To twój dom? Ładny – powiedziała Laurel, bo właśnie doszli do małego białego domku o jaskrawoczerwonych drzwiach. Wzdłuż frontu rósł długi rząd wielobarwnych cynii.
 - No, ja myślę – powiedział. – Dwa tygodnie go malowałem w wakacje. – Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. – Wcześniej miał okropny zielonkawobrazowy kolor.
- Zostawili plecaki w przedpokoju i weszli do schludnej, skromnie urządzonej kuchni.

- Chcesz coś? – zapytał, podchodząc do lodówki. Wyjął puszkę mountain dew i sięgnął do szafki po ciastka.

Laurel zmusiła się, żeby nie skrzywić twarzy na widok słodczy. Rozejrzała się po kuchni i dostrzegła półmisek z owocami.

- Mogę się poczęstować? – zapytała, wskazując na zieloną gruszkę.

- Jasne, weź ze sobą. Wodę? – zapytał, podnosząc butelkę.

- Chętnie. – Uśmiechnęła się.

Włożyli przekąski do kieszeni i Dawid wskazał na tylne wyjście.

- Tędy.

Przeszli na tył domu i chłopak otworzył rozsuwane drzwi. Laurel wyszła do zadbanego ogrodu.

- Wygląda jak ślepa uliczka.

- Może dla niewprawnego oka... – zaśmiał się.

Ruszyła za nim w stronę ogrodzenia. Dawid jednym zręcznym ruchem wskoczył na nie i usiadł.

- Chodź – powiedział, wyciągając rękę. – Pomogę ci.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem, ale podała mu dłoń. Przeskoczyli przez płot z zaskakującą łatwością. Drzewa rosły już pod samym ogrodzeniem, więc od razu znaleźli się w lesie, z grubym dywanem opadłych liści pod stopami. Gęsty baldachim gałęzi wyciszał dźwięk samochodów. Laurel rozejrzała się dookoła z uznaniem.

- Fajnie tu – powiedziała.

Dawid stał z rękoma opartymi na biodrach.

- Też tak uważam. Nigdy nie byłem jakimś wielkim fanem przyrody, ale mnóstwo tu roślin, które oglądam pod mikroskopem.

- Masz mikroskop? Ty naprawdę jesteś zwariowany na punkcie biologii! – zakpiła.

- No jasne – zaśmiał się. – Clarka Kenta też wszyscy uważali za wariata, a zobacz, kim się okazał.

- Chcesz powiedzieć, że ty też jesteś Supermanem?

- Nigdy nie wiadomo – odparł kpiąco.

Laurel zaśmiała się, po czym spuściła wzrok, nagle onieśmielona. Kiedy podniosła oczy, zauważyła, że Dawid się w nią wpatruje. Gdy ich wzrok się spotkał, las jakby ucichł. Podobają jej się to spojrzenie – delikatne, ale badawcze, jak gdyby chciał poznać ją lepiej, studiując jej twarz.

Po chwili uśmiechnął się, nieco zawstydzony, i skinął głową w stronę ledwie widocznej ścieżki.

- Tędy dojdziemy do drzewa.

Poprowadził ją krętą dróżką, wijącą się pozornie bez celu. Po kilku minutach pokazał ręką na duże drzewo stojące przy ścieżce.

- Niesamowite! – powiedziała.

Były to właściwie dwa drzewa, jodła i olcha, które wyrosły tuż obok siebie. Pnie spleły się i urosły w jeden, tworząc drzewo z igłami z jednej strony i szerokimi liśćmi z drugiej.

- Odkryłem je parę lat temu, kiedy przeprowadziłem się tu z mamą.

- A gdzie jest twój tata? – zapytała, siadając na miękkich liściach pod drzewem i wyjmując z kieszeni gruszkę.

- W San Francisco. – Dawid zaśmiał się gardłowo. – Jest prawnikiem, obrońcą w dużej kancelarii.

- Często się z nim widzisz?

Dawid usiadł obok niej na ziemi, opierając lekko kolano o jej udo. Nie odsunęła się.

- Raz na parę miesięcy. Ma prywatny samolot, przylatuje na lotnisko McNamara Field i zabiera mnie na weekend.

- Nieźle.

- Pewnie tak.

- Nie lubisz go?

- Tak sobie. – Wzruszył ramionami. – To on nas zostawił i nigdy nie chciał spędzać ze mną więcej czasu. Po prostu nie czuję się ważny w jego życiu.

- Przykro mi – powiedziała.

- Jest okej. Zawsze fajnie spędzamy czas, tylko że to czasami takie dziwne.

Przez kilka chwil siedzieli w milczeniu, cisza lasu działała na nich kojąco. Oboje podnieśli wzrok, kiedy przez niebo przetoczył się grzmot.

- Lepiej wracajmy. Zaraz będzie padać.

Laurel wstała i otrzepała dżinsy.

- Dzięki, że mnie tu przyprowadziłeś – powiedziała i machnęła ręką w stronę drzewa. – Nieźle jest.

- cieszę się, że ci się spodobało – odparł, unikając jej spojrzenia. – Chociaż... chociaż nie tylko o to chodziło.

- O! – Laurel poczuła się nagle onieśmielona.

- Tędy. – Dawid odwrócił się, zarumieniony.

Zdążyli przejść przez ogrodzenie, kiedy spadły pierwsze krople deszczu.

- Chcesz zadzwonić do mamy, żeby po ciebie przyjechała? – zapytał, gdy znaleźli się w kuchni.

- Nie, pójdę pieszo.

- Ale przecież pada. Powinienem cię odprowadzić.

- Nie trzeba, naprawdę. Lubię chodzić w deszczu.

Dawid milczał przez chwilę.

- A mogę do ciebie zadzwonić? – wyrzucił z siebie w końcu. – Na przykład jutro?

- Pewnie. – Uśmiechnęła się. – Muszę już iść. Nie chcę, żeby mama się denerwowała.

- Oczywiście – powiedział, ale nie ruszył się z przejścia.

- Tu są drzwi, prawda? – zapytała najuprzejmiej, jak potrafiła.

- Tak. Tylko... Nie zadzwonię bez numeru.

- No tak, przepraszam. – Laurel wyjęła długopis i zapisała swój numer w notesie leżącym przy telefonie.

- Mogę dać ci mój numer?

- Jasne – odparła i zaczęła otwierać plecak, ale Dawid ją powstrzymał.

- Nie szukaj – powiedział. Chwycił jej rękę i napisał numer na dłoni. – Tak

nie zgubisz – dodał nieśmiało.

- Świetnie. Pogadamy później. – Uśmiechnęła się do niego ciepło i wyszła na deszcz.

Kiedy znalazła się na tyle daleko, że Dawid nie mógł jej już widzieć, zdjęła kaptur i uniosła głowę ku niebu. Wzięła głęboki oddech, a deszcz popłynął jej po policzkach, w dół szyi. Zaczęła wystawiać ręce, ale przypomniała sobie o numerze telefonu Dawida. Włożyła ręce do kieszeni i ruszyła dalej, uśmiechając się, gdy deszcz spadał jej miękko na głowę. Kiedy weszła do domu, zadzwonił telefon. Nie było śladu mamy, więc wbiegła po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz, żeby uprzedzić automatyczną sekretarkę.

- Halo? – powiedziała zdyszana do słuchawki.

- O, cześć. Jesteś w domu. A już miałem zostawić wiadomość.

- Dawid?

- Tak. Przepraszam, że dzwonię tak szybko, ale pomyślałem sobie, że w przyszłym tygodniu mamy test z biologii i może chciałabyś przyjść do mnie jutro i się pouczyć?

- Mówisz poważnie? Byłoby super! Strasznie się stresuję tym sprawdzianem, mam wrażenie, że połowy nie umiem.

- Świetnie – powiedział i zamilkł na chwilę. – To znaczy, nie chciałem powiedzieć, że świetnie, że nie umiesz. No wiesz...

Zaśmiała się, słysząc, jak się płacze.

- O której mam przyjść?

- O której ci pasuje. Nic szczególnego jutro nie robię, parę rzeczy, o które prosiła mnie mama.

- Dobrze. Zadzwonię do ciebie.

- Świetnie. W takim razie do jutra.

Laurel pożegnała się i odłożyła słuchawkę. Z uśmiechem popędziła na piętro, przeskakując po dwa stopnie.

W sobotę Laurel obudziła się o świcie. Nie stanowiło to dla niej problemu – od zawsze była rannym ptaszkiem. Zwykle budziła się przed rodzicami i dawało jej to szansę samotnego spaceru, cieszenia się słońcem grzejącym w plecy i wiatrem smagającym policzki przed uwięzieniem na kilka godzin w budynku szkoły.

Włożyła letnią sukienkę, wyjęła z pokrowca za drzwiami starą gitarę mamy i wymknęła się po cichu na dwór, żeby nacieszyć się rześkim spokojem poranka. Pod koniec września ranki nie były już jasne i pogodne, bo znad oceanu przychodziła mgła i spowijała miasto aż do wczesnych godzin popołudniowych.

Laurel ruszyła krótką ścieżką w głąb ogrodu. Chociaż dom był mały, działka miała spore rozmiary i rodzice rozmawiali nawet czasem o możliwości rozbudowy. W ogrodzie rosło kilka drzew rzucających cień na budynek i Laurel przez niemal miesiąc pomagała mamie sadzić kępy kwiatów i pnączy wzdłuż ścian.

Z obu stron mieli sąsiadów, jednak – tak jak w przypadku większości ulic w Crescent City – za domem rozciągały się zarośla i Laurel zwykle spacerowała dalej, krętą ścieżką aż do dolinki, w której wił się mały strumyk, płynący równoległe do linii domów.

Tego dnia też powędrowała do tego strumienia i usiadła na brzegu. Włożyła stopy do lodowatej wody, przejrzyściej o poranku, bo jeszcze nie obudziły się komary i inne owady, które znaczyły zwykle kropkami powierzchnię, poszukując pożywienia.

Oparła gitarę o kolano i zaczęła brzdąkać akordy. Dopiero po chwili zdecydowała się na konkretną melodię. Miło było wypełnić ciszę muzyką. Grała od trzech lat, od czasu kiedy znalazła na strychu starą gitarę mamy. Konieczny był zakup nowych strun i strojenie, ale Laurel przekonała mamę do odnowienia instrumentu. Mama powiedziała, że gitara należy już do niej, ale Laurel lubiła myśleć, że to gitara mamy. Tak było romantyczniej – zupełnie jakby to był przedmiot przekazywany z pokolenia na pokolenie od niepamiętnych czasów.

Na ramieniu dziewczyny usiadł jakiś owad i zaczął wędrować w kierunku jej pleców. Laurel próbowała go odpędzić, a wtedy jej palce trafiły na coś dziwnego. Wyciągnęła rękę jeszcze bardziej do tyłu, żeby sprawdzić, co to takiego: okrągłe wybrzuszenie, ledwie wyczuwalne pod skórą. Wygięła szyję, ale nic nie zobaczyła. Dotknęła więc ponownie, próbując wyczuć, co to może być. W końcu wstała sfrustrowana i postanowiła wrócić do domu, żeby zobaczyć to w lustrze.

Zamknęła się w łazience i usiadła przy toalecie, wygięła się, żeby zobaczyć plecy w lustrze. Opuściła górę sukienki i zaczęła szukać wybrzuszenia. W końcu dostrzegła je między łopatkami – maleńki, okrągły punkcik, ledwie

dostrzegalny na skórze. Mało widoczny, a jednak obecny. Dotknęła go ostrożnie – nie bolało, ale poczuła dziwne łaskotanie. Wyglądało to jak pryszcz. „No super” – pomyślała sarkastycznie.

Laurel usłyszała ciche kroki mamy w korytarzu, więc wystawiła głowę przez drzwi łazienki.

- Mamo?

- Jestem w kuchni – rozległ się zaspany głos i ziewnięcie.

- Mam coś na plecach – powiedziała, idąc w stronę mamy. – Mogłabyś to zobaczyć? – zapytała i odwróciła się.

Mama dotknęła kilka razy wskazanego miejsca.

- To pryszcz – zawyrokowała.

- Tak myślałam – powiedziała Laurel i naciągnęła górę sukienki.

- Ale ty nie masz przecież pryszczki... - powiedziała mama i zawahała się. – Dostałaś... no wiesz?

Laurel pokręciła szybko głową.

- To tylko pech – odparła beznamyślnie. – Element dojrzewania, co zawsze powtarzałaś – dodała i uciekła, zanim mama zaczęła zadawać kolejne pytania.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, usiadła na łóżku i zaczęła obmacywać wybrzuszenie na plecach. Czuła się dziwnie normalnie: oto ma pierwszy pryszcz, zupełnie jakby dostąpiła jakiegoś rytuału. Nie dojrzewała tak, jak opisywano to w podręczniku. Nie miewała pryszczki i chociaż zaokrągliły jej się biodra i biust, nadal nie miała okresu, a przecież skończyła już piętnaście lat.

Mama zwykle to bagatelizowała, mówiąc, że nie wiadomo, jak dojrzewała jej biologiczna matka – nie można wykluczyć, że to po prostu cecha genetyczna. Ale Laurel widziała, że mama zaczyna się niepokoić.

Włożyła to, co zwykle: top i dżinsy, a potem zaczęła związywać włosy w kitkę. Przypomniła sobie jednak paskudne pryszczki, jakie widziała na plecach koleżanek w szatni, i rozpuściła włosy. Na wszelki wypadek, gdyby pryszcz miał się rozwinąć w coś okropnego.

Zwłaszcza podczas pobytu u Dawida. To byłby obciach.

Chwyciła jabłko i wyszła z domu, wołając „do widzenia”. Już prawie dochodziła do domu Dawida, kiedy podniosła wzrok i ujrzała biegnącą Chelsea. Pokiwała koleżance i zawołała ją po imieniu.

- Hej! – rzuciła Chelsea, uśmiechając się, mimo że wiatr zwiewał jej loki w twarz.

- Cześć! – Laurel też się uśmiechnęła. – Nie wiedziałam, że biegasz.

- Przełajowo. Zwykle ćwiczę razem z drużyną, ale w soboty każdy biega osobno. A ty co tu robisz?

- Idę do Dawida – powiedziała Laurel, nagle zawstydzona. – Będziemy się uczyć.

Chelsea się zaśmiała.

- Witaj w fanklubie Dawida Lawsons. Ja jestem przewodniczącą, więc ty możesz zostać skarbniczką.

- To nie tak – zaproponowała Laurel, chociaż nie była całkiem pewna, czy mówi prawdę. – Naprawdę będziemy się uczyć. W poniedziałek mam test z biologii i z pewnością go zawałę, jeśli ktoś mi nie pomoże.

- Dawid mieszka za rogiem. Odprowadzę cię.

Skręciły we właściwą uliczkę i usłyszały dźwięk kosiarki. Dawid nie zauważył, że nadchodzą, więc zatrzymały się i przyglądały, co robi.

Pchał kosiarkę po gęstym trawniku, ubrany jedynie w dżinsy i stare tenisówki. Miał szczupłe ramiona i tors, ale był umięśniony. Opalona skóra błyszczała delikatnie od potu, kiedy ruszał się z wdziękiem w promieniach porannego słońca.

Laurel nie była w stanie odwrócić od niego wzroku.

Widowała wielokrotnie chłopaków biegających bez koszulek, ale tym razem było jakoś inaczej. Patrzyła, jak napinają się jego mięśnie, kiedy trafia na wyjątkowo gęste kępy trawy i musiał pchnąć kosiarkę, żeby przejechała dalej. Poczowała uścisk w piersi.

- Chyba umarłam i znalazłam się w niebie – powiedziała Chelsea, nie kryjąc podziwu na widok Dawid.

Chłopak jakby wyczuł, że jest obserwowany, bo poniósł nagle wzrok i napotkał spojrzenie Laurel. Opuściła głowę i zajęła się studiowaniem własnych butów.

Chelsea nawet nie mrugnęła.

Kiedy Laurel podniosła znowu oczy, Dawid wkładał koszulkę.

- Cześć, dziewczyny. Ale z was ranne ptaszki.

- Jest za wcześnie – zaniepokoiła się Laurel. W końcu dochodziła już dziewiąta. – Och, przepraszam – dodała zawstydzona. – Zapomniała zadzwonić.

- Nie szkodzi. – Dawid uśmiechnął się i pokazał na kosiarkę. – Przecież nie śpię.

- Muszę lecieć – powiedziała Chelsea dziwnie zdyszonym głosem, i powiedziała bezgłośnie „Wow!” A potem pomachała im i pobiegła w dół ulicy.

Dawid zaśmiał się i pokręcił głową, patrząc, jak odbiega. Po chwili odwrócił się do Laurel.

- To co? – zaczął. – Biologia na nas czeka.

* * *

- I co? Strasznie było? – zapytał Dawid, kiedy w poniedziałek nauczyciel zebrał testy.

- Nie tak bardzo – zaśmiała się Laurel. – Ale tylko dlatego, że mi pomogłeś – dodała.

W sobotę uczyli się przez trzy godziny, a w niedzielny wieczór przegadali kolejną. Oczywiście rozmowa telefoniczna nie dotyczyła biologii, ale może nauczyła się czegoś przez osmozę. Osmoza przez telefon. Właśnie tak.

Dawid się zawahał.

- Moglibyśmy robić to regularnie – powiedział po chwili. – Znaczący... uczyć się.

- Tak – odparła. Spodobał jej się pomysł wspólnego „uczenia się”. – Następnym razem możesz przyjść do mnie – dodała.

- Świetnie.

Zanim skończyła się biologia, zaczęło padać, więc zebrali się pod zadaszeniem. Zwykle nikt tam nie jadł lunchu, bo nie było stolików, ale Laurel lubiła ten kawałek trawy, który – mimo dachu – nigdy nie wysychał całkowicie.

Gdy padało, większość uczniów zwykle zostawała w budynku szkoły, tego dnia jednak do Dawida i Laurel dołączyli Chelsea i chłopak o imieniu Ryan. Dawid i Ryan rzucali się kawałkami chleba, a Chelsea komentowała – krytykując ich celność, formę i to, że trafiają w widzów.

- O nie, to już było celowo – powiedziała, podnosząc kawałek skórki, który trafił ja prosto w klatkę piersiową. Odrzuciła go z powrotem do chłopaków.

- Nie, to był przypadek – odparł Ryan. – Przecież sama mówiłaś, że nie potrafisz trafić w nic, do czego celuję.

- W takim razie powinieneś celować we mnie, dzięki temu nie dostanę – wypaliła, po czym westchnęła i odwróciła się do Laurel. – Nie nadaję się do życia w Północnej Kalifornii – powiedziała, odsuwając włosy z twarzy. – Latem jest okej, ale gdy zaczyna padać, to proszę! Z moich włosów robi się coś takiego.

Chelsea miała długie, brązowe włosy z kasztanowym odcieniem, które opadały jej na plecy sprężynkami. W słoneczne dni były miękkie i jedwabiste, ale gdy powietrze robiło się zimne i wilgotne – a więc mniej więcej przez połowę roku – włosy wymykały jej się spod kontroli i opadały na twarz. Szare oczy dziewczyny przypominały Laurel ocean o świcie, gdy w mrocznym brzasku fale wydają się nie mieć końca.

- Moim zdaniem masz ładne włosy – powiedziała.

- Tak mówisz, bo nie są twoje. Musze stosować specjalne szampony i odżywki, żeby móc je w ogóle rozczesać – dodała, po czym spojrzała na Laurel i dotknęła jej prostych, jedwabistych włosów. – Twoje są fajne w dotyku. Czym je myjesz?

- A czymkolwiek.

- Hm. – Chelsea jeszcze raz dotknęła jej włosów. – Używasz odżywki bez spłukiwania? U mnie sprawdza się najlepiej.

Laurel zrobiła wdech i wypuściła głośno powietrze.

- Właściwie... właściwie to niczego nie używam. Po odżywkach moje włosy robią się śliskie i jakby tłustawe. A wszystkie szampony wysuszają mi włosy – nawet te nawilżające.

- Nie myjesz w ogóle głowy? – Ne mogła zrozumieć Chelsea.

- Myję w samej wodzie. I są czyste.

- Ale bez szamponu?

Laurel pokiwała głową, czekając na jakąś uwagę ze strony Chelsea, ale dziewczyna milczała.

- Szczęściara – powiedziała tylko i wróciła do jedzenia.

Wieczorem Laurel przyjrzała się uważnie swoim włosom. Może jednak powinna je myć szamponem? Ale włosy wydawały się takie same jak zawsze. Odwróciła się tyłem do lustra i zaczęła naciskać wybrzuszenie na plecach. W sobotę rano było maleńkie, przez weekend jednak sporo urosło.

- Do diabła z pierwszym pryszczem! – powiedziała Laurel do swojego odbicia w lustrze.

* * *

Następnego dnia Laurel obudziło tępe swędzenie między łopatkami. Starając się nie wpadać w panikę, pognąła do łazienki i wygięła szyję, żeby zobaczyć plecy w lustrze.

Wybrzuszenie było już większe niż moneta!

To nie żaden pryszcz. Dotknęła tego delikatnie i poczuła dziwne mrowienie wszędzie tam, gdzie musnęła palcami. W panice przycisnęła koszulę nocną do klatki piersiowej i wybiegła na korytarz w stronę sypialni rodziców. Już podniosła rękę, żeby zapukać, ale zatrzymała się i zmusiła do wzięcia kilku głębszych oddechów.

Opuściła wzrok i poczuła się nagle bardzo głupio. Co ona sobie myśli?! Stoi w przedpokoju praktycznie w samej bieliznie. Przerażona odstaąpiła od drzwi sypialni i wycofała się po cichu do łazienki, a potem zamknęła w niej pośpiesznie. Znowu stanęła plecami do lustra i zaczęła się uważnie przypatrywać guzkowi. Odwracała się, żeby obejrzeć go ze wszystkich stron, aż w końcu przekonała sama siebie, że nie jest tak duży, jak sądziła.

Laurel wychowała się w przekonaniu, że organizm ludzki potrafi sam o siebie zadbać. Większość problemów zdrowotnych – o ile zostawi się je samym sobie – ustąpi samoistnie. W ten sposób żyli jej rodzice – nigdy nie odwiedzali lekarza, nawet antybiotyków nie przyjmowali.

- To tylko wielki pryszcz. Sam zniknie – powiedziała Laurel do swojego odbicia, tonem brzmiącym zupełnie tak jak głos mamy.

Otworzyła szufladę i wyjęła tubkę maści, która mama robiła co roku. Był w niej rozmaryn, lawenda, olejek z drzewa herbacianego i Bóg wie co jeszcze. Mama wszystko tym smarowała.

Laurel uznała, że specyfik z pewnością jej nie zaszkodzi.

Wycisnęła na palce trochę pachnącej słodko maści i wtarła w narośl. Poczuła łaskotanie pod plecami i pieczenie – pewnie po olejku z drzewa herbacianego. Plecy zaczęły ją strasznie palić. Naciągnęła koszulkę i wycofała się do swojego pokoju, przyciskając łopatki do ściany.

Wybrała luźną koszulkę, zakrywającą całkowicie plecy. Większość topów chyba też przykrywała narośl, ale Laurel nie chciała ryzykować. To coś mogło jeszcze urosnąć, a wtedy wołałaby mieć pewność, że bluzka to ukryje. Czuła mrowienie, kiedy cokolwiek ocierało się o guza – jej długie włosy, wciągana przez głowę koszulka czy palce, kiedy dotykała pleców, żeby sprawdzić, czy to coś naprawdę istnieje. Zanim zeszła na dół, była przekonana, że każdy

nerw jej ciała jest połączony z naroślą.

W czwartek rano Laurel nie mogła już udawać, że to, co pojawiło się na jej plecach, jest pryszczem. Nie tylko urosło w ciągu ostatnich dwóch dni, ale – co gorsza – zaczęło rosnać szybciej. Tego ranka było już wielkości piłeczki do golfa.

Laurel zeszła na śniadanie z postanowieniem, że powie rodzica o dziwacznej narośli. Już nawet otworzyła usta, żeby to z siebie wyrzucić, ale w ostatniej chwili stchórzyła i tylko poprosiła tatę o podanie melona.

Nikt nie zauważył guza pod koszulkami i rozpuszczonymi włosami, ale wiedziała, że to tylko kwestia czasu – zwłaszcza jeśli to coś będzie nadal rosło. „Jeśli” – powtarzała w myślach. „Jeśli będzie rosło. Może mama i jej zioła pomogą”.

Od trzech dni smarowała to miejsce maścią, ale nic się nie działo. No, ale skoro coś rośnie tak szybko, to chyba olejek z drzewa herbacianego na niewiele się zda, prawda? Może to nowotwór? Laurel była pewna, że kiedyś czytała o guzach kręgosłupa. Westchnęła głośno. Nowotwór wydawał się możliwy.

- Halo? Słuchasz mnie? – głos Chelsea przerwał jej rozmyślenia.

- Co?

- Tak myślałam – zaśmiała się Chelsea. – Wszystko okej? – zapytała ciszej.
– Wydawałaś się taka nieobecna.

Laurel popatrzyła na nią. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, na jaką lekcję teraz idzie.

- Nic mi nie jest – odparła poirytowana. – Zamyślałam się.

Chelsea przyglądała jej się badawczo przez kilka sekund, a potem uniosła z niedowierzaniem jedną brew.

- W porządku – powiedziała.

Chwilę później zrównał się z nimi Dawid, a kiedy Chelsea poszła na swoją lekcję, Laurel przyspieszyła, żeby wyprzedzić chłopaka. Wyciągnął jedną rękę i zatrzymał ją.

- Przecież się nie pali, Laury. Jeszcze trzy minuty do dzwonka.

- Nie nazywaj mnie tak! – warknęła, bo nie zdołała się opanować.

Zamilkł i nie dodał już nic.

Próbowała znaleźć słowa przeprosin, ale nie wiedziała, co ma powiedzieć. „Przepraszam cię, ale jestem okropnie zdenerwowana, bo być może mam raka?”

- Nie lubię zdrobnień – wyrzuciła z siebie zamiast tego.

Twarz Dawida zdążyła już przybrać dzielny uśmiech.

- Nie wiedziałem. Przepraszam – odparł i przejechał palcami po włosach. – Czy ty... - zaczął, ale zawiesił głos, bo chyba zmienił zdanie. – Chodź, odprowadzę cię do klasy.

Czuła się niezręcznie, idąc u jego boku. Kiedy doszli do Sali, odwróciła się i pomachała.

- Na razie – powiedziała.

- Laurel?

Odwróciła się ponownie.

- Co robisz w sobotę?

Zawahała się. Miała nadzieję, że znowu spędzą wspólnie czas. Jeszcze wczoraj zastanawiała się, w jaki sposób go o to zagadnąć, żeby wyszło naturalnie, ale teraz uznała, że może jednak nie jest to najlepszy pomysł.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zrobić sobie piknik i ognisko całą grupą. Znam takie fajne miejsce na plaży. Chelsea powiedział, że przyjdzie, oprócz niej Ryan, Molly i Joe. I jeszcze może parę osób.

Jedzenie, pasiek i dym z ogniska. Nic z tego nie wydawało się przyjemne.

- Jest trochę za zimno na pływanie, ale... Wiesz, zawsze ktoś kogoś wepchnie. Wesóło będzie.

Udawany uśmiech znikł z twarzy Laurel. Nienawidziła tego uczucia, kiedy słona woda zalewa jej skórę. Nawet po drobnym opryskaniu miała wrażenie, że sól wchłania się przez pory. Kiedy ostatni raz pływała w oceanie, przez cztery dni czuła się osłabiona i ociężała. No a poza tym w żaden sposób nie ukryje guza – czy cokolwiek to jest – w stroju kąpielowym.

Aż się wzdrygnęła na myśl, że urośnie w ciągu kolejnych dni. Nie może iść na plażę, nawet gdyby chciała.

- Dawid, ja... - Tak bardzo nie chciała go rozczarować. – Ja nie mogę.

- Dlaczego?

Mogła powiedzieć, że musi pomagać tacie w księgarni – jeszcze niedawno spędzała tak prawie każdą sobotę – ale nie potrafiła zmusić się do kłamstwa. Nie wobec Dawida.

- Po prostu nie mogę – wymamrotała i uciekła do klasy bez pożegnania.

W piątek rano guz miał już rozmiary piłeczki tenisowej. To musiał być nowotwór. Laurel nawet nie poszła sprawdzić do łazienki, bo doskonale go wyczuwała.

Tego nie ukryje żadna koszulka.

Musiła poszperać w głębi szafy, żeby znaleźć falbaniastą bluzkę, która mogła zakamufłować narośl. Siedziała cały ranek w swoim pokoju, a kiedy czas było iść do szkoły, zbiegła na dół i rzuciła rodzicom tylko „dzień dobry i pa”, po czym wybiegła z domu.

Dzień dłużył się niemiłosiernie. Guz swędział ją cały czas, nie tylko wtedy, gdy go dotykała. O niczym innym nie była w stanie myśleć. W czasie przerwy na lunch do nikogo się nie odezwała i było jej głupio, ale nie potrafiła skupić się na niczym, kiedy czuła ciągle mrowienie na plecach.

Na ostatniej lekcji, zapytana przez nauczycielkę, cztery razy podała błędną odpowiedź. Pytania były coraz łatwiejsze – jak gdyby señora Martinez chciała dać jej szansę – ale równie dobrze mogła mówić w suahili. Kiedy rozległ się dźwięk dzwonka, Laurel wybiegła z klasy jako pierwsza, zanim nauczycielka zdołał ją zagadnąć o fatalne przygotowanie do lekcji.

Laurel zauważyła, że Dawid i Chelsea rozmawiają przy jej szafce, więc odwróciła się i ruszyła w przeciwną stronę, w kierunku tylnego wyjścia – z nadzieją, że żadne z nich się nie odwróci i jej nie rozpozna. Kiedy wyszła ze szkoły, przecięła boisko do piłki nożnej, niepewna, w którą stronę powinna iść

w tym nadal obcym mieście. Cały czas czuła wewnętrzny strach. „A co jeśli to rak? Nowotwór nie znika ot, tak sobie. Może powinnam jednak powiedzieć mamie?”

- W poniedziałek – szepnęła pod nosem. Chłodny wiatr rozwiał jej włosy. – Jeśli nie zniknie do poniedziałku, powiem rodzicom.

Weszła na trybunę, a jej kroki dudniły na metalowych schodach. Stanęła na górze przy barierce i spojrzała ponad linię drzew na horyzoncie. Stojąc tak wysoko, czuła się samotna i odosobniona.

Odwróciła się gwałtownie, słysząc kroki za plecami, i ujrzała zakłopotana twarz Dawida.

- Hej – powiedział.

Nie odpowiedziała, bo owładnęło nią uczucie ulgi pomieszanej ze złością. Przeważała jednak ulga.

- Mogę usiąść? – zapytał, machając ręką w stronę ławki, na której stała Laurel.

Milczała przez chwilę, a potem usiadła na ławce i z delikatnym uśmiechem poklepała miejsce obok.

Usiadł ochoczo, jakby nie mógł uwierzyć zaproszeniu.

- Wcale nie chciałem cię śledzić – powiedział i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. – Zamierzałem czekać na dole, ale... - Wzruszył ramionami. – Co mam powiedzieć? Niecierpliwilem się.

Laurel nic nie mówiła. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

- Wszystko w porządku? – zapytał w końcu. Jego głos odbijał się od metalowych ławek i brzmiał donośniej niż zwykle.

Poczuła, że łyzy pieką ją pod powiekami, ale zamrugnęła, żeby je powstrzymać.

- Nic mi nie jest.

- Jesteś taka przygaszona w tym tygodniu.

- Przepraszam.

- Czy... czy zrobiłem coś nie tak?

Podniosła gwałtownie głowę. Gryzły ją wyrzuty sumienia.

- Ty? Nie, Dawid. Ty... jesteś wspaniały – powiedziała. – Miałam po prostu zły dzień i tyle – dodała, zmuszając się do uśmiechu. – Daj mi dwa dni, to przejdzie. Obiecuję, że w poniedziałek będzie lepiej.

Dawid pokiwał głową i znowu zapadła cisza, ciężka i niezręczna. W końcu chłopak odchrząknął.

- Mogę cię odprowadzić do domu?

- Zostanę tu jeszcze trochę. – Pokręciła głową. – Nic mi nie będzie- dodała.

- Ale... - zaczął, jednak nie dokończył. Pokiwał tylko głową, po czym wstał i zaczął schodzić na dół. Po chwili odwrócił się. – Gdybyś czegoś potrzebowała, znasz mój numer telefonu, prawda?

Laurel potwierdziła. Zapisała go od razu na tablicy przy telefonie, a teraz знаła go już na pamięć.

- No dobrze. – Przeształ z nogi na nogę i odwrócił się. – To ja idę.

Zanim zniknął jej z oczu, zawołał go po imieniu, ale kiedy odwrócił się do

niej, ukazując szczerą twarz, straciła całą odwagę.

- Baw się dobrze jutro – powiedziała be przekonania.

Widać było, że jest zawiedziony, ale pokiwał głową i ruszył dalej.

Wieczorem Laurel usiadła przy toaletce w łazience i wpatrywała się w swoje plecy. Po policzkach płynęły jej łzy, gdy smarowała narośl maścią. Do tej pory nie zadziałała i rozsądek podpowiadał jej, że i teraz nic nie da, ale coś musiała przecież zrobić

Sobotni poranek powitał Laurel chłodem. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka, z którą słońce z pewnością rozprawi się do południa. Była pewna, że całe towarzystwo będzie nurkować albo wypychać się wzajemnie do lodowatego Pacyfiku, i dziękowała losowi, że nie zgodziła się pójść razem z nimi. Leżała w łóżku kilka minut, obserwując wschód słońca w odcieniach zamglonego błękitu, różu i pomarańczowego. Większość ludzi podziwiała zachody słońca, dla niej jednak to wschody były magiczne. Przeciągnęła się i usiadła, nadal zwrócona twarzą do okna. Pomyślała, że tyle osób w miasteczku przesypia właśnie ten cudowny widok: ot, chociażby jej tata. Był wielkim śpiochem i w sobotę rzadko wstawał przed południem.

Laurel uśmiechnęła się na sama myśl o tym, ale rzeczywistość szybko dała o sobie znać. Dziewczyna przesunęła palce na ramię i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Zdusiła w sobie krzyk, kiedy drugą ręką dołączyła do pierwszej, żeby potwierdzić to, co tamta wyczuła.

Guz zniknął.

Ale na jego miejsce pojawiło się coś innego. Coś długiego i chłodnego w dotyku.

O wiele większego niż guz.

Przeklinając brak lustra w swoim pokoju, wygięła szyję do tyłu, próbując zajrzeć za ramię, ale dostrzegła tylko zaokrąglone białe krawędzie. Odrzuciła kołdrę i popędziła do drzwi. Bezszelestnie nacisnęła klamkę i uchyliła je z cichym skrzyknięciem, a potem otworzyła szerzej, po raz pierwszy w życiu błogosławiąc dobrze naoliwione zawiasy. Potem przeszła do łazienki, przesuwając się korytarzem plecami do ściany, jakby to miało jej w czymś pomóc.

Trzęsącymi się rękoma zamknęła za sobą drzwi łazienki i przez chwilę mocowała się z zasuwką. Dopiero kiedy ta zaskoczyła, pozwoliła sobie znowu oddychać. Oparła czoło o chropowate, niewykończone drewno i starała się uspokoić. Odszukała włącznik, zapaliła światło, a następnie wzięła głęboki oddech, mrugając szybko, żeby zniknęły ciemne plamki przed oczami, i zrobiła krok w stronę lustra.

Nie musiała nawet stawać tyłem, żeby zobaczyć, co jej wyrosło. Nad ramionami wystawało coś podłużnego, niebieskobiałego. Przez chwilę stała oczarowana, przyglądając się temu z szeroko otwartymi oczami. Było przerażająco piękne – tak piękne, że nie dało się tego opisać słowami.

Odwróciła się powoli, żeby móc to lepiej zobaczyć. Z miejsca, w którym wcześniej znajdował się guz, wyrastały podłużne płatki, tworząc coś w rodzaju delikatniej, zaokrąglonej czteroramiennej gwiazdy. Najdłuższe – wystające ponad ramionami i wychodzące zza boków – miały ponad trzydzieści centymetrów długości i były szerokie jak dłoń Laurel. Mniejsze – o długości około dwudziestu, może dwudziestu pięciu centymetrów –

rozchodziły się spiralnie ze środka, wypełniając środek. W miejscu, w którym ten potężny kwiat wyrastał ze skóry, widać było nawet kilka małych zielonych listków.

Wszystkie płatki miały ciemnoniebieskie zabarwienie u nasady, przechodzące w przepiękny błękit na środku i biel na krawędziach. Te były postrzępione i dziwnie przypominały fiołki afrykańskie, które mama hodowała w kuchni. Płatków musiało być co najmniej trzydzieści.

Laurel stanęła znowu przodem do lustra, przyglądając się płatkom sterczącym zza głowy. Wyglądały niemal zupełnie jak skrzydła.

Głośnie pukanie do drzwi wytrąciło ją z transu.

- Skończyłaś? – zapytała mama zaszpanym głosem.

Laurel wbiła paznokcie w dłonie i patrzyła w przerażeniu na wielkie białe płatki. Były śliczne, to prawda, ale komy, u licha, wyrasta z pleców gigantyczny kwiat? To było dziesięć, nie! – sto razy gorsze niż guz. Jak ma to ukryć?

Może uda się te płatki po prostu oderwać? Chwyciła za jeden podłużny i pociągnęła. Przeszył ją ostry ból, promieniujący w dół kręgosłupa. Musiała zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć, ale i tak wymknął jej się zduszony jęk.

- Laurel? Wszystko w porządku? – Mama znowu zapukała do drzwi.

Dziewczyna wzięła kilka głębokich oddechów, a kiedy ból przerodził się w tępe pulsowanie, odzyskała mowę.

- Tak – powiedziała nieco drżącym głosem. – Jeszcze momencik. – Obiegła wzrokiem całe pomieszczenie w poszukiwaniu czegoś przydanego. Cienka koszula na ramiączka, która miała na sobie, nie zakrywała niczego. Chwyciła duży ręcznik kąpielowy i narzuciła sobie na ramiona, a potem otuliła się nim szczelnie. Rzuciła okiem w lustro, żeby upewnić się, czy nie wystają jej gdzieś wielkie płatki, po czym otworzyła drzwi i zmusiła się do uśmiechu.

- Przepraszam, że tak długo.

- Brałaś prysznic? Nie słyszałam wody?

- Krótki – odparła i zawahała się. – Ale nie zamoczyłam włosów – dodała.

Jednak mama nie zwróciła na to uwagi.

- Zejdz na dół, jak będziesz gotowa, to zrobię śniadanie – powiedziała, ziewając. – Zapowiada się ładny dzień.

Laurel wyminęła mamę i skryła się w swoim pokoju. W drzwiach nie było zamka, więc podstawiała krzesło i zaparła je o klamkę tak, jak to widziała na filmach. Spojrzała z powątpieniem na tę barykadę: z pewnością nie wytrzyma wiele, ale przecież nic więcej nie wymyśli

Pozwoliła, by ręcznik zsunął się jej z ramion, i spojrzała na zgniecione płatki. Były trochę pomięte, ale nie sprawiały bólu. Wysunęła jeden z nich ponad ramię i przyjrzała mu się uważnie. Wielki guz to jedno, ale co ma zrobić z czymś takim?

Powąchała płatek, zastygła na chwilę, po czym powąchała ponownie.

Pachniał jak kwiat drzewa owocowego, tylko mocniej. O wiele mocniej.

Odurzający aromat zaczął wypełniać pokój. To coś przynajmniej nie śmierdzi.

Będzie musiała powiedzieć mamie, że ma nowe perfumy czy coś takiego.

Wzięła znowu wdych i pomyślała, że fajnie byłoby móc dostać w perfumerii

cokolwiek o tak ładnym zapachu.

Nagle uświadomiła sobie powagę sytuacji – miała wrażenie, że pokój zawirował pod jej stopami. Ze ściśniętym sercem próbowała coś wymyślić.

Najważniejsze, żeby to jakoś ukryć.

Otworzyła szafkę i zaczęła szukać czegoś, co pozwoliłoby jej zakamuflować wielki kwiat wyrastający z pleców. Niestety, kiedy uzupełniała garderobę w sierpniu, zupełnie nie wzięła tego pod uwagę. Jęknęła, patrząc na półki pełne jasnych, cienkich bluzeczek i sukienek na ramiączka. Przecież pod tym niczego nie ukryje.

Przerzuciła ubrania i wybrała kilka topów. Upewniła się, że droga jest wolna, po czym pobiegła do łazienki, przysięgając sobie, że później pójdzie do sklepu i kupi sobie lustro. Drzwi zamknęły się nieco głośniejsze, niż zamierzała, ale stanęła z uchem przyciśniętym do chłodnego drewna, nasłuchując przez kilka sekund. Nie było reakcji ze strony mamy.

Pierwszy top nie wszedł w ogóle na wielki kwiat. Laurel przypatrywała się swojemu odbiciu w lustrze. Przecież musi być jakiś sposób!

Chwyła tyle białych płatków, ile się dało, i próbowała obwiązać nimi ramiona. Niestety, nie było dobre rozwiązanie. A poza tym nie miała zamiaru do końca życia nosić bluzek z rękawem.

Zamiast tego owinęła sobie płatki wokół talii. Tak, to zdecydowanie lepszy pomysł. Zdjęła z wieszaka długi jedwabny szal i owinęła go sobie wokół pasa, przyciskając płatki do skóry, a potem włożyła na to dżinsowe spodnie. Nie bolało, jednak czuła się zduszona.

Ale i tak było to lepsze niż nic. Do tego wybrała luźną bluzkę. Stanęła przed lustrem z drżącym sercem.

Musiała przyznać, że efekt był niezły. Tkanina wybrzuszała się tak czy inaczej, więc nie można było poznać, co jest pod spodem. Nawet z boku wybrzuszenie na plecach było ledwie zauważalne. Kiedy rozpuści włosy, to już w ogóle nikt nie zauważy. Jeden mały problem rozwiązany.

Ale pozostało sto dużych.

To było coś więcej niż dziwna oznaka dojrzewania. Wahania nastroju, szpecący trądzik, nawet długotrwałe miesiączki graniczyły przynajmniej z normalnością. Ale wielki kwiat wyrastający na plecach z pryszcza wielkości piłeczki do tenisa? To już zupełnie inna bajka.

I co teraz? Takie rzeczy zdarzają się przecież wyłącznie w kiepskich horrorach. Nawet gdyby zdecydowała się komuś powiedzieć, czy ktoś by jej uwierzył? Nigdy, nawet w najgorszych snach, nie podziwiała się, że przytrafi jej się coś podobnego.

To koniec. Koniec przyszłości, życia. Zupełnie jakby w jednej chwili straciła szansę na wszystko.

Łazienka wydawała jej się nagle zbyt duszna. Zbyt mała, zbyt ciemna, zbyt... zbyt w ogóle. Poczwała, że musi natychmiast wyjść z domu. Pobiegła do kuchni, wyjęła puszkę napoju i otworzyła drzwi do ogrodu.

- Idziesz na spacer?

- Tak, mam – odpowiedziała, nie odwracając się.

- Przyjemności.

Laurel mruknęła coś pod nosem.

Wyszła na ścieżkę prowadząca do zagajnika. Zupełnie nie zwracała uwagi na zielone listki i żdźbła, na których mieniły się krople rosy. Na horyzoncie, w miejscu gdzie niebo spotykał się z oceanem, widać było jeszcze cienka warstwę mgły, ale nad głową miała już przejrzysty błękit i wznoszące się coraz wyżej słońce. To rzeczywiście będzie piękny dzień. Co za ironia. Laurel miała wrażenie, że matka natura okrutnie sobie z niej zakpiła. Jej życie legło w gruzach, a tymczasem wszystko dookoła pyszniło się pięknem, jakby zupełnie na złość.

Schyliła się i weszła w gęste zarośla, niewidoczne ani z domu, ani z ulicy. Uznała jednak, że to nie wystarczy, więc poszła głębiej.

Po kilku minutach zatrzymała się, nasłuchując, czy w pobliżu nie ma kogoś – lub czegoś. Kiedy poczuła się bezpiecznie, podniosła bluzkę i rozwiązała szal. Z jej ust wydobyło się westchnienie, kiedy płatki wróciły do swojego naturalnego położenia. Poczowała, jakby zostały uwolnione z maleńkiego, ciasnego pudełka.

Przez korony drzew przedostał się promień słońca, a wtedy zobaczyła na trawie swój cień; przypominał ogromnego motyla z przezroczystymi skrzydłami. Podobnie jak cienie rzucane przez baloniki, i ten miał w sobie odcień błękitu. Laurel próbowała poruszać skrzydłami, ale chociaż je czuła – każdy centymetr płatków, teraz skąpanych w słońcu – nie miała nad nimi żadnej władzy. Tonie możliwe, żeby coś, co zniszczyło jej życie, mogło być tak piękne.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w cień, zastanawiając się, co robić. Czy powinna powiedzieć rodzicom? Obiecała sobie, że im powie, jeśli guz nie zniknie do poniedziałku.

No cóż, zniknął.

Wyprostowała jeden długi płatek ponad ramieniem i przesunęła po nim palcem. Był taki delikatny... I wcale nie sprawiał bólu. „Może po prostu rozplynie się w powietrzu?” – pomyślała optymistycznie. Mama zawsze powtarzała, że w końcu większość problemów ustępuje samoistnie. Może... może będzie dobrze.

„Dobrze?”. – Słowa pulsowały jej pod czaszką. „Jak może być dobrze, skoro na plecach rośnie mi ogromny kwiat?”

Emocje targały nią niczym szalejący huragan, aż nagle pomyślała o Dawidzie. Może on mógłby jej pomóc to zrozumieć? Przecież musi być jakieś naukowe rozwiązanie. Dawid ma mikroskop – z tego, co mówił, całkiem dobry. Może mógłby spojrzeć na kawałek tego dziwnego kwiatu? Może byłby w stanie powiedzieć, co to jest? A nawet jeśli nie, to i tak w niczym to nie zaszkodzi.

Obwiązała znowu płatki szalem i ruszyła pośpiesznie do domu. Kiedy wbiegła do kuchni, niemal wpadła na tatę.

- Tata! – krzyknęła zaskoczona.

Nachylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Dzień dobry, kochanie – powiedział i położył rękę na jej ramieniu.

Laurel wstrzymała nerwowo oddech z nadzieją, że nie wyczuje płatków pod jej bluzką.

Zapomniała, że tata przed wypiciem rano drugiej kawy mało zauważa.

- Czemu już nie śpisz? – zapytała nieco drżącym głosem.

- Musze otworzyć księgarnię – jęknął. – Madzie wzięła wolne.

- No tak – powiedziała Laurel.

Próbowała bronić się przed myślami, że zmiana przyzwyczajień taty kozył znak.

Tata zabierał właśnie rękę, ale nagle zatrzymał się i powąchał powietrze wokół jej ramienia. Laurel zamarła.

- Ślicznie pachniesz – odezwał się. – Powinnaś częściej używać tych perfum.

Pokiwała głową, modląc się, żeby nie zauważył jej przerażenia.

Wyswobodziła się z objęć ojca, zabrała telefon bezprzewodowy i pobiegła schodami do góry.

Kiedy znalazła się w swoim pokoju, przez dłuższą chwilę wpatrywała się w słuchawkę. Nie była w stanie wybrać numeru Dawida. W końcu jednak to zrobiła. Chłopak odebrał już po pierwszym sygnale.

- Halo?

- Cześć – powiedziała szybko, z trudem powstrzymując się przed odłożeniem słuchawki.

- Laurel! Cześć, co słuchać?

Mijały kolejne sekundy milczenia.

- Laurel?

- Tak?

- To ty do mnie dzwonicz.

Milczenie.

- Mogę do ciebie przyjść? – wyrzuciła w końcu z siebie.

- Jasne. Kiedy?

- Za chwilę.

6

Kilka minut później Laurel znowu zastawiła drzwi krzesłem. Podniosła przód bluzki i wyciągnęła jeden białobłękitny płatek spod jedwabnego szala. W jej dłoni wyglądał tak niewinnie... Prawie zapomniała, że wyrasta z jej pleców. Wyjęła nożyczki do paznokci i zaczęła przyglądać się uważnie płatkowi. Uznała, że wystarczy mały kawałek. Spojrzała raz jeszcze i wybrała postrzępiony koniuszek.

Zacisnęła zęby i ustawiła nożyczki we właściwym miejscu. Miała ochotę zamknąć oczy, ale bała się, że w ten sposób narobi większych szkód. Policzyła bezgłośnie. „Raz, dwa, trzy! Nie, przecież miało być do pięciu!” Nacisnęła i nożyczki ucięły równo mały kawałek białego płatka, który opadł prosto na łóżko. Jęknęła i przez chwilę podskakiwała, aż ustało pieczenie, a potem spojrzała na nacięty płatek. Nie leciała z niego krew, tylko odrobina przejrzystej cieczy. Delikatnie osuszyła go ręcznikiem, a następnie ukryła pod szalem. Wtedy dopiero podniosła odcięty fragment, zawinęła go w chusteczkę i włożyła ostrożnie do kieszeni.

Zbiegła po schodach, starając się wyglądać zwyczajnie.

- Idę do Dawida – powiedziała, mijając rodziców, którzy siedzieli przy kuchennym stole i jedli śniadanie.

- Chwileczkę – odezwał się tata.

Stanęła w miejscu, ale się nie odwróciła.

- A co byś powiedziała na: „Czy mogę iść do Dawida?”.

Odwróciła się z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

- Czy mogę iść do Dawida?

Ojciec nie poniósł nawet wzroku znad gazety, tylko zbliżył kubek z kawą do ust.

- Oczywiście – odparł. – Baw się dobrze.

Do drzwi starała się iść normalnym krokiem, ale kiedy tylko znalazła się na zewnątrz, pobiegła po rower i ruszyła pędem. Mieszkała tylko kilka ulic od Dawida, więc chwilę później opierała już rower o jego garaż. Stanęła na progu, spojrzała na jaskrawo czerwone drzwi i zadzwoniła szybko, żeby przypadkiem nie wziąć nóg za pas i nie wrócić do domu. Wstrzymała oddech, usłyszała bowiem kroki i dźwięk przekręcanego zamka.

Otworzyła jej mama Dawida. Laurel starała się ukryć zaskoczenie – w końcu była niedziela i mogła się spodziewać, że pani Lawson będzie w domu. Widziała ją dopiero po raz drugi. Kobieta miała na sobie modny czerwony top i dżinsy, a jej długie, niemal czarne włosy opadały luźno falami. Była najbardziej niemamowatą mamą, jaką Laurel kiedykolwiek spotkała – w pozytywnym tego słowa znaczeniu.

- Witaj, Laurel. Miło cię widzieć.

- Dzień dobry – powiedziała dziewczyna nerwowo i stała nieruchomo.

Na szczęście chwilę później pojawił się Dawid.

- Cześć – rzucił, uśmiechając się szeroko. – Chodź do środka – dodał i wskazał ręką na hol. – Laurel potrzebuje pomocy w zadaniu domowym z biologii – wyjaśnił swojej matce. – Będziemy u mnie w pokoju.

Mama Dawida szeroko się uśmiechnęła.

- Macie na coś ochotę? Może coś do jedzenia?
- Tylko cisza i spokój. – Dawid pokręcił głową. – To dość trudne zadanie.
- W takim razie już was zostawiam.

Zielone drzwi do pokoju Dawida były otwarte szeroko; chłopak zaprosił ją do środka. Nachylił się, by wyjąć segregator z biologii, a potem spojrzął na korytarz, żeby upewnić się, czy nie widać mamy, i... zamknął drzwi.

Laurel patrzyła na zamknięte wejście. Była już wcześniej w pokoju Dawida, ale on nigdy nie zamykał drzwi. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że nie ma tu zamka z kluczem

- Twoja mama nie będzie podsłuchiwała pod drzwiami? – zapytała, czując się głupio, że w ogóle zadaje takie pytania.

Dawid prychnął.

- Nigdy tego nie robi. Zyskałem sporo prywatności dzięki temu, że nie pytam, dlaczego niektórzy faceci, z którymi się umawia, zostają do rana. Ja nie wtrącam się w sprawy mamy, a ona nie wtrąca się w moje.

Laurel zaśmiała się, a jej zdenerwowanie częściowo opadło.

Dawid wskazał na łóżko, a sam przysunął sobie krzesło i usiadł.

- Więc? – zapytał po chwili.
- „Teraz albo nigdy” – pomyślała Laurel.
- Chciałam, żebyś spojrzął na coś pod mikroskopem.

Dawid wydawał się dezorientowany.

- Pod mikroskopem? – zapytał.
- Mówiłeś, że masz dobry sprzęt.
- Ach tak. Oczywiście – odparł, odzyskując opanowanie.

Laurel włożyła rękę do kieszeni i wyjęła chusteczkę.

- Powiedz mi, co to jest?

Dawid odwinął delikatnie zawiniątko i spojrzął na mały białobłękitny fragment.

- Wygląda jak płatek jakiegoś kwiatu – powiedział.
- Możesz to obejrzeć pod mikroskopem?
- Jasne.

Dawid odwrócił się w stronę długiego stołu, na którym stały rozmaite sprzęty – niektóre z nich Laurel widziała w sali biologicznej. Nawet sporo z nich. Dawid zdjął osłonę z czarnego mikroskopu i wyjął szklaną płytkę z pudełka.

- Mogę uciąć kawałek? – zapytał.

Zadrżała, przypominając sobie, jak niecałe pół godziny wcześniej odcięła to z siebie.

- Oczywiście - powiedziała.

Dawid odciął maleńki fragment i położył na pytce, a następnie dodał jakiejś żółtej substancji i przykrył drugą płytką. Umieścił próbkę pod mikroskopem i

przez chwilę ustawiał pokrętła, spoglądając w okular. Minuty mijały powoli, a on nadal kręcił pokrętłami i ustawiał płytkę coraz to pod innym kątem. W końcu się podniósł.

- Mogę tylko powiedzieć z całą pewnością, że to fragment rośliny i że komórki są bardzo aktywne, co znaczy, że ona rośnie. Kwitnie, sądząc po kolorze.

- Fragment rośliny? Jesteś pewien?

- Zdecydowanie – powiedział, spoglądając ponownie przez okular.

- To nie jest kawałek... eee... zwierzęcej?

- Nie. Absolutnie.

- Skąd wiesz?

Dawid przerzucił kilka gotowych preparatów w pudełku. Wyjął płytkę z różową plamką i znowu ustawił mikroskop.

- Chodź – powiedział, wstając i wskazując na swoje krzesło.

Zajęła jego miejsce i nachyliła się ostrożnie nad okularem.

- Nie ugryzie cię – zaśmiał się. – Musisz się przysunąć bliżej.

Zrobiła, jak mówił, i zobaczyła różowy świat, poprzecinany brązowymi liniami i punktami.

- Co powinnam widzieć?

- Popatrz na komórki. Wyglądają mniej więcej tak jak ilustracje w podręczniku do biologii. Widzisz, że są zaokrąglone i mają regularne kształty? Jak połączone ze sobą kleksy.

- Widzę.

Dawid wyjął płytkę i włożył tę oglądaną wcześniej. Ustawił ostrość i przesunął mikroskop do Laurel.

- Spójrz teraz na to.

Przesunęła oko nad okular, obawiając się tego, co zobaczy. Miała nadzieję, że Dawid nie zauważył, jak bardzo trzęsą jej się ręce.

- Przyjrzyj się teraz komórka. Są w miarę kwadratowe i podobne do siebie. Komórki roślinne są regularne, inaczej niż zwierzęce. Mają poza tym grube ściany komórkowe, co zapewne widzisz. Nie oznacza to, że nie ma kwadratowych komórek zwierzęcych, ale z pewnością nie są one aż tak regularne. I mają cieńsze ścianki.

Laurel oparła się o krzesło. Przecież to zupełnie nie ma sensu!

Z jej pleców wyrastała roślina! Zmutowany, pasożytniczy kwiat! Była dziwadłem nad dziwadłami i gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, wytykano by ją palcami do końca życia. Zaczęło jej się kręcić w głowie i miała wrażenie, jakby całe powietrze z pokoju zostało gdzieś zassane. Czuła wielki ucisk w klatce piersiowej i nie mogła oddychać.

- Muszę iść – wymamrotała.

- Poczekaj. – Dawid przytrzymał ją za rękę. – Nie idź. Nie, kiedy jesteś taka zdenerwowana.

Próbował spojrzeć jej prosto w oczy, ale z uporem odwracała wzrok.

- Martwię się o ciebie – powiedział. – Nie powiesz mi, o co chodzi?

Popatrzyła w jego niebieskie oczy. Widziała w nich szczerą i delikatność.

Nie obawiała się, że Dawid nie dochowa tajemnicy, ufała mu. I musiała komuś w końcu powiedzieć. Próbowała sobie sama z tym poradzić, ale niespecjalnie jej się to udało. W ogóle się nie udało.

Może Dawid zrozumie. W końcu co ma do stracenia?

- Nie powiesz nikomu? – zapytała po chwili wahania. – Nigdy?

- Nigdy.

- Przysięgnij.

Pokiwał zdecydowanie głową.

- Muszę to usłyszeć, Dawid.

- Przysięgam.

- Ta przysięga nie przestanie obowiązywać. Jeśli ci powiem – nacisk na „jeśli był bardzo wyraźny – nie wolno ci nikomu tego powtórzyć. Nigdy. Nawet za dziesięć lat, za dwadzieścia ani za pięćdziesiąt...

- Laurel, przestań. Wpadasz w panikę. Obiecuję, że nikomu nie powiem.

Chyba że mi pozwolisz.

Patrzyła na niego przez chwile.

- To nie fragment rośliny, Dawid. To fragment mnie.

Chłopak wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jak to ciebie?

Nie było odwrotu.

- Widzisz, wyrósł mi na plecach guz – to dlatego zachowywałam się tak dziwnie. Myślałam, że mam raka czy coś w tym rodzaju. Ale dziś rano... na plecach zakwitło mi... to coś. Mam kwiat rosnący na środku kręgosłupa – powiedziała i usiadła wyzywająco z założonymi rękoma.

Patrzył na nią z otwartymi ustami. W końcu oparł ręce na biodrach i zacisnął usta. Odwrócił się, podszedł do łóżka i usiadł, opierając łokcie na kolanach.

- Muszę cię o to zapytać – ale tylko raz, bo cokolwiek mi odpowiesz, uwierzę ci, okej?

Laurel pokiwała głową.

- Czy to ma być żart, czy ty naprawdę wierzysz w to, co powiedziałaś?

Poderwała się i rzuciła w stronę drzwi. To był błąd, że do niego przyszła. Wielki błąd. Ale zanim zdążyła chwycić za klamkę, Dawid zatarasował jej przejście.

- Zaczekaj. Powiedziałem, że zapytam tylko raz. Przysięgniesz, że to nie żart, i ja ci uwierzę.

Spojrzała mu prosto w oczy. Zaskoczyło ją to, co w nich zobaczyła. Nie było tam niedowierzania, raczej niepewność. On po prostu nie chciał stać się ofiarą głupiego kawału. Laurel postanowiła udowodnić, że nie zrobiłaby czegoś takiego – przynajmniej nie jemu.

- Pokażę ci – powiedziała, ale zabrzmiało to bardziej jak pytanie.

- Okej – odparł równie ostrożnie.

Odwróciła się i zaczęła mocować się z supłem na szalu. Kiedy uwolniła płatki, podniosła bluzkę, żeby mogły się rozwinąć.

- Ale jak... przecież to niemożliwe... to... jak, do licha?

Wykrzywiła twarz w ledwie widocznym uśmiechu.

- No właśnie – powiedziała.

- Mogę... mogę przyjrzeć się z bliska?

Skinęła głową, więc zrobił niepewny krok do przodu.

- Nie ugryzę cię – powiedziała, ale w jej głosie nie było wesołości.

- Wiem, tylko... - Poczzerwieniał. – Nieważne. – Podszedł bliżej i dotknął palcami gładkiej powierzchni płatka. – Mogę tak? – zapytał.

Zgodziła się.

Dawid dotknął delikatnie miejsca, w którym jej skóra przechodziła łagodnie w małe zielone listki.

- Nie ma tu nawet szwu – wyrastają wprost z twojej skóry. To najbardziej niesamowita rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem.

Laurel wpatrywała się w podłogę. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Rozumiem teraz, dlaczego zachowywałaś się ostatnio trochę dziwnie.

- Nie masz pojęcia – powiedziała i usiadła na łóżku tyłem do okna, żeby słońce mogło ogrzać płatki.

Dawid przyglądał się jej, pełen pytań, ale żadnego nie zadał. Usiadł tylko naprzeciwko, patrząc to na nią, to na wyrastające ponad jej ramionami płatki.

- Czy ty... - zaczął, ale zamilkł.

Po minucie wstał i zrobił kilka kroków.

- Czy to... - znowu zamilkł i zaczął chodzić po pokoju.

Laurel potarła palcami skronie.

- Proszę cię, nie chodź tak – to mnie doprowadza do szaleństwa.

Natychmiast usiadł na krześle.

- Przepraszam – powiedział i znowu na nią popatrzył. – Wiesz, że to niemożliwe?

- Uwierz mi, doskonale zdaję sobie z tego sprawę.

- Tylko ja wiem, że widzieć znaczy wierzyć, ale mam wrażenie, że gdy zamrugam kilka razy, to się obudzę... albo znowu będę widzieć to, co wcześniej.

- Tak. – Laurel skupiał wzrok na swoich dłoniach. – Ja też cały czas czekam na to, żeby się obudzić – to mówiąc, sięgnęła za ramię, chwyciła długi płatek i przez kilka sekund przyglądała mu się uważnie, a potem puściła. Odskoczył do tyłu.

- Nie zwiążesz ich? – zapytał Dawid.

- Jest im lepiej, kiedy są puszczone luźno.

- Jest im lepiej? Ty je czujesz?

Pokiwała głową.

Dawid spojrzał na fragment, który odcięła od płatka.

- Bolało? – zapytał.

- Strasznie szczypało.

- A możesz... możesz nimi poruszać?

- Chyba nie. Czemu pytasz?

- Bo skoro je czujesz, to może to coś więcej niż tylko... kwiat. Może to wcale nie płatki, tylko... no wiesz... skrzydła – zaśmiał się. – Wiem, to brzmi

idiotycznie.

Laurel zachichotała.

- Idiotyczniej niż to, że w ogóle coś takiego wyrasta mi na plecach?

- Masz rację – powiedział i westchnął. Jego wzrok znowu powędrował w stronę płatków, lśniących w blasku słońca. – Więc... trzeba je... podlewać?

- Nie wiem – parsknęła. – Ale to byłoby znaczne uproszczenie sprawy,. W ten sposób mogłyby szybko zwiędnąć.

Dawid mruknął coś pod nosem.

- Co?

- Nic. – Wzruszył ramionami. – Tylko ładne są, i tyle.

Laurel odwróciła głowę i spojrzała na błękitne postrzępione krawędzie, które wystawały jej z poza ramion.

- Naprawdę?

- Tak. Gdybyś poszła tak do szkoły, połowa dziewczyn zazdrościłaby ci okropnie.

- Jasne. A druga połowa patrzyłaby na mnie jak na największe dziwadło.

Dziękuję bardzo.

- Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem, co mogłabym zrobić. – Pokręciła głową. – Chyba nic – dodała i zaśmiała się sucho. – Będę czekać, aż przejmie mój organizm i doprowadzi do śmierci.

- Może zniknie.

- To samo sobie powtarzałam, gdy pojawił się ten guz.

Dawid zawahał się.

- Powiedziałaś... rodzicom?

Pokręciła przecząco głową.

- A powiesz?

Znowu pokręciła głową.

- Uważam, że powinnaś.

Laurel ciężko przełknęła ślinę.

- Myślę o tym, odkąd się obudziłam – powiedziała i popatrzyła na Dawida. – Gdybyś ty był rodzicem dziecka, które twierdzi, że z pleców wyrasta mu olbrzymi kwiat, co byś zrobił?

Dawid chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i opuścił wzrok.

- Zrobiłbyś to, co by ci podpowiedział rozsądek. Zabrałbyś dziecko do szpitala, a tam wszyscy by je dotykali i pokazywali palcami, i traktowali jak wybryk natury. To wlanie stałoby się ze mną. Nie chcę tego, Dawid. Nie chcę być kimś takim.

- Może twoja mama mogłaby zrobić jakiś specyfik, który by pomógł? – zasugerował bez przekonania.

- Oboje wiemy, że to coś o wiele poważniejszego, czemu żadna mama nie jest w stanie zaradzić – powiedziała i złożyła palce. – Prawdę powiedziawszy, jeśli to mam mnie zabić, wolałabym, żeby nie robiło tego publicznie. A jeśli mam zniknąć – wzruszyła ramionami i rozłożyła dłonie przed sobą – lepiej, że nikt o tym nie wie.

-Okej – powiedział w końcu Dawid. – Ale musisz chyba wziąć pod uwagę jeszcze inne możliwości.

- Jakie „inne” możliwości?

- Że jeszcze urośnie. Albo zaczną się rozrastać.

- Rozrastać? – O tym nie pomyślała.

- No wiesz, mogą zacząć rosnać liście na plecach – albo kolejne kwiaty... gdzieś indziej.

Laurel milczała przez dłuższą chwilę.

- Pomyślę o tym – powiedziała.

- Rozumiem teraz, dlaczego nie możesz pójść z nami na plażę – zaśmiał się sucho.

- O choinka! Przepraszam, zupełnie o tym zapomniałam.

- Nie szkodzi, to dopiero za dwie godziny – powiedział i zamilkł na chwilę. – Zaprosiłbym cię ponownie, ale... - Skinął ręką w stronę płatków, a Laurel pokiwała głową ze smutkiem.

- Nie da rady – powiedziała.

- Mogę do ciebie przyjść później? Upewnić się, czy wszystko jest okej? Łzy napłynęły do oczu Laurel.

- Myślisz, że będzie okej?

Usiadł obok niej na łóżku i objął ją ramieniem.

- Mam nadzieję.

- Ale tego nie wiesz.

- Nie wiem – przyznał szczerze. – Ale mam nadzieję.

- Dzięki – powiedziała, pocierając sobie twarz ręką.

- Więc mogę przyjść?

Uśmiechnęła się do niego i pokiwała twierdząco głową.

Rozdział 7

Laurel siedziała na sofie, kiedy zadzwonił dzwonek.

-Ja otworze – powiedziała.

Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się na widok Dawida w czarnym T-shircie i jaskrawo żółtych spodenkach.

-Cześć – przywitała się, po czym wyszła na werandę i zamknęła za sobą drzwi. - Udała się zabawa?

Dawid wzruszył ramionami.

-Z Tobą byłoby fajniej – powiedział i zawahał się. - Jak się czujesz?

-Okej – odparła, patrząc w dół. - Tak samo jak rano.

-Boli cię?

Pokiwała przecząco głową.

-Wszystko będzie dobrze – powiedział cicho.

Poczuła na ramieniu jego dłoń.

-Jak może być dobrze, Dawid? Na plecach rośnie mi kwiat. Nie mam w tym nic dobrego.

-Chciałem powiedzieć, że coś wymyślimy.

Laurel uśmiechnęła się smutno.

-Przepraszam, cię. Przyszedłeś żeby mnie pocieszyć, a ja... - zamilkła, bo twarz oświetliły jej reflektory nadjeżdżającego auta.

Zasłoniła oczy ręką i patrzyła, jak podjeżdża samochód. Po chwili wysiadł z niego wysoki, barczysty mężczyzna i podszedł do werandy.

-Czy to dom państwa Sewellów? - zapytał niskim, chrapliwym głosem.

-Tak – odparła Laurel, kiedy wszedł po schodach i stanął na werandzie.

Automatycznie skrzywiła się na jego widok. Coś nie tak było z jego twarzą. Miał ostre kości policzkowe i haczykowaty nos, który wyglądał jakby przeszedł kilka złamań i nigdy nie został właściwie złożony. Jego usta zdawały się wyrażać wieczne niezadowolenie. Mężczyzna miał niezwykle szerokie ramiona, a garnitur, w który był ubrany, zupełnie nie pasował do jego sylwetki.

-Rodzice są w domu? - zapytał.

-Tak, eee... chwileczkę – powiedziała i odwrócił się powoli. - Proszę za mną.

Otworzyła drzwi i wpuściła nieznanego oraz Dawida. Kiedy stanęli całą trójką w korytarzu, mężczyzna wciągnął powietrze i odchrząknął.

-Mieście dzisiaj ognisko czy co? - zapytał krytycznie, patrząc na Dawida.

-Tak, na plaży – odparł chłopak. - Do mnie należało rozpalanie i można powiedzieć, że było dużo dymu, zanim pojawił się ogień – zaśmiał się Dawid, ale zamilkł, ponieważ mężczyzna nawet się nie uśmiechnął.

-Pójdę po rodziców – powiedziała pośpiesznie Laurel.

-Pójdę z Tobą – dodał Dawid.

Weszli do kuchni, gdzie rodzice dziewczyny pili właśnie herbatę.

-Jakiś pan przyszedł do was – powiedziała.

-Ach, już idę. - Tata postawił filiżankę na stole i zaznaczył zakładką miejsce, w którym skończył czytać.

Laurel stała w progu, obserwując ojca. Ręka Dawida nadal spoczywała na jej plecach i dziewczyna miała nadzieję, że tak zostanie. Nie chodzi o to, że się czegoś bała, ale miała nieodparte wrażenie, że coś jest nie tak.

-Saro! - zawołał tata. - Przyszedł pan Jeremiasz Barnes.

Mama odłożyła filiżankę z głośnym brzękiem i wybiegła, mijając Dawida i Laurel.

-Kim jest ten człowiek? - zapytał cicho Dawid.

-To właściciel biura nieruchomości – odparła i rozejrzała się dokoła. - Chodźmy tam – dodała i chwyciła Dawida za rękę.

Pociągnęła go w stronę schodów znajdujących się za sofą, na której mężczyzna właśnie siadał.

Pokonała na palcach kilka stopni tak, by znaleźć się poza zasięgiem jego wzroku. Puściła rękę Dawida, chłopak położył rękę na schodku za jej plecami. Oparła się o nią lekko, ciesząc się, że jest tuż obok. W ten sposób zmniejszało się nieco uczucie niepokoju, które pojawiło się wraz z przybyciem pana Barnesa.

-Mam nadzieję, że nie mają państwo nic przeciwko temu, że wpadłem.

-Ależ skąd. - Laurel usłyszała głos mamy. - Może napije się pan kawy? Albo herbaty? Lub wody?

-Nie, dziękuję – odparł mężczyzna.

Jego głos strasznie irytował Laurel.

-Chciałem zadać państwu kilka pytań, zanim wystawimy oficjalną ofertę – powiedział. - Rozumiem, że to posiadłość rodzinna. Od jak dawna znajduje się w rękach państwa rodziny?

-Od czasów gorączki złota – odparła mama Laurel. - Jeden z moich pradziadków zajął ziemię i zbudował tu pierwszą chatkę. Co prawda nigdy nie znalazł tu złota, ale od tego czasu mieszka tu moja rodzina.

-Nikt nigdy nie próbował sprzedać tej ziemi?

-Nie, tylko ja. - Mama pokręciła głową. - Pewnie moja matka przewraca się w grobie... - dodała i wzruszyła ramionami. - No cóż, chętnie byśmy ją zatrzymali, ale niestety, są ważniejsze rzeczy.

-Z pewnością – powiedział pan Barnes. - Czy z tym miejscem wiążą się jakieś... niezwykle przypadki?

Rodzice Laurel spojrzeli po sobie, a potem potrząsnęli głowami.

-Nie sądzę – odparł ojciec.

-Rozumiem. A pojawiały się jakieś problemy z intruzami? Ktoś próbował zamieszkać tu nielegalnie czy coś w tym rodzaju?

-Nie. Od czasu do czasu ktoś przechodził przez naszą ziemię, czasem widzieliśmy jakichś ludzi. Ale graniczymy z lasem państwowym, nie mamy ogrodzenia ani znaków ostrzegawczych. Jestem pewien, że jeśli wytczy się granice, problem zniknie.

-Nadal nie wiem, jakiej sumy państwo żądają – powiedział Barnes, wypowiadając wreszcie kwestię wiszącą w powietrzu.

Tata Laurel odchrząknął.

-Trudno nam było oszacować wartość posiadłości. Mieliśmy dwóch rzeczoznawców, ale obaj zgubili akta. To niezwykle frustrujące, wolelibyśmy, żeby pan podał cenę, a my się ustosunkujemy.

-Rozumiem – powiedział mężczyzna i wstał. - W ciągu tygodnia postaram się przedstawić pisemną ofertę.

Pożegnał się z rodzicami Laurel i wyszedł.

Dziewczyna wstrzymała oddech, dopóki nie usłyszała, jak samochód odjeżdża spod domu. Dawid zabrał rękę, a ona zeszła w dół schodów.

-Nareszcie się doczekaliśmy, Saro – powiedział podekscytowany tata. - Minęło już prawie sześć miesięcy, odkąd rozmawialiśmy z nim po raz pierwszy. Już zacząłem myśleć, że to wszystko na nic.

-To by nam zdecydowanie ułatwiło życie – odezwała się mama. - Na początku lata pojawiła się tu para, która tak bardzo chciała kupić dom.

-To prawda, bardzo chcieli – zgodził się tata. - Ale kiedy zadzwoniliśmy do nich, ta kobieta zapytała tylko: „Jaki dom?”. Zupełnie o tym zapomniała.

-Właśnie. Widocznie aż tak bardzo nie chcieli go kupić.

-Chyba nie zamierzacie sprzedać mu naszej ziemi? - zapytała gwałtownie Laurel.

Rodzice odwrócili się do niej z pytaniem w oczach.

-Laurel, o co chodzi? - zapytała mama.

-No przecież on był straszny.

Mama westchnęła.

-Nie możemy zrezygnować z transakcji życia tylko dlatego, że ktoś nie ma charyzmatycznej osobowości.

-Nie podobał mi się. Przerazał mnie.

-Przerazał cię? - zapytał tata. - A co było w nim takiego przerażającego?

-Nie wiem. - Teraz, chociaż nie było tu już pana Barnes, Laurel nadal czuła się nieco

zastraszona. - Był... wyglądał dziwnie.

Tata się zaśmiał.

-No tak. Trochę jak bokser, który dostał parę razy w nos. Ale nie możesz osądzać człowieka na podstawie jego wyglądu. Pamiętasz historię o treści książki i jej okładce?

-Pewnie tak – zgodziła się, choć bez przekonania.

Było coś dziwnego w tym mężczyźnie, miał coś niepokojącego w oczach. Coś, co jej się bardzo jnie podobało.

W końcu Dawid odkaslnął.

-Muszę wracać do domu – powiedział. - Wpadłem tylko na chwilę.

Odprowadzę cię do wyjścia – podchwyciła i ruszyła do drzwi.

Zanim wyszła na werandę, sprawdziła dokładnie, czy samochód pana Barnes'a na pewno odjechał.

-Tobie nie wydał się dziwny? - zapytała, kiedy tylko Dawid zamknął drzwi.

-Ten Barnes? - chłopak zamilkł na chwilę, a potem wzruszył ramionami. - Niespecjalnie – przyznał. - Wyglądał trochę nienaturalnie, ale to głównie przez ten nos. Pewnie uprawiał boks, jak mówił twój tata.

-Może masz rację – westchnęła. - Pewnie jestem przeczulona przez to... - kiwnęła ręką do tyłu. - No, wiesz.

-O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać – powiedział Dawid i włożył ręce do kieszeni. Po chwili wyjął je i splótł sobie na piersi, ale po kiliku sekundach zmienił zdanie i znowu wsadził je do kieszeni. - Muszę ci przyznać, Laurel, że to najbardziej zaskakująca rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Nie będę udawać, że tak nie jest.

-Wiem. - Pokiwała głową. - Jestem kompletnym dziwadłem.

-Wcale nie jesteś. To znaczy... w pewnym stopniu. Ale to nie ty – dodał szybko. – Po prostu masz to coś. A ja... zrobię, co będę mógł, żeby ci pomóc. Okej?

-Naprawdę?

-Obiecuję.

Do oczu Laurel napłynęły łzy wdzięczności; z trudem je powstrzymała.

-Dziękuję.

-Jutro idę z mamą do kościoła, a potem jemy obiad z babcią i dziadkiem. Wrócę wieczorem i wtedy do ciebie zadzwonię.

-Super. Baw się dobrze.

-Będę próbował – powiedział, po czym zawahał się: wyglądał jakby miał się odwrócić i odejść, jednak w ostatniej sekundzie zmienił zdanie. Zrobił krok do przodu i uściśnął Laurel.

Zaskoczona odwzajemniła uścisk.

Patrzyła, jak znika na rowerze pośród zmierzchu, i stała tak jeszcze nawet wtedy, gdy już dawno straciła go z oczu. Tak bardzo się bała, idąc do niego rano. Teraz jednak wiedziała, że dobrze zrobiła. Dawid był właściwą osobą. Uśmiechnęła się do siebie, po czym weszła do domu.

* * *

Poniedziałek był pierwszym dniem, w którym Laurel poszła do szkoły z wielkim kwiatem na plecach. Zastanawiała się, czy nie symulować choroby, ale kto wie, jak długo kwiat będzie tkwił na jej kręgosłupie? „Może już zawsze” - pomyślała z drżeniem. Przecież nie może codziennie udawać choroby.

Spotkała Dawida na korytarzu, a ten zapenił ją kilkakrotnie, że absolutnie nic nie widać pod bluzką. Wzięła głęboki oddech i weszła na pierwszą lekcję.

W czasie lunchu przyglądała się Dawidowi. Chmury rozeszły się na krótką chwilę, przepuszczając ostry promień słońca, który rozświetlał jego jasnobrązowe włosy i odbijał się od koniuszków rzęs. Nie myślała wcześniej o tym, jaki jest przystojny, ale ostatnio coraz częściej łapała się na tym, że

mu się przygląda. Dawid obrócił się i napotkał jej wzrok. Na jego widok zaczynała czuć w brzuchu motyle, o których tyle czytała w książkach.

Kiedy nikt nie patrzył, przyjrzała się pod słońce własnej ręce. Nie wyglądała tak samo jak podświetlona sylwetka Dawida. Jego ciało zasłaniało słońce, promienie omiatały je tylko z boku, jej ręka natomiast zdawała się przepuszczać światło słoneczne. Schowała rękę w kieszeni; czuła, że zaczyna wpadać w paranoję.

Płatki wokół talii były zduszone i nie mogła się doczekać, kiedy je uwolni – zwłaszcza że świeciło słońce, które – jak wiedziała – w ciągu następnych miesięcy będzie się pojawiało zbyt rzadko. Czuła jednak, że poradzi sobie z tą niewygodą. Miała tylko nadzieję, że słońce zaświeci jeszcze po południu, kiedy będzie mogła wyjść na spacer.

Ponieważ Chelsea była chora i nie przyszła do szkoły, Laurel szła na angielski tylko z Dawidem.

-Słuchaj Dawid...

-Tak?

-Nie miał byś ochoty na małą wycieczkę po południu? Ze mną i z moimi rodzicami – dodała.

-Nie mogę – powiedział ze zmartwioną miną.

-Dlaczego?

-Za kilka tygodni odbiorę prawo jazdy i moja mama uznała, że muszę zarobić na paliwo i ubezpieczenie. Załatwiła mi pracę w aptece. Dzisiaj właśnie zaczynam.

-Nic mi nie mówiłeś.

-Dowiedziałem się o tym wczoraj. A poza tym – przysunął się bliżej – twoje problemy są poważniejsze niż moje.

-W takim razie powodzenia.

-Nie ma to jak nepotyzm, z pewnością zyskam uznanie w oczach współpracowników – westchną Dawid i zaśmiał się krótko. - Dokąd jedziecie?

-Do naszego starego domu. Mama od dwóch dni nie mówi o niczym innym, jak tylko o sprzedaży. Jest podekscytowana, ale chyba się trochę waha.

-Naprawdę? Myślałem, że bardzo jej na tym zależy.

-Ja też tak myślałam. Ale nie jest z tego powodu szczęśliwa. Tam się wychowała i ona, i jej mama. I wszystkie babci, i prababci...

-Niesamowite. Szkoda, że musicie to sprzedać.

-Ja też żałuję. Nie żeby tutaj nie było fajnie – dodała szybko. - Cieszę się, że się tu przeprowadziliśmy, ale dobrze jest móc tam czasem pojechać.

-Byłaś tam od czasu, kiedy tu zamieszkaliście?

-Nie. Wszyscy byliśmy zajęci organizowaniem księgarni i przeprowadzką – nie było czasu. Teraz mama nalega, chce się upewnić, że podjęła właściwą decyzję, a przy okazji pewnie zgrabić liście. I umyć okna. A tata na pewno będzie chciał podciąć żywopłoty. - Laurel uśmiechnęła się z udawaną ekscytacją. - Ale będzie fajnie, fajnie, fajnie! - powiedziała kpiąco.

Dawid pokiwał głową, a potem spojrzał na nią poważnie.

-Szkoda, że nie mogę jechać – powiedział. - Naprawdę.

Spuściła wzrok pod jego intensywnym spojrzeniem.

-Będzie jeszcze okazja – zakończyła, starając się ukryć rozczarowanie.

-Mam taką nadzieję.

Rozdział 8

Kiedy dojechali na miejsce, Laurel miała potargane i splątane włosy. Pewnie będzie musiała je godzinę rozczesywać, ale warto było – miała za sobą czterdziestopięć minutową jazdę starym kabrioletem, w którym wiatr smagał ją po twarzy. Wjechali na długą drogę prowadzącą do posiadłości i dziewczyna wstrzymała oddech, gdy szosa zaczęła się wić między drzewami, a jej oczom ukazał się domek.

Widokowi towarzyszyła fala nostalgii, o jaką by siebie nie podejrzewała. Drewniany domek był mały, ale uroczy, otoczony gęstą, zieloną trawą, ogrodzony rozpadającym się płotem. Laurel tęskniła za tym miejscem, ale nigdy tak intensywnie jak w chwili, w której zobaczyła je ponownie, po czterech miesiącach. Dwanaście lat tutaj mieszkała. Znała każdą krętą ścieżkę w rozciągającym się za płotem wielkim lesie, po którym wędrowała długimi godzinami. Niekoniecznie chciałaby tu znowu zamieszkać, ale wolałaby, żeby dom został w rodzinie.

Samochód się zatrzymał, a rodzice zaczęli wypakowywać grabie, wiadra i środki czyszczące. Kiedy Laurel zabrała gitarę z tylnego siedzenia, mama się zaśmiała.

-Bardzo lubię, jak grasz na tym starociu.

-Czemu?

-Przypomina mi się, że sama na niej grałam na studiach w Berkeley – wyjaśniła i uśmiechnęła się do męża. - Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Byliśmy wtedy hipisami...

Laurel spojrzała na długi warkocz mamy i skórzane sandały taty.

-Nadal nimi jesteście – parsknęła.

-Nie, to już nie to samo. Wtedy byliśmy prawdziwymi hipisami – to mówiąc, mama włożyła rękę w dłoń taty i splótła jego palce ze swoimi. - Zabierałam gitarę na nasze protesty. Grałam *We Shall Not Be Moved**, okrutnie fałszując, a wszyscy wyli do wtóru. Pamiętasz?

Tata uśmiechnął się i pokręcił głową.

-Stare, dobre czasy – powiedział ironicznie.

-A tam. Fajnie było.

-Skoro tak twierdzisz – ustąpił i nachylił się, żeby ją pocałować.

-Mogę sobie trochę pospacerować? - zapytała Laurel, przekładając przez ramię pasek od gitary. - Wróć z jakiś czas, żeby wam pomóc.

-Oczywiście – odpowiedziała mama, wyciągając coś z bagażnika.

-To na razie – rzuciła Laurel, idąc na tyły domu.

Był to las pełen sosen i drzew liściastych, rzucających cień na zielone poszycie. Większość pni porastały ciemnozielone mchy, zasłaniające chropowatą korę. Wszystko dookoła pyszniło się zielenią. Rano kropił deszcz, a teraz świeciło słońce, więc na każdej powierzchni połyskiwały szmaragdowo miliony kropli. Ścieżki wiły się, znikając w ciemnej gęstwinie pomiędzy drzewami; Laurel weszła powoli na jedną z nich.

Wyobrażała sobie, że idzie przez jakąś świętą ziemię – ruiny starożytnej katedry z czasów, do których nikt nie sięgał pamięcią. Uśmiechnęła się, widząc obrośniętą mchem gałąź, którą rozpoświetlał wąski promyk słońca. Przesunęła po niej dłonią, a błyszczące krople wody przyczepiły się do jej palców i spadły na ziemię, łapiąc po drodze cząstki światła.

Stała już kilka minut poza zasięgiem wzroku rodziców, mogła więc przesunąć gitarę do przodu i rozwiązać szal. Aż westchnęła z ulgą, gdy podniosła bluzkę i pozwoliła rozwinąć się płatkom; były związane przez niemal cały dzień, nie mogła się doczekać, kiedy je uwolni. Rozprostowały się powoli, niczym obolałe, skurczone mięśnie.

Laurel ruszyła dalej ścieżką usłaną opadłymi liśćmi, a kiedy usłyszała w oddali odgłos strumienia, zaczęła przedzierać się przez zarośla w tamtym kierunku. Znalazła rzeczkę już po paru minutach i od razu usiadła na leżącym nad brzegiem kamieniu. Zsunęła z nóg klapki i zamoczyła palce w lodowatej wodzie.

**We Shall Not Be Moved* (Nie damy się ruszyć) – protest song stworzony na podstawie tradycyjnej pieśni amerykańskiej nieznanego autorstwa [przyp. tłum.]

Zawsze lubiła ten strumień. Woda była w nim niezwykle przejrzysta, tak że dało się dostrzec przepływające przy dnie ryby. A kiedy fale trafiały na kamienie i spływały po nich w postaci maleńkich wodospadów, tworzyła się idealnie biała piana, niczym gęste, spienione mysliny. Takie obrazki widywało się zwykle na pocztówkach.

Zaczęła grać akordy z ulubionej piosenki Sarah McLachlan. Nuciała przy tym cicho, czując, jak wokół roztacza się zapach jej kwiatu.

Po pierwszym wersie usłyszała jakiś szmer po lewej stronie i gwałtownie podniosła głowę. Nasłuchiwała przez chwilę, bo wydawało jej się, że słyszy szepty.

-Mamo? - zapytała ostrożnie. - Tato?

Oparła gitarę o drzewo i zaczęła rozplątywać supeł szla, którym obwiązała sobie nadgarstek. Wolala ukryć płatki, zanim zobaczą ją rodzice. Jednak długi szal nie chciał się rozplątać; Laurel usłyszała po chwili kolejny szelest, głośniejszy niż pierwszy. Szybko spojrzała w miejsce, z którego dochodził: z tyłu, po lewej stronie.

-Halo?

Ostrożnie przycisnęła płatki do pasa i już miała obwiązać je szalem, kiedy zza drzewa wyskoczyła jakaś postać, zupełnie jakby została stamtąd wypchnięta. Ten ktoś rzucił wściekle spojrzenie za pień, a potem odwrócił się do Laurel. Natychmiast zniknęła z jego twarzy złość, zamiast tego w oczach pojawiło się zaskakujące ciepło.

Cześć – przywitał się z uśmiechem.

Laurel krzyknęła i próbowała się wycofać, ale potknęła się o korzeń i upadła na ziemię, puszczając szal. Było już za późno, żeby cokolwiek ukrywać: płatki otworzyły się przed oczami nieznanego.

-Och, nie... Przepraszam. Mogę ci pomóc?

Laurel podniosła wzrok i spojrzała prosto w intensywnie zielone oczy, oczy o kolorze tak żywym, że aż nierealnym. Leżała na ziemi, a nad nią pochylała się twarz młodego mężczyzny, który chwilę później wyciągnął rękę.

-Bardzo przepraszam. My... ja trochę hałasowałem. Myślałem, że mnie usłyszysz – powiedział i uśmiechnął się nieśmiało. - Widocznie jednak nie.

Jego twarz wyglądała jak przeniesiona z klasycznego obrazu – miał wyraziste kości policzkowe przykryte gładką, opaloną skórą, która bardziej pasowałaby do plaży w Los Angeles niż tego chłodnego, omszałego lasu. Jego włosy były czarne i gęste, tak samo jak brwi i rzęsy okalające zatroskane oczy. Były też długie i wilgotne, jakby od pierwszych kropel deszczu przebywał na zewnątrz; co więcej, u nasady miały zoelony kolor – zupełnie jak jego oczy. Uśmiechnął się tak łagodnie i delikatnie, że Laurel wstrzymała oddech. Dopiero po kilku sekundach wróciło opanowanie.

-Kim jesteś?

Zamarł, przyglądając się jej dziwnie nieruchomym wzrokiem.

-No więc? - ponagliła.

-To znaczy, że mnie nie znasz? - zapytał.

Nie spieszyła się z odpowiedzią. Miała wrażenie, jakby rzeczywiście skądś go znała. Gdzieś czaiło się wspomnienie, ale im bardziej się starała, tym bardziej się oddalało.

-A powinnam? - zapytała ostrożnie.

Nieznanomy przestał się w nią wpatrywać tak badawczo. Zaśmiał się delikatnie – niemal ze smutkiem – a jego głos odbił się od drzew, przypominając bardziej świergot ptaków niż ludzki dźwięk.

-Jestem Tamani – powiedział, nadal stojąc z wyciągniętą do pomocy ręką. - Możesz mówić do mnie Tam, jeśli chcesz.

Laurel nagle zdała sobie sprawę z tego, że cały czas leży na mokrej ziemi, i poczuła się okropnie zawstydzona. Zignorowała wyciągniętą rękę i podniosła się, zapominając o przytrzymywaniu płatków. Jęknęła, naciągając bluzkę, skrzywiła się, gdy płatki przywarły do skóry.

-Nie denerwuj się – powiedział nieznanomy. - Będę się trzymał z dala od twojego kwiatu – to mówiąc, zaśmiał się i uniósł brwi, a Laurel miała wrażenie, jakby nie zrozumiała jakiegoś żartu. -

Dobrze wiem, do czyich płatków mam dostęp, a do czyich nie – dorzucił, wciągając mocno powietrze. - Mmm. Chociaż przepięknie pachną, niestety, nie są dla mnie. Przynajmniej na razie – dodał jeszcze.

Uniósł rękę w stronę jej twarzy, a Laurel poczuła, że nie może się ruszyć. Wyjął z jej włosów kilka listków, po czym obejrzał dziewczynę dokładnie.

-Chyba nic ci się nie stało? Płatki i łodyżki są całe.

-O czym ty mówisz? - zapytała, próbując ukryć płatki wychodzące spod bluzki.

-Trochę za późno na chowanie, nie sądzisz?

-Co tu robisz? - zapytała, rzucając mu wściekłe spojrzenie.

-Mieszkam tu.

-Wcale tu nie mieszkasz – powiedziała zaskoczona. - To moja ziemia.

-Naprawdę?

Teraz już w ogóle nie wiedziała, co ma myśleć.

-To ziemia moich rodziców – uściśliła, trzymając kurczowo za dół bluzki. - A ty... ty jesteś intruzem.

„Jakim cudem ma takie niemożliwie zielone oczy? Pewnie soczewki kontaktowe” - pomyślała stanowczą, próbując nie dać się otumanić.

-Naprawdę?

Otworzyła szeroko oczy, kiedy zrobił krok do przodu. Był tak pewny siebie i miał tak zaraźliwy uśmiech, że nie potrafiła się cofnąć. Była pewna, że nigdy w życiu nie spotkała nikogo podobnego, a jednak cały czas miała wrażenie, że go zna.

-Kim jesteś? - powtórzyła.

-Powiedziałem ci: jestem Tamani.

Laurel pokręciła głową.

-Kim jesteś naprawdę?

Położył palec na ustach.

-Ciii. Wszystko w swoim czasie. Chodź ze mną. - To mówiąc, chwycił ją za rękę i poprowadził głębiej w las.

Nie protestowała. Jej druga ręka stopniowo zapominała, co powinna robić, i puszczała bluzkę. Płatki rozprostowały się powoli, aż rozwinęły się i ukazały w pełnej krasie. Tamani odwrócił głowę.

-Tak jest lepiej, prawda?

Laurel była w stanie tylko pokiwać głową. Czowała się niezdolna do logicznego myślenia. I chociaż gdzieś w głębi podejrzewała, że wszystko, co się dzieje, powinno ją bardzo kłopotać, jakimś cudem odczuwała to jako zupełnie nieważne. Jedyne, co było ważne, to pójść za tym chłopakiem o kuszącym uśmiechu.

Zaprowadził ją na niewielką polankę z prześwitem nad głowami, skąd światło słoneczne przebijało się przez gałęzie wprost na kępkę trawy upstrzonej plamkami gąbczastego, zielonego mchu. Usiadł na trawie i wskazał jej miejsce naprzeciwko.

Patrzyła jak urzeczone. Czarno-zielone włosy opadały mu pasmami na czoło tuż nad oczami. Miał na sobie luźną białą koszulę i uszyte w podobnym stylu brązowe workowate spodnie, związane tuż pod kolanami. Był to strój zdecydowanie staromodny, ale na tym chłopaku wyglądał jak najnowsza kolekcja. Miał bose stopy, jednak nie zwracał uwagi ani na ostre sosnowe igły, ani na połamane gałązki leżące na ścieżce. Był może z piętnaście centymetrów wyższy od Laurel i poruszał się z kocim wdziękiem, jakiego nie widziała u żadnego innego chłopaka.

Usiadła po turecku i spojrzała na niego wyczekująco. Dziwne uczucie, które zmusiło ją do pójścia za nim, powoli zniknęło; zaczynała czuć się nieswojo.

-Wystraszyłaś nas, kiedy tak zniknęłaś – powiedział z miękkim akcentem, ni to brytyjskim, ni to irlandzkim.

-To znaczy: jak? - zapytała, próbując coś z tego zrozumieć.

-Byłaś i nagle ciebie nie ma. Dokąd pojechałaś? Zacząłem się już bardzo martwić.

-Martwić? - Była zbyt zaskoczona, żeby sprzeczać się z nim albo domagać wyjaśnień.

-Powiedziałaś komuś o tym? - Pokazał na jej plecy.

-Nie. - Pokręciła głową. - To znaczy tak. Powiedziałem przyjacielowi, Dawidowi.

Twarz chłopaka przybrała nieodgadniony wyraz.

-To tylko przyjaciel?

Laurel zaczęła powoli odzyskiwać panowanie nad sobą.

-Tak... Nie... To chyba nie twoja sprawa – powiedziała cicho.

W kącikach oczu Tamanego pojawiły się zmarszczki i przez ułamek sekundy Laurej myślała, że widzi w nich strach. Ale chłopak pochylał się i uśmiechnął delikatnie. Zapewne jej się przywidziało.

-Być może nie – powiedzia, bawiąc się żdźbłem trawy. - Ale twoi rodzice nic nie wiedzą?

Zaczęła zaprzeczać, ale dotarła do niej absurdalność całej sytuacji.

-Nie... tak... może... Nie powinnam tu być – powiedziała ostro i podniosła się. - Nie idź za mną.

-Zaczekaj! - W głosie chłopaka pojawiła się panika.

Laurel odsunęła nisko zwieszoną gałąź.

-Znam odpowiedzi! - Zawołał Tamani.

Zatrzymała się i spojrzała do tyłu. Klęczał teraz na jednym kolanie i patrzył na nią błagalnie, prosząc, by została.

-Mogę odpowiedzieć na wszystkie pytania. O kwiecie... i o innych rzeczach.

Odwróciła się powoli, jakby nie była pewna, czy może mu ufać.

-Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć – powiedział cicho.

Zrobiła dwa kroki w przód, a on wyraźnie się uspokoił.

-Zostań tam. - Laurel pokazała na odległy skraj polany. - Ja usiądę tutaj. Nie dotykaj mnie więcej.

-Dobrze – westchnął.

Usiadła na trawie, ale tym razem spięta, gotowa do ucieczki.

-Okej. Co to jest?

-Kwiat.

-Zniknie?

-Teraz moja kolej. Dokąd wyjechałaś?

-Do Crescent City. Czy on zniknie? - Powtórzyła ostrzejszym tonem.

-Niestety, tak – powiedział z żalem. - Szkoda.

-Jesteś tego pewien? - zapytała już bez wahania, pokrzepiona tym, co usłyszała.

-Oczywiście. Zakwitniesz znowu w przyszłym roku: jak wszystkie kwiaty – i twój nie trwa wiecznie.

-Skąd wiesz?

-Moja kolej. Jak daleko stąd do Crescent City?

-Jakieś siedemdziesiąt, osiemdziesiąt kilometrów.

-W którą stronę?

-Nie, teraz ja. Skąd to wiesz?

-Bo jestem taki jak ty.

-W takim razie gdzie twój kwiat?

-Ja nie kwitnę – zaśmiał się.

-Powiedziałeś, że jesteś taki jak ja. Skoro to prawda, też powinieneś mieć kwiat.

Tamani oparł się na łokciu.

-Jestem chłopakiem, jeśli tego nie zauważyłaś.

Laurel zaczęła szybciej oddychać. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

-Więc w którą stronę?

-Na północ. Nie masz mapy?

-To jest twoje następne pytanie? - zaśmiał się.

-Nie! - powiedziała, a potem popatrzyła, jak się śmieje. Tak bardzo chciała zadać pytanie, ale... bała się odpowiedzi. W końcu jednak zdobyła się na odwagę – przełknęła ślinę i zapytała cicho: czy ja zamieniam się w kwiat?

Uśmiech rozbawienia podniósł kąciki ust Tamanego, ale tym razem chłopak się nie roześmiał.

-Nie – odparł cichym głosem.

Laurel poczuła wielką ulgę rozlewającą się po całym ciele.

-Od zawsze jesteś kwiatem.

-Słucham? Co chcesz przez to powiedzieć?

-Jesteś rośliną. Nigdy nie byłaś człowiekiem. Kwitnięcie to najbardziej wyraźna tego oznaka – wyjaśnił spokojnie.

Zdaniem Laurel dużo spokojniej, niż powinien.

-Rośliną!?! - Nie kryła zaskoczenia.

-Tak. Ale nie byle jaką. Najbardziej zaawansowaną formą życia na świecie – powiedział, po czym nachylił się do przodu z błyskiem w oczach. - Laurel, jesteś wróżką.

Zacisnęła zęby, myśląc, jak bardzo była głupia i naiwna. Dała się nabrać jego ładnej buźce, pozwoliła poprowadzić się w głąb lasu i już nawet zaczęła wierzyć w bzdury, które opowiadał. Wstała, ciskając z oczu gromy.

-Poczekaj! - Tamani rzucił się do przodu, chwytając ją za nadgarstek. - Nie odchodź jeszcze. Muszę wiedzieć, co twoi rodzice zamierzają zrobić z tą ziemią – powiedział.

Laurel wyszarpnęła rękę.

-Chcę, żebyś sobie poszedł – wysyczała. - Jeżeli jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę, wezwę policję! - to mówiąc, odwróciła się i zaczęła biec, chowając płatki pod bluzką.

-Laurel! - zawołał zanią. - Laurel, ja muszę wiedzieć!

Dziewczyna przyspieszyła. Nic nie wydawało jej się teraz tak istotne, jak oddalenie się od Tamaniego – osoby, która wzbudzała w niej tyle skrajnych emocji.

Zatrzymała się na moment, żeby obwiązać płatki szlem. Podniosła gitarę i przełożyła pasek przez ramię. Kiedy to zrobiła, jej ręka natrafiła na promień słońca. Coś przykuło jej uwagę, więc ponownie wystawiła dłoń na słońce. Na nadgarstku lśniły połyskujące drobinki. „No super. Zostawił na mnie jakąś substancję. Głupi żart!”.

Zatrzymała się, oddychając ciężko, dopiero wtedy, gdy ujrzała swój dawny dom. Spojrzała ponownie na nadgarstki i poczuła narastający gniew. Wytarła dokładnie rękę, aż zniknęły wszelkie ślady po złotawym proszku.

Następnego dnia Laurel wyglądała jak własny cień. Nie chciała wierzyć w to, co powiedział jej Tamani, ale nie mogła przestać o tym myśleć. Czy to może być prawda? Złościła się na samą siebie: powtarzała sobie, że jest śmieszna, a potem znowu zaczynała się zastanawiać, i tak w kółko.

Dawid próbował kilkakrotnie złapać ją na korytarzu, ale za każdym razem umykała przed nim do klasy.

Potem jednak była lekcja biologii.

Dawid zajął swoje miejsce tuż obok Laurel.

- Co się stało? Rozrasta się? – szepnął, zanim zdążyła się odwrócić.

Pokręciła głową, a włosy opadły jej na twarz, tworząc zasłonę oddzielającą ją od Dawida.

Przesunął krzesło nieco bliżej, bo pozostali uczniowie hałaśliwie zajmowali swoje miejsca.

- Laurel, musisz ze mną porozmawiać. Zwariujesz, jeśli będziesz wszystko w sobie dusić.

- Nie mogę... - zaczęła, ale przerwała, czując napływające do oczu łzy. – Nie teraz.

- A po szkole? – szepnął, pan James bowiem rozpoczął już lekcję.

Kiwnęła głową i spróbowała ukradkiem obetrzeć łzy.

Dawid pogłaskał pod stołem jej nogę i zaczął bazgrać w swoim zeszycie. Miała nadzieję, że zapisze dokładnie to, co mówi nauczyciel, i będzie mogła później od niego odpisać.

Dzień włókł się niemiłosiernie. Laurel na zmianę strofowała się za obietnicę daną Dawidowi i czuła ulgę, że wreszcie wszystko z siebie wyrzuci. Nie miała pojęcia, jak zacząć. Bo jak można zareagować, kiedy ktoś nagle mówi: „Cześć, bo wiesz, najprawdopodobniej jestem baśniowym stworzeniem” .?

- Nie jestem – szepnęła do siebie. – To głupota.

Ale nie była do końca przekonana.

Po szkole ruszyli z Dawidem w stronę jego domu. Chłopak wyczuł, że nie jest jeszcze gotowa do rozmowy, i maszerowali w milczeniu.

Był niezwykle delikatny, kiedy pomagał jej przejść przez ogrodzenie, a jego ręka świadomie unikała jej pleców. Chwycił ją w ramiona, kiedy zeskoczyła na ziemię, ale nie puścił, nawet gdy już odzyskała równowagę.

Miała wielką ochotę przytulić się do niego i zapomnieć o tych wszystkich bzdurach, ale wiedziała, że to niemożliwe. Dawid wpatrywał się w nią uważnie, dopóki nie włożyła rąk w kieszenie i nie odwróciła się.

- Tędy – powiedział, prowadząc ją do splątanego drzewa.

Laurel spojrzała na gęsty baldachim nad głową. Był już październik i liście rozpoczęły swoje jesienne przeobrażenie. Krawędzie miały pomarańczowoczerwone, niektóre także żółte lub jasnobrązowe, ale ich

środki nadal starały się za wszelką cenę pozostać zielone. Las stanowił przepiękną mieszaninę kolorów, tylko Laurel ze smutkiem patrzyła, jak zieleń przegrywa z bardziej jaskrawymi barwami.

To przypominało jej o własnym kwiecie. Czy on też powoli zacznie umierać, tak jak liście? „Czy to będzie bolało?” – pomyślała, owładnięta nagłym strachem. Nawet jeśli tak, to niska cena za jego zniknięcie. Ale Tamani powiedział, że za rok wyrośnie następny. Miała nadzieję, że większość z tego, co mówił, jest prawdą. A reszta... O tym wolą nie myśleć.

A jednak ciągle wracała myślami to tamtego spotkania. I chociaż nie chciała się do tego przyznać przed samą sobą, powodem nie były jedynie dziwaczne informacje, które usłyszała; powodem był także sam Tamani. Wstrząsnął jej emocjami – pokazał uczucia, których nigdy wcześniej nie doznała. Takie niepohamowane pragnienie drugiej osoby, której się zupełnie nie zna... Tego jeszcze nie doświadczyła. Wobec nikogo. Było to uczucie ekscytujące i radosne, ale i trochę przerażające. Jakaś część jej wymknęła się zupełnie z pod kontroli i dziewczyna nie była pewna, czy jest z tego zadowolona.

Tamani był taki... Czy „piękny” to właściwe słowo? Chyba tak. W każdym razie nie mogła oderwać od niego oczu. To właśnie dlatego zastanawiała się, czy nie jest tylko złudzeniem, niezwykle realistycznym snem.

Spojrzała na swój nadgarstek, na miejsce, z którego starła złoty proszek. To było prawdziwe. Jeszcze w domu znalazła drobinki na dżinsach. A więc i Tamani musiał być prawdziwy.

No i cały czas nie mogła pozbyć się wrażenia, że już go wcześniej gdzieś spotkała. Bo on zachowywał się, jakby ją znał. Ale skąd? I dlaczego? Kręciło jej się w głowie od tego wszystkiego.

- Co się stało wczoraj? – zapytał w końcu Dawid, kiedy dotarli do drzewa.

Laurel jęknęła. Pomyślała sobie, że po tym, jak zgodziła się porozmawiać z Dawidem, wszystko zaczęło jej się wydawać idiotyczne.

- Kiedy to śmieszne. Nie wiem, czemu tak się przejęłam. Pewnie dlatego, że czuję się jak kretynka.

- Czy to ma jakiś związek z... eee... kwiatem?

- Chyba. Nie wiem – odparła. Zaczęła chodzić w tę i z powrotem, a słowa same popłynęły z jej ust: - O ile to prawda, ale ja nie mogę w to uwierzyć. Zaczynam już myśleć, że sobie to wszystko wymyśliłam, że to sen, tylko nie pamiętam momentu zasypiania.

- Brakuje w tym sensu, Laurel.

- Brakuje sensu?! – prychnęła. – Kiedy opowiem ci, co on mówił, dopiero zobaczysz, że brakuje w tym sensu.

- Kto?

Przestała chodzić i oparła się o drzewo.

- Spotkałam kogoś. Na naszej posesji. Takiego chłopaka. „Prawie mężczyznę” – pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. – Mówił, że tam mieszka.

- Na waszej ziemi?

- To samo mu powiedziałam.

- A co na to twoi rodzice?

- Nie widzieli go?

- Byłaś sama?

Pokiwała głową.

- Zupełnie sama z jakimś obcym facetem? Dobrze, że nic się nie stało! – Zatrzymał się na chwilę, a potem zapytał cicho:” – Coś ci zrobił?

Ale Laurel już kręciła przecząco głową.

- To nie tak – powiedziała. Przez chwilę myślała o tym, co czuła, siedząc na małej polanie. – Czułam się bezpieczna. Byłam bezpieczna. On... on mnie zna. Nie wiem, jak to możliwe. Zobaczył mój kwiat i wcale nie był zdziwiony. Powiedział, że... zakwitłam.

- Zakwitłaś?

- Powiedział, że kwiat zniknie. Mam nadzieję, że to jedyne jego słowa, które się spełnią.

- Kim jest? Powiedział ci?

- Mówił, że ma na imię Tamani – ledwie to wypowiedziała, a już pożałowała. Imię brzmiało magicznie i wypowiedziane na głos przywoływało uczucia, nad którymi nie potrafiła zapanować. Przed oczami znowu miała jego twarz, która przesłaniała wszystko inne. Jego intensywne spojrzenie, półuśmiech, to, jak poczuła się błogo i pewnie, gdy dotknął jej dłoni.

- Tamani? – głos Dawida sprowadził ją do rzeczywistości. – Dziwne imię.

Laurel tylko pokiwała głową. Zmusiła się do myślenia o tym, co tu i teraz.

- Co jeszcze mówił?

- Powiedział, że jest taki jak ja. I że dlatego wie wszystko o moim kwiecie.

- Taki jak ty? Co to znaczy?

Zaśmiała się, próbując złagodzić napięcie, ale nic to nie dało.

- Kiedy to takie głupie. On powiedział... powiedział, że jestem kwiatem.

Rośliną.

- Rośliną?

- No właśnie, to głupota.

Dawid zamilkł. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Coś jeszcze?

- Pytasz, czy coś jeszcze? Mało ci? Powiedział, że jestem jakąś pieprzona rośliną! Nie jestem rośliną. Nie jestem – powtórzyła niczym zaklęcie.

Dawid ześlizgnął się plecami po pniu drzewa i usiadł na ziemi, uderzając palcami o kolana.

- Wiesz, to by wiele wyjaśniało – powiedział z wahaniem.

- Proszę, Dawid! Ty też?

- Co jeszcze powiedział? – Dawid zignorował jej uwagę.

Odwróciła wzrok i zaczęła skubać korę z drzewa w miejscu, w którym się o nie opierała.

- Takie różne idiotyzmy.

Dawid wstał i podszedł do drzewa, które odrapywała; czekał aż na niego spojrzy.

- Skoro to były idiotyzmy, czemu aż tak się nimi przejmujesz?

- Bo... bo to takie głupie.
- Laurel...
Spojrzała na niego.
- Co on powiedział?
- To kretyńskie. Powiedział, że jestem... Będziesz się śmiał.
Wypuściła powietrze i pochyliła ramiona do przodu.
- Powiedział, że jestem wróżką – szepnęła.
Dawid milczał przez chwilę, a potem rozprostował palce dłoni.
- Wróżką? – powtórzył z niedowierzaniem.
- Jak widać, trochę większą – zakpiła.
Dawid jedynie się uśmiechnął.
- Co? – zapytała ostrzejszym tonem, niż zamierzała, ale nie przeprosiła za to.
- No wiesz, to całkiem sensowe.
- Jakiś szaleniec twierdzi, że jestem baśniowym stworzeniem, i to brzmi dla ciebie sensownie? – Laurel oparła rękę na biodrze.
Dawid zaczerwienił się i wzruszył ramionami.
- Gdybym miał wybrać jedną osobę, która najbardziej przypomina mi wróżkę, to byłabyś nią właśnie ty.
Spodziewała się, że Dawid wybuchnie śmiechem i powie, że to głupota – liczyła na to. Ale on jakby uwierzył w to, co usłyszał! I chociaż wiedziała, że to irracjonalne, była zła.
- Możemy wracać? – zapytała.
Odwróciła się i ruszyła w drogę powrotną.
- Zaczekaj. – Dawid podbiegł do niej. – Nie jesteś tego wszystkiego ciekawa?
- Nie, Dawid – warknęła, rozzłoszczona. – Nie jestem. Chcę wrócić do domu, iść spać, a potem po obudzeniu stwierdzić, że to wszystko było tylko snem. Że nigdy nie istniał żaden kwiat, żaden guz, nawet szkoła. Tylko tego chcę! – Nie czekając na odpowiedź, pobiegła pierwszą lepszą ścieżką: prowadzącą w przeciwnym kierunku niż dom Dawida. Nie obchodziło jej, dokąd zajdzie, musiała po prostu uciec.
- Czego się bardziej boisz, Laurel? – krzyknął za nią Dawid. – Tego, że on ma rację, czy tego, że jej nie ma?

Laurel biegła całą drogę, a potem stała przez kilka minut w uliczce i dyszała ciężko, zanim podeszła łukowatą ścieżką do domu. Dni stawały się coraz krótsze: słońce zaczęło już zachodzić. Opadła na werandę i objęła kolana. Była to niesamowita pora dnia, kiedy chmury stawały się fioletowe z odcieniem pomarańczowym – Laurel je uwielbiała. Dom miał wielkie okno wychodzące na zachód i często stała przy nim z mamą, obserwując, jak chmury rozkwitają fioletem, a potem bledną do liliowego, żeby w końcu zniknąć w pomarańczowym świetle gasnącego słońca.

Dzisiaj jednak nie widziała w tym nic pięknego.

Patrzyła na ogród i białe derenie posadzone wzdłuż ścieżki; zastanawiała się, ile ma z nimi wspólnego. Gdyby wierzyć Tamaniemu, z pewnością więcej niż z rodzicami krzątającymi się po drugiej stronie drzwi.

Popatrzyła na swoje stopy. Bez namysłu zdjęła klapki i wsunęła palce w grudkowatą ziemię na rabatce. Zaczęła szybciej oddychać, ogarnęła ją panika; otrzepała stopy i włożyła je z powrotem w buty. Co by się stało, gdyby przeszła na tyły ogrodu, zakopała stopy w żyznej ziemi i wzniosła ręce do nieba? Czy jej skóra zmieniałaby się stopniowo w korę drzewa? Czy wyrosłoby jej więcej płatków, może z brzucha albo czubka głowy?

Przerażały ją te myśli.

Ale przecież Tamani wyglądał normalnie... Skoro był taki jak ona, czy to znaczy, że i ona się nie zmieni? Laurel nie była jednak pewna, czy może ufać jego słowom.

Zaskrzypiały drzwi i dziewczyna zerwała się na równe nogi. W drzwiach ukazała się głowa taty.

- Tak mi się wydawało, że kogoś słyszę – powiedział z uśmiechem. – Co robisz?

Milczała przez chwilę, próbując sobie przypomnieć, dlaczego właściwie usiadła na werandzie.

- Patrzyłam na zachód słońca – powiedziała, zmuszając się do uśmiechu.

Tata westchnął i oparł się o framugę.

- Piękny, prawda?

Kiwnęła głową, próbując przełknąć grudę, którą poczuła w gardle.

- Jesteś ostatnio bardzo milcząca, Laurel – powiedział cicho. – Wszystko w porządku?

- Stresuję się szkołą – skłamała. – Jest trudniej, niż myślałam.

- Jak sobie radzisz? – zapytał, siadając obok niej na stopniu.

- Dobrze, ale sporo mnie to kosztuje.

Uśmiechnął się i objął ją ramieniem. Zesztywniała, ale tata nie zauważył ani jej reakcji, ani cienkich płatków pod tkaniną.

- Mamy mnóstwo brzoskwiń, dodadzą ci energii – powiedział ze śmiechem.

- Dzięki, tato.

- Chodź do domu – poprosił. – Kolacja już prawie gotowa.

- Tato...

- Tak?

- Czy ja byłam w dzieciństwie... inna niż reszta dzieci?

Zobaczył jej minę, zatrzymał się, a potem znowu przysiadł obok niej.

- Co masz na myśli?

Pomyślała o tym, żeby mu wszystko powiedzieć, ale szybko zmieniła zdanie. Najpierw musi się przekonać, co on wie.

- No, na przykład jeśli chodzi o jedzenie. Żadne znajome dziecko nie jadło tak jak ja. Wszyscy uważają, że to dziwne.

- Faktycznie, jest trochę inaczej, ale nie znam nikogo, kto zjadałby tyle owoców i warzyw – myślę, że to zdrowe. Ale chyba nie masz żadnych

problemów ze zdrowiem?

- Nie – zaprzeczyła. – Czy ja kiedykolwiek byłam u lekarza?

- Jasne. Kiedy finalizowaliśmy sprawy adopcyjne, przyjechał pediatra, żeby ocenić twój stan zdrowia – powiedział i zamilkł. – To zabawna historia: zbadał cię i wyglądało na to, że wszystko jest w porządku – zaśmiał się tata. – Tylko twoje kolano nie podskakiwało, kiedy uderzył w nie młoteczkiem. Był trochę zaniepokojony, ale ostatecznie to chyba nie miało znaczenia. A potem wyjął stetoskop i wtedy właśnie zdarzyło się coś dziwnego. Przesuwał słuchawką po plecach i klatce piersiowej. Zapytałem go, czy jest jakiś problem, a on kazał mi iść po mamę. Chciał porozmawiać z nami obojgiem. Poszedłem po mamę, a kiedy wróciliśmy, on już się pakował. Uśmiechnął się i powiedział, że jesteś zupełnie zdrowa.

- Więc na czym polegał problem?

- O to samo go zapytałem. Nie wiedział, o czym mówię! Powiedzmy, że całe to zajście nie wpłynęło pozytywnie na stosunek mamy do lekarzy. Przez kilka tygodnie powtarzała, że to szaleniec.

- Dowiedzieliście się, o co chodziło?

Tata wzruszył ramionami.

- Myślę, że tak naprawdę nic ci nie było. Pewnie miał zepsuty stetoskop albo źle go użył, a kiedy zdał sobie sprawę z błędu, ni chciał wydać się niekompetentny i próbował nas zbyć. Lekarze nigdy nie przyznają się do pomyłek – dodał i spojrzał na Laurel. – Czemu pytasz? Chciałabyś iść do lekarza? Zwolniliśmy cię z obowiązku badań w szkole, ale jeśli chcesz, możesz się przebadać.

Laurel pokręciła głową. Jeszcze tylko tego brakowało.

- Nie, nie chcę.

- Wszystko w porządku?

- Chyba tak. – Uśmiechnęła się.

- Na pewno? – Tata nalegał z troską.

- Oczywiście.

- To dobrze – powiedział i wstał. Nacisnął klamkę. – A tak na marginesie, dzisiaj rano pan Barnes przysłał ofertę.

- To super – opowiedziała, wpatrując się w ciemniejący horyzont. – Mam nadzieję, że szybko to kupi. :Nigdy już tam nie chcę wracać” – dodała w myślach.

Rozdział 10

Kiedy następnego dnia rano Dawid wychodził do szkoły, na progu swojego domu ujrzał Laurel. Popatrzył na nią przez kilka sekund, a potem westchnął i przekręcił klucz w zamku.

-Przepraszam – powiedziała, zanim zdążył się odwrócić. - Nie powinnam była na ciebie krzyczeć. Byłeś kochany i próbowałeś pomóc, a tylko ci się oberwało.

-Nie szkodzi – wymamrotał, chowając klucz do kieszeni.

-Szkodzi – odparła i stanęła obok niego. - Byłam okropna, nakrzyczałam na ciebie. Nigdy nie krzyczę. Byłam taka zestresowana.

-W zasadzie należało mi się. - Wzruszył ramionami. - Za bardzo cię naciskałem, a powinienem się wycofać.

-Ale czasem jest mi to potrzebne. Nie umiem stawiać czoła trudnością, ty jesteś w tym o wiele lepszy.

-Bo mnie jest łatwiej. To nie ja mam kwiat na plecach.

Laurel chwyciła Dawida za rękę, żeby go odwrócić. Ale nie puściła, nawet gdy już stał zwrócony do niej twarzą. Miło było czuć jego dłoń na swojej.

-Nie poradzę sobie bez przyjaciela. Przepraszam.

Dawid pokręcił głową, a potem podniósł powoli rękę do jej twarzy i odgarnął włosy za ucho, delikatnie muskając przy tym kciukiem jej policzek. Stała nieruchomo, napawając się bliskością jego dłoni.

-Na ciebie nie można się długo gniewać – powiedział.

-To dobrze – odparła.

Stojąc tak blisko Dawida, czując jego pierś tuż przy swojej, nagle zapragnęła go pocałować. Nie zastanawiała się nad tym ani sekundę, przeniosła ciężar ciała na palce i nachyliła się ku niemu, ale w tej samej chwili przejechał samochód i straciła całą odwagę. Odwróciła się i zaczęła odchodzić.

-Nie chcę się spóźnić – powiedziała, śmiejąc się nerwowo.

Dawid szybko ją dogonił.

-A więc nie chcesz o tym rozmawiać? - zapytał.

-A o czym tu można rozmawiać?

-A jeśli on ma rację? - Dawid nie musiał precyzować, o kogo mu chodzi.

-To nie ma sensu. - Pokręciła głową. - Przyznaję, że jestem nieco inna, a ten kwiat na plecach to zupełnie dziwactwo, ale żebyś była rośliną?!

-No wiesz, „roślina” może znaczyć wiele. Niektóre rośliny mają umiejętności, o jakich nam się nie śniło – a mówimy tylko o tych odkrytych przez naukowców. W lasach tropikalnych istnieją prawdopodobnie miliony gatunków, których nikt jeszcze nigdy nie przebadał.

-Na pewno, ale widziałeś kiedykolwiek roślinę, która wyszła by z ziemi i pomaszerowała ulicą?

-Nie. - Dawid wzruszył ramionami. - Ale jest mnóstwo rzeczy, których nigdy nie widziałem. To nie znaczy, że one nie istnieją – dodał, wznosząc oczy. - Codziennie się o tym przekonuję.

-To nie ma sensu – powtórzyła.

-Myślałem o tym wczoraj wieczorem, chociaż nie miałem pewności, czy się jeszcze do mnie odezwiesz. Jest prosty sposób, żeby się o tym przekonać.

-Jaki?

-Próbki tkanek.

-Co takiego?

-Dałabyś mi próbki swoich komórek i moglibyśmy obejrzeć je pod mikroskopem.

Dowiedzielibyśmy się, czy są zwierzęce, czy roślinne. To by nam wiele powiedziało.

Laurel zmarszczyła nos.

-A jakbyś miał pobrać te próbki?

-Mógłby to być na przykład wymaz z policzka, jak robią przy badaniu zjawisk paranormalnych.

-Zjawisk paranormalnych? Będiesz mnie badał pod kątem tego? - zaśmiała się.

-Jeżeli nie wyrazisz zgody, to nie. Ale moim zdaniem powinnaś przynajmniej zweryfikować to,

co mówił ten chłopak – jak mu tam?

-Tamani powiedziała. Po plecach przeszły jej ciarki.

-No właśnie. Powinnaś zweryfikować to, co mówił Tamani.

-A jeśli mówił prawdę? - Laurel się zatrzymała.

Dawid obrócił się i popatrzył na jej przerażoną twarz.

-Wtedy będziesz wiedziała.

-Ale to by oznaczało, że całe moje życie jest jednym wielkim kłamstwem. Dokąd mam wtedy iść? Co mam zrobić?

-Przecież nie musisz odchodzić. Wszystko może zostać tak, jak było.

-Nie może. Ludzie się dowiedzą i będą chcieli... robić różne rzeczy ze mną.

-Nikt się nie dowie. Ty nie zdradzisz, ja nie zdradzę. Będziesz miała swój niesamowity sekret, będziesz wiedziała, że jesteś... nieprawdopodobną istotą. Nikt nawet nie będzie niczego podejrzewał.

Laurel kopnęła kamień.

-W twoich ustach brzmi to ekscytująco, fantastycznie...

-Bo może tak właśnie jest.

Laurel zawahała się, a Dawid podszedł bliżej.

-Wszystko zależy od ciebie, ale cokolwiek postanowisz, ja ci pomogę – powiedział i delikatnie położył ciepłą dłoń na jej plecach. Laurel wstrzymała oddech. - Będę tym, kogo potrzebujesz. Jeśli potrzebny ci entuzjasta nauki, który udzieli ci podręcznikowych odpowiedzi, jestem do twojej dyspozycji. Jeśli szukasz przyjaciela, który będzie siedział z tobą w ławce na lekcji biologii i poprawiał ci nastrój, też jestem do twojej dyspozycji. - Dawid pogładził ją powoli po policzku. - A jeśli potrzebujesz kogoś, kto cię będzie chronił przed tymi, którzy chcą cię skrzywdzić, wtedy już w ogóle jestem do twojej dyspozycji. - Błękitne oczy Dawida wpijały się w nią i przez chwilę nie była w stanie złapać oddechu. - Wszystko zależy od ciebie – szepnął.

Brzmiało tak kusząco. Już sama obecność Dawida działała na nią kojąco, ale wiedziała, że to byłoby nie fair. Lubiła go – nawet bardzo – ale nie była pewna, czy stoi za tym miłość, czy po prostu potrzeba. A dopóki nie będzie tego pewna, nie może się na nic decydować.

-Dawid, masz rację – powinnam odpowiedzieć sobie na parę pytań. A w tej chwili potrzebuję tylko przyjaciela.

Uśmiechnął się nieco wymuszonym uśmiechem, ale ścisnął ją delikatnie za ramię.

-W takim razie nim będę – to mówiąc, ruszył dalej, ale trzymał się blisko niej – tak że stykali się ramionami.

To było miłe.

* * *

-To zdecydowanie komórki roślinne, Laurel – Dawid spoglądał w okular mikroskopu, mrużąc jedno oko.

-Jesteś pewien? - zapytała i podeszła, by spojrzeć na tkanki poprane z wewnętrznej strony policzka. Nawet ona rozpoznała kwadratowe kształty o grubych ściankach.

-W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach – odparł rozprostowując ramiona nad głową. - Myślę, że ten Tamani coś wie.

Laurel westchnęła i wzniosła oczy do góry.

-Nie było cię tam. On był naprawdę dziwny.

„tak, powtarzaj to sobie, może nawet uwierzysz” - powiedział jakiś wewnętrzny głos, ale postanowiła go nie słuchać.

-Tym większe prawdopodobieństwo, że macie ze sobą coś wspólnego.

Zmarszczyła czoło i kopnęła krzesło, na którym siedział. Dawid się zaśmiał.

-Jestem bardzo obrażona – powiedziała dramatycznym tonem.

-Ale wychodzi na to, że on miał rację. Przynajmniej w tej kwestii.

Laurel pokręciła głową.

-Musi być coś jeszcze.

-Jest – powiedział po chwili milczenia. - Ale... ale to głupie.

-Co takiego?

Przyglądał jej się przez dłuższy moment.

-Mógłbym... mógłbym spojrzeć na próbkę twojej krwi.

-Och! - zmartwiła.

-O co chodzi?

-Jak był ją pobrał?

-Z palca. To tylko ukłucie.

Laurel pokręciła głową.

-Żadnych igieł. Boję się ich strasznie.

-Naprawdę?

Potwierdziła to ze zdenerwowaniem.

-Nigdy w życiu nie byłam kłuta.

-Nigdy?

-Żadnych lekarzy, nie pamiętasz?

-A szczepienia?

-Nie miałam nigdy. Mama musiała wypełnić specjalne druki, zanim poszłam do szkoły.

-Żadnych szwów?

-O matko... - Zakryła usta dłonią. - Nawet nie chcę o tym myśleć.

-No dobra, zapomnijmy o tym.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

-Nie będę musiała patrzeć? - zapytała w końcu.

-Objecuję, że nie. Nawet nie poczujesz.

Laurel wstrzymała oddech ze strachu, wiedziała jednak, że to ważne.

-Okej. Spróbuję.

-Moja mama ma cukrzycę, przyniosę glukometr z jej pokoju. Tak będzie najłatwiej. Zaraz wracam.

Wrócił z pustymi rękoma.

-Gdzie to masz?

-Nie powiem ci. Nawet ci nie pokażę. Odwróć się, mam pewien pomysł – powiedział, siadając na łóżku. - Usiądź za mną i obejmij mnie w pasie. Możesz oprzeć się głową o moje plecy i ścisnąć mnie z całych sił.

Zrobiła, o co poprosił: zajęła miejsce za Dawidem, oparła się twarzą o jego plecy i objęła go w pasie, jak najmocniej potrafiła.

-Wezmę twoją rękę – powiedział zduszonym głosem.

Zmusiła się do poluzowania uścisku i podała mu dłoń. Dawid potarł ją delikatnie, kiedy ścisnęła go mocniej.

-Gotowa?

-Zrób to z zaskoczenia – szepnęła ze strachem.

Pocierał jej dłoń jeszcze przez chwilę, a potem Laurel pisnęła, bo poczuła na palcu ukłucie.

-Już po wszystkim – powiedział spokojnie Dawid.

-Odłożyłeś to? - zapytała, nie podnosząc głowy.

-Tak – odparł dziwnie matowym głosem. - Laurel, musisz to zobaczyć.

Ciekawość zwyciężyła nad strachem i Laurel wyjrzała zza Dawida.

-Co?

Dawid delikatnie nacisnął opuszek jej środkowego palca. Na skórze pojawiła się kropla przejrzystej cieczy.

-Co to jest? - zapytała.

-Mnie bardziej interesuje, czym to nie jest – powiedział. - Nie jest czerwone.

Laurel patrzyła w milczeniu.

-Eee... mogę? - Dawid wskazał ręką na pudełko ze szklanymi płytkami.

-Jasne – odparła, odrętwiała.

Wyjął cienkie szkiełko i oparł na nim jej palec.

-Mogę kilka kropli?

Tylko skinęła głową.

Po naniesieniu cieczy na trzy płytki owinał palec Laurel chusteczką. Usiadł obok niej tak, że jego udo stykało się z jej nogą.

-Laurel, kiedy się skaleczysz, zawsze leci ci coś takiego?

-Nie pamiętam, kiedy się ostatnio skaleczyłam.

-Ale chyba kiedyś zdarłaś sobie kolano?

-Pewnie takm, ale... - zwiesiła głos, bo zdała sobie sprawę z tego, że nic takiego nie pamięta. -

Nie wiem – szepnęła. Nie pamiętam.

Dawid przyglądał ręką włosy.

-Laurel, czy kiedykolwiek... leciała ci krew?

Nienawidziła tego, co insynuował, ale nie mogła zaprzeczyć faktom.

-Nie wiem. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętam, żebym kiedykolwiek krwawiła.

Przysunął krzesło do mikroskopu, zamocował płytkę i przez dłuższą chwilę przyglądał jej się przez okular. Potem włożył następną i znowu patrzył. W końcu wyjął z innego pudełka szkiełko z czerwonymi plamkami i zaczął je oglądać po kolei.

Przez cały ten czas Laurel siedziała nieruchomo.

-Laurel – powiedział odwracając się – a jeśli ty w ogóle nie masz krwi? Jeśli w twoich żyłach pły nie ta przejrzysta ciecz?

-Przecież to niemożliwe. - Pokręciła głową. - Każdy ma krew.

-Każdy ma też zwierzęce komórki nabłonka, Laurel, a ty nie – odparł. - Powiedziałaś, że twoi rodzice nie wierzą lekarzom – czy kiedykolwiek jakiś cię badał?

-Kiedy byłam mała. Tata mi wczoraj o tym opowiadał. O Jezu... - Otworzyła szeroko oczy i opowiedziała Dawidowi historię, którą usłyszała. - On wiedział, musiał wiedzieć.

-Dlaczego więc nie powiedział twoim rodzicom?

-Nie mam pojęcia.

Dawid siedział w milczeniu i marszczył czoło. Kiedy się w końcu odezwał, w jego głosie było słyhać wahanie.

-Mogę coś jeszcze sprawdzić?

-O ile nie chcesz mnie rozczinać, żeby zajrzeć co mam w środku.

Zaśmiał się.

Laurel się nie śmiała.

-Mogę zberać twój puls?

Poczuła ulgę. Ogarnęła ją fala wesołości. Zaczęła się śmiać tak, że nie była w stanie przestać.

Przyglądał się jej w milczeniu, dopóki nie pokonała histerio.

-Przepraszam – powiedziała, kiedy już odzyskała panowanie nad sobą. Oddychała ciężko, próbując powstrzymać chichot. - To... to zdecydowanie lepsze niż rozplatanie mi brzucha.

Uśmiechnął się lekko.

-Daj mi dłoń – poprosił.

Kiedy wyciągnęła rękę, położył dwa palce na jej nadgarstku.

-Masz taką chłodną skórę – powiedział. - Dziwne, że tego wcześniej nie zauważyłem.

Zamilkł skupiony. Po chwili wstał z krzesła i usiadł przy niej na łóżku.

-Sprawdzę jeszcze na szyi.

Przytrzymał jej kark jedną ręką i przycisnął palce z boku szyi. Czowała na policzku jego oddech i chociaż specjalnie patrzył gdzie indziej, nie mogła oderwać od niego wzroku. Zauważyła to, czego wcześniej nie dostrzegła: delikatne piegi na linii włosów, bliznę ukrytą pod brwią, podwinięte rzęsy. Poczuła, że naciska mocniej. Kiedy westchnęła, poluzował nacisk.

-Bolało?

Pokręciła przecząco głową i starała się nie zwracać uwagi na to, że Dawid jest tak blisko. Po kilku chwilach zabrał rękę. Nie podobało jej się jego spojrzenie, czoło zmarszczone z niepokoju.

-Co? - zapytała.

Dawid pokręcił tylko głową.

-Muszę się upewnić, nie chcę cię przestraszyć. Czy mogę... czy mogę posłuchać bicia serca?

-Znaczy: stetoskopem?

-Nie mam stetoskopu, ale... - zawahał się. - Jeśli przyłożę ucho do twojego serca, powinienem usłyszeć wyraźne bicie.

-Okej – odpowiedziała cicho i wyprstowała się.

Chwycił ją rękoma w talii i powoli opuścił głowę. Starła się oddychać spokojnie, ale była pewna, że jej serce bije jak oszalałe. Dotykał ciepłym policzkiem jej skóry przy dekolcie, nasłuchując w skupieniu.

Minęła dłuższa chwila, zanim się podniósł.

-No i...?

-Ciii... - powiedział i przyłożył drugie ucho po przeciwnej stronie jej klatki piersiowej. Tym razem szybko się podniósł.

-Nic nie ma – powiedział cicho. - Ani na nadgarstku, ani na szyi. W klatce piersiowej też nic nie słychać.

-Co to znaczy, Dawid?

-Nie masz pulsu, Laurel. I chyba nie masz też serca.

<http://chomikuj.pl/aga-90>

Laurel cała się trzęsała. Poczwała, że obejmują ją ciepłe, mocne ramiona Dawida, i miała wrażenie, że nie jest w stanie czuć niczego więcej. Był jej jedynym oparciem: gdyby ją puścił, chyba nie przeżyłaby ani sekundy.

- Dawid, co ja mam teraz zrobić?

- Nic nie musisz robić.

- Oczywiście- powiedziała, przygnębiona. – Po prostu będę czekać, aż reszta mojego organizmu zrozumie, że jestem martwa.

Przyciągnął ją do siebie i pogłaskał po włosach. Przywarła do jego koszuli, czując, że łzy lecą jej ciurkiem i nie ma czym oddychać.

- Nie – szepnął jej do ucha. – Nie umrzesz. – Policzek Dawida otarł się o jej własny, poczuła szorstkość jego rzadkiego zarostu. Przesunął nosem po jej twarzy, więc wstrzymała łzy, skupiając się na tym doznaniu. Czwała ciepło jego skóry na swojej, zawsze bardzo chłodnej. Kiedy dotknął wargami jej czoła, poczuła przechodzący po plecach dreszcz. Oparł głowę o jej czoło, a ona podniosła automatycznie powieki i zatonała w błękitcie jego oczu. Musnął delikatnie jej usta, aż przeszła jej po twarzy fala gorąca, jakiej jeszcze nigdy nie czwała.

Nie ruszyła się, więc pocałował ją jeszcze raz, nieco poważniej, rozbudzając tkwiącą w niej namiętność. Objęła jego szyję i przyciągnęła do siebie, byle mocniej, byle bliżej, próbując zatonać w tym niesamowitym cieple. Być może trwało to kilka sekund, ale równie dobrze mogło zajmować długie minuty lub godziny – czas nic nie znaczył, kiedy jego gorące ciało dotykało jej ciała.

Gdy Dawid odsunął się od niej gwałtownie i zaczął dyszeć, dotarło do niej, co się stało.

„Co ja zrobiłam!”.

- Przepraszam – szepnął. – Nie chciałem...

- Ciii... - Położyła palec na jego ustach. – Jest dobrze. – Nie puściła go, a kiedy zobaczył, że nie protestuje, z pewnym wahaniem nachylił się nad nią ponownie.

W ostatniej sekundzie zatrzymała go, kładąc dłoń na jego klatce piersiowej, i pokręciła głową.

- Nie wiem, czy to, co czuję, jest prawdziwe, czy tylko wpadam w panikę – powiedziała biorąc głęboki oddech. – Nie mogę, Dawid. Nie teraz, kiedy dzieje się tyle dziwnych rzeczy.

Odsunął się powoli i przez dłuższą chwilę milczał.

- Ja będę czekał – powiedział tak cicho, że ledwie go słyszała.

Laurel podniosła powoli swój plecak.

- Powinam już iść – powiedziała bezsensownie.

Śledził ją wzrokiem, kiedy przechodziła przez pokój.

Zatrzymała się w progu i jeszcze raz spojrzała na niego, a potem wyszła i

zamknęła za sobą drzwi.

Laurel zajęła swoje miejsce w Sali biologicznej, jednak nie wyciągnęła książek. Siedziała wyprostowana i nasłuchiwała znajomych kroków, ale i tak podskoczyła, gdy Dawid rzucił plecak na ławkę. Zmusiła się do tego, by na niego spojrzeć – jednak zamiast pełnej napięcia i niepokoju twarzy zobaczyła szeroki uśmiech i zaróżowione policzki.

- Wczoraj wieczorem trochę sobie poczytałem – powiedział bez powitania. – I mam parę teorii.

„Teorii?”. Laurel nie była pewna, czy chce się dowiedzieć, co to za teorie. Prawdę powiedziawszy, widząc jego minę, raczej nie chciała.

Dawid otworzył książkę i przysunął jej pod nos.

- Muchołówka? Nie, no, ty rzeczywiście potrafisz prawić komplementy! – powiedziała i próbowała popchnąć książkę w jego stronę, ale przytrzymał ją obiema rękoma.

- Posłuchaj mnie przez chwilę. Ja nie mówię, że jesteś muchołówką, ale poczytaj sobie o odżywianiu się tej rośliny.

- Dawid, ona jest mięsożerna.

- Tak, ale przeczytaj dlaczego – powiedział i zaczął przesuwac palcem po akapicie zaznaczonym jaskrawozielonym markerem. – Muchołówka rośnie najlepiej na ubogich glebach – zawierających niewielką ilość azotu. Żywi się muchami, ponieważ ich organizmy są bogate w azot, nie zawierają natomiast tłuszczu ani cholesterolu. Nie chodzi o mięso, tylko o rodzaj składników odżywczych – powiedział i przewrócił kartkę. – Zobacz tutaj, tu jest napisane, czym można karmić muchołówkę hodowaną w domu. Ludzie dają jej kawałki hamburgera i kotleta, bo myślą, tak jak powiedziałaś: że to roślina mięsożerna. Ale w ten sposób można ją zniszczyć, bo mięso zawiera duże ilości tłuszczu i cholesterolu, których muchołówka nie jest w stanie przyswoić.

Laurel wpatrywała się przerażona w potworną roślinę i zastanawiała się, jak u licha Dawid mógł dostrzec jakiegokolwiek podobieństwo między nią a muchołówką.

- Nie rozumiem – powiedziała matowym głosem.

- Chodzi o składniki odżywcze. Laurel, nie pijesz mleka, prawda?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo jestem po nim chora.

- Mogę się założyć, że to ze względu na tłuszcz i cholesterol. Co ty w ogóle pijesz?

- Wodę, napoje gazowane – powiedziała i zamyśliła się. – Sok z brzoskwiń mojej mamy. To chyba tyle.

- Woda i cukier. Wsypałaś kiedyś cukier do wazonu z kwiatami, żeby żyły dłużej? Kwiaty uwielbiają cukier.

Wyjaśnienie Dawida brzmiały tak sensownie, że głowa zaczęła ją boleć.

- Dlaczego w takim razie nie jadam much? – zapytała sarkastycznie, pocierając skronie.

- Myślę, że są za małe. Ale zastanów się, co jesz – same owoce i warzywa. Rośliny, które wyrosły z ziemi i pobrały korzeniami wszystkie potrzebne składniki odżywcze. Zjadasz tylko to, co sama mogłabyś pobrać, gdybyś miała korzenie.

Laurel milczała przez chwilę, bo nauczyciel zaczął przywoływać klasę do porządku.

- Więc nadal uważasz, że jestem rośliną? – zapytała szeptem.

- Niezwykle zaawansowaną w rozwoju – odparł. – Ale tak – rośliną.

- Makabra.

- Bo ja wiem... - Uśmiechnął się. – Fajnie.

- Dla ciebie, bo lubisz naukę. Ale ja jestem tylko dziewczyną, która chciałaby iść na WF tak, żeby nie wzbudzać sensacji.

- A ja myślę, że fajnie i dla ciebie, i dla mnie.

Laurel prychnęła, co zwróciło uwagę pana Jamesa.

- Laurel? Dawid? Może chcielibyście podzielić się dowcipem z klasą? – zapytał, opierając rękę na chudym biodrze.

- Nie, proszę pana – odpowiedział Dawid. – Ale dziękujemy za propozycję.

Uczniowie się roześmiali, ale nauczyciel nie wyglądał na zadowolonego. Kiedy umilkli, westchnął i odwrócił się do tablicy. Laurel uśmiechnęła się do swoich myśli: „Dawid: jeden punkt. Nauczyciel, który też chciałby być tak inteligentny jak Dawid: zero punktów”.

W sobotę Laurel i Dawid spotkali się u niego, żeby „się uczyć”. Chłopak pokazał jej artykuł, który znalazł w Internecie – o tym, jak rośliny wchłaniają dwutlenek węgla przez liście.

- A ty? – zapytał.

Laurel siedziała na jego łóżku z rozwiniętymi płatkami, zwrócona plecami do okna, żeby mogły chłodzić nieco promieni słońca. Była to jedna z korzyści płynących z „uczenia się” w pustym domu Dawida niemal codziennie po szkole. Dawid próbował nie patrzeć – ale nie była pewna, czy nie spogląda ukradkiem; nie wiedziała zresztą, na co bardziej – jej płatki czy nagą talię. Nie miała nic przeciwko temu.

- Nie mam liści, nie licząc tych małych pod płatkami – powiedziała. „Na razie” – dodała w myślach.

- To nie muszą być liście. Może to twoja skóra?

- Dlaczego? Robię się zielona? – zapytała i od razu zamilkła. Zielony kolor skóry przywoływał wspomnienie Tamanego i jego zielonych włosów. Nie chciała o nim myśleć, to było zbyt skomplikowane. A poza tym uważała, że to nie fair w obecności Dawida – czułaby się w jakiś dziwny sposób niełojalna.

Te myśli zatrzymywała sobie na wieczór, na czas tuż przed zaśnięciem.

- Nie wszystkie liście są zielone. – Dawid nie zauważył jej zmieszania. – Ale u większości roślin stanowią największą zewnętrzną powierzchnię, czemu odpowiadałaby twoja skóra. Może ty też wchłaniasz dwutlenek węgla – powiedział i nagle się zaczerwienił. – Przecież nosisz letnie bluzeczki, nawet kiedy jest zimno.

Laurel pomieszała sprite'a słomką.

- W takim razie po co oddycham? Bo przecież oddycham – zaznaczyła.

- A musisz?

- Co to znaczy: czy muszę. Oczywiście, że tak.

- A ja myślę, że nie. W każdym razie nie tak jak ja. A przynajmniej nie tak często. Na jak długo potrafisz wstrzymać oddech?

- Dość długo. – Wzruszyła ramionami.

- No, ile? Przecież pływałaś, powinnaś się orientować. Tak na oko – naciskał, bo zaczęła potrząsać głową.

- Po prostu wynurzam się, kiedy skończę. Nie pływam często. Tylko tyle, żeby zmoczyć włosy.

- Sprawdźmy? – Uśmiechnął się i wskazała na zegarek.

Wpatrywała się w niego przez kilka sekund, a potem odstawiła puszkę i nachyliła się do przodu, wbijając palec w klatkę piersiową Dawida.

- Mam dość eksperymentów – powiedziała ze śmiechem. – Może sprawdzimy, jak długo ty możesz nie oddychać!

- Dobrze, ale ty po mnie.

- Umowa stoi.

Dawid wziął kilka głębokich oddechów i kiedy Laurel powiedziała „start”, nabrał pełne płuca powietrza i oparł się o krzesło. Wytrzymał pięćdziesiąt dwie sekundy, zanim – cały czerwony na twarzy – nie wypuścił go ze świstem. Teraz przyszła kolej na Laurel.

- Tylko się nie śmieję – ostrzegła go. – Na pewno wygrasz.

- Bardzo w to wątpię – powiedział, a w jego Gosie dało się słyszeć charakterystyczną pewnością siebie, obecną zawsze wtedy, gdy był przekonany o swojej racji.

Laurel wzięła głęboki oddech i oparła się o poduszkę. Dawid włączył stoper.

Denerwowało ją patrzeć na jego uśmiech, triumfujący wraz z upływem sekund, więc odwróciła się, by popatrzeć za okno. Przyglądała się ptakowi lecącemu na tle błękitnego nieba, dopóki nie zniknął za wzgórzem.

Ponieważ nie miała nic ciekawszego do obserwacji, zaczęła patrzeć na swoją klatkę piersiową. Czuła się dość nieprzyjemnie. Odczekała jeszcze chwilę, a potem uznała, że wcale jej się to nie podoba, i wypuściła powietrze.

- Koniec. Jaki wynik?

Dawid spojrzał na zegarek.

- Wstrzymywałaś oddech tak długo, jak mogłaś?

- Tak długo, jak chciałam.

- To nie to samo. Mogłabyś dłużej?

- Chyba tak, ale zaczęło mi być niewygodnie.

- O ile dłużej?
- Nie wiem – powiedziała poirytowana. – A ile nie oddychałam?
- Trzy minuty i dwadzieścia osiem sekund.

Minęła chwila, zanim zrozumiała, co to oznacza.

- Pozwoliłeś mi wygrać? – zapytała, wstając.
- Nie. To potwierdza moją teorię.
- Liść? Naprawdę? – Spojrzała na swoją rękę.

Chwycił jej ramię i przyłożył do swojego.

- Zobacz sama – gdy się przyjrzyysz dokładnie, zobaczysz, że nasze ręce się różnią. Ja wiem, że u facetów żyły są bardziej widoczne, ale i tak, przy twojej delikatnej skórze, powinno być chociaż widać niebieskie żyłki. A ty nie masz żadnych.

Przyglądała się w milczeniu własnej ręce.

- Kiedy to zauważyłeś? – zapytała w końcu.

Wzruszył ramionami przeprasząc.

- Kiedy badałem twoje tętno. Ale byłeś wtedy taka przestraszona...

Pomyślałem, że to może poczekać. Zresztą najpierw chciałem trochę poczytać.

- Dzięki... Chyba.

Milczała przez dłuższą chwilę, a myśli kłębiły jej się w głowie. Wszystko sprowadzało się jednak do tego samego wniosku.

- A więc naprawdę jestem rośliną?

Dawid popatrzył na nią i pokiwał głową z powagą.

- Tak mi się wydaje.

Nie wiedziała, dlaczego nagle zaczęły jej płynąć łzy. Wszak nie była to dla niej niespodzianka... Tyle że wcześniej nie przyjmowała tego w pełni do wiadomości. Teraz, kiedy dopuściła to wreszcie do siebie, poczuła ciężką mieszankę strachu, ulgi, oszołomienia i dziwnego smutku.

Dawid usiadł obok niej na łóżku, bez słowa oparł się o zagłówek i przyciągnął ją do siebie, tuląc do piersi. Poddała się temu; czuła się bezpieczna w jego ramionach. Od czasu do czasu gładził ją po rękach i plecach, skrupulatnie unikając dotknięcia płatków.

Słyszała regularny rytm jego serca, które przypominało jej, że na świecie istnieją jeszcze rzeczy normalne, na których można się oprzeć.

Ogarnęło ją ciepło jego ciała i ogrzało dokładnie w taki sposób, w jaki robiło to zawsze słońce. Uśmiechnęła się i przysunęła bliżej.

- Co robisz w sobotę? – zapytał, a głos zadudnił mu w klatce piersiowej, na której położyła ucho.

- Nie wiem. A ty?

- To zależy od ciebie. Myślałem o tym, co mówił Tamani.

Laurel podniosła głowę.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Dlaczego nie? Przecież miał rację, jesteś rośliną. Może też nie mylił się co do tego, że jesteś... że jesteś wróżką.

- I ty to mówisz? Chociaż twój mikroskop cię słyszy? – zapytała ze

śmiechem, starając się sprowadzić rozmowę do żartów. – Może przestać działać, kiedy zorientuje się, że właściciel ma takie nienaukowe podejście.

- To całkiem nienaukowe: przyjaźnić się z kimś, kto jest rośliną – Dawid nie podjął jej żartobliwego tonu.

Westchnęła, ale znowu oparła o niego głowę.

- Każda mała dziewczynka marzy o tym, żeby być księżniczką, wróżką albo syreną. Zwłaszcza ta, która nie zna swojej prawdziwej matki. Ale to marzenie mija mniej więcej w wieku sześciu lat, a już z pewnością nie trwa do piętnastego! – powiedziała, zaciskając zęby. – Wróżki nie istnieją.

- Może i nie, ale nie musisz być prawdziwą wróżką.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- W sobotę jest bal kostiumowy – odparł, patrząc na jej kwiat. – Pomyślałem sobie, że poszłabyś jako wróżka i sprawdziła się w nowej roli... No wiesz, przyzwyczaiłabyś się do kostiumu i do świadomości, że to wszystko prawda.

- Że co? Mam sobie przymocować skrzydła i włożyć sukienkę z falbankami?

- Wydaje mi się, że już masz skrzydła – zauważył poważnym tonem.

Zaczęła powoli rozumieć, co ma na myśli, i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Mam iść z tym na bal? Żeby każdy zobaczył ten kwiat? Ty chyba oszalałeś! Nie ma mowy!

- Posłuchaj mnie – powiedział Dawid, wstając. – Przemyślałem to. Kojarzysz takie błyszczące girlandy? Gdybyśmy obwiązali nimi kwiat u nasady, a potem przerzucili końcówki przez ramiona, nikt by się nie domyślił, że to prawdziwe. Wszyscy uważaliby, że masz świetny kostium.

- Połapaliby się, Dawid. Ten kwiat jest... zbyt prawdziwy.

- ludzie wierzą w to, co się im wmówi. – Dawid wzruszył ramionami, a potem zachichotał. – Naprawdę sądzisz, że ktoś spojrzy na ciebie i powie: „Hm, zdaje mi się, że ta dziewczyna jest rośliną”?

Rzeczywiście brzmiało to absurdalnie. Laurel przypomniała sobie połyskującą niebieską sukienkę, która miała na weselu kuzynki mamy w ubiegłym roku.

- Pomyślę o tym – mruknęła.

W środę po szkole Dawid musiał iść do pracy, więc Laurel postanowiła udać się do biblioteki. Zatrzymała się przy biurku bibliotekarki, która próbowała objaśnić system klasyfikacji książek jakiemuś chłopcu. On jednak ani tego nie rozumiał, ani nie chciał słuchać. Po kilku minutach wzruszył ramionami i odszedł.

- Słucham – westchnęła sfrustrowana bibliotekarka, odwracając się do Laurel.

- Czy mogę skorzystać z Internetu?

- Tam jest komputer – pokazała i uśmiechnęła się, zadowolona, że wreszcie ktoś zadał jej sensowne pytanie. – Zaloguj się numerem karty bibliotecznej, masz do dyspozycji godzinę.

- Tylko godzinę?

- Musieliśmy wprowadzić taką zasadę kilka miesięcy temu – powiedziała bibliotekarka konspiracyjnym tonem. – Bo przychodziła tu taka starsza pani na emeryturze i całymi dniami grała w kierki – wyjaśniła. – Wiesz, jak to jest, jedna osoba potrafi odebrać przyjemność wszystkim. Ale za to Internet jest szybki – powiedziała, po czym wróciła do wpisywania sterty książek do systemu.

Laurel podeszła do miejsca, gdzie stał jedyny komputer podłączony do sieci. W przeciwieństwie do ogromnej biblioteki w Eureka, którą często odwiedzała z tatą, ta była niewiele większa od zwykłego mieszkania. Na jednym regale stały książki obrazkowe, na drugi powieści dla dorosłych, resztę półek zajmowały stare słowniki i encyklopedie. A i tych nie było za wiele.

Usiadła przy komputerze i zalogowała się, a potem zerknęła na zegarek i zaczęła szperać w sieci.

Czterdzieści minut później znalazła ilustracje wróżek mieszkających w kwiatkach, w kwiatnych strojach, pijących herbatę z maleńkich kwiatowych kielichów. Ale ani śladu wróżek będących kwiatami. Czy roślinami. Czy czymkolwiek innym. „Beznadzieja” – pomyślała z irytacją.

Zaczęła czytać drugi artykuł w Wikipedii, ale co dwa-trzy zdania musiała sprawdzać rzeczy, których nie rozumiała. Zdołała przeczytać tylko stronę tekstu.

Westchnęła głęboko, zmrużyła oczy i zabrała się do czytania artykułu od początku.

- Uwielbiam wróżki!

Laurel omal nie spadła z krzesła, słysząc głos Chelsea.

- Przeszłam przez ten etap jakiś rok temu – powiedziała dziewczyna, zajmując krzesło obok. – Wszystko, co miałam musiało być związane z wróżkami. Do dzisiaj mam pewnie z dziesięć książek o wróżkach i rysunki na suficie. Trafiłam nawet na broszurę, w której autor przedstawiał swoją spiskową teorię, że cała Irlandia jest kontrolowana przez armię elfów i wróżek. Oczywiście, trochę przesadził, ale przyznam, że niektóre argumenty brzmiały całkiem wiarygodnie.

Laurel szybko zamknęła okno przeglądarki. „Za mało, za późno” – przeszło jej przez myśl.

- W dawnych czasach ludzie obarczali wróżki winą za wszystko, co złe – kontynuowała Chelsea, nie zważając na to, że Laurel nie odezwała się ani słowem. – Rzecz jasna, wróżka przypisywano też wszystkie dobre cechy, więc wychodziło na zero – dodała ze śmiechem. – A właściwie to czemu czytałaś o wróżkach?

Laurel poczuła, że zaschło jej w gardle. Próbowwała coś wymyślić naprędce, ale po przejrzeniu dziesięciu wykluczających się legend miała w głowie

puszkę.

- Eee... chciałam znaleźć coś... - zaczęła, ale w ostatniej chwili uświadomiła sobie, że przecież chodzi na angielski razem z Chelsea i nie byłaby to dobra wymówka.

Wtedy przypomniała sobie o propozycji Dawida.

- Idę w sobotę na bal kostiumowy w przebraniu wróżki – wyjąkała. – Pomyślałam sobie, że poczytam o nich trochę.

- Świetny pomysł – rozpromieniła się Chelsea. – Ja też chciałabym być wróżką. Może ubierzemy się tak samo.

„No, świetnie”.

- Właściwie to Dawid przygotowuje dla mnie skrzydła. To ma być niespodzianka.

- Aha – powiedziała Chelsea z nieznacznym wahaniem. – W porządku. Ja i tak pewnie wymyślę coś razem z Ryanem – dodała i zarumieniła się lekko. – Zaprosił mnie w piątek.

- Fajnie.

- Tak. On jest słodki, prawda?

- Pewnie.

- A więc ty idziesz z Dawidem? – zapytała Chelsea po chwili.

Laurel skinęła głową w odpowiedzi.

- Będziesz fantastyczną wróżką – uśmiechnęła się Chelsea ze smutkiem. – Praktycznie wyglądasz jak wróżka, więc będzie idealnie.

- Wyglądam?

- Tak mi się wydaje. Masz taką jasną karnację i włosy. Kiedyś myślano, że anioły to wróżki, więc na pewno było lekkie i delikatne.

„Delikatne?”. Laurel była zaskoczona.

- Będziesz wyglądać super. Zaczekam na ciebie przy wejściu, chcę cię zobaczyć jako pierwsza.

- Umowa stoi. – Laurel zmusiła się do uśmiechu. Nie była zachwycona takim obrotem spraw, ale zdecydowanie wolała to od wyjawienia prawdy.

- Czemu siedzisz tutaj? Nie masz w domu Internetu?

- Mam. Przez modem – Laurel przewróciła oczami.

- Naprawdę? Takie coś jeszcze istnieje? Mój tata jest informatykiem i mamy sieć bezprzewodową w całym domu. Ale się zdziwi, jak mu powiem, że wy jeszcze korzystacie z modemu. Wpadnij do mnie następnym razem – poszperasz sobie w sieci, a ja pożyczę ci parę książek.

Zgodziła się odruchowo, ale wiedziała, że za żadne skarby nie pójdzie do Chelsea szukać informacji. Chelsea była zbyt inteligentna – szybko by złożyła wszystkie elementy układanki w całość.

Zakładając, że były jakieś. Laurel nie znalazła ani jednego źródła, które dawałoby podstawy do twierdzenia, że jest wróżką. Najbliższe im były driady – nimfy leśne, duchy drzew.

Była jednak całkiem pewna, że nie jest duchem.

- Musze lecieć – powiedziała Chelsea. – Przystudiować poważne rzeczy – dodała i podniosła trzymany w reku podręcznik historii. – Pani Mitchell kazała

nam znaleźć trzy źródła inne niż Internet. Ona jest taka zacofana. No nic, do jutra!

- Do jutra – rzuciła Laurel i odwróciła się do komputera, żeby jeszcze poczytać. Ale kiedy otworzyła przeglądarkę, okazało się, że skończył się jej czas.

Westchnęła i zabrała nieliczne notatki. Jeżeli zechce jeszcze poszperać, będzie musiała tu wrócić. Obejrzała się w stronę regałów, gdzie widać było loki Chelsea.

W domu przyjaciółki byłoby jej o wiele wygodniej.

Niestety, ostatnio wygoda zniknęła z listy priorytetów Laurel.

teligentna – szybko by złożyła wszystkie elementy układanki w całość.

Zakładając, że były jakieś. Laurel nie znalazła ani jednego źródła, które dawałoby podstawy do twierdzenia, że jest wróżką. Najbliższe im były driady – nimfy leśne, duchy drzew.

Była jednak całkiem pewna, że nie jest duchem.

– Muszę lecieć – powiedziała Chelsea. – Przestudiować poważne rzeczy – dodała i podniosła trzymany w ręku podręcznik historii. – Pani Mitchell kazala nam znaleźć trzy źródła inne niż Internet. Ona jest taka zadowolona. No nic, do jutra!

– Do jutra – rzuciła Laurel i odwróciła się do komputera, żeby jeszcze poczytać. Ale kiedy otworzyła przeglądarkę, okazało się, że skończył się jej czas.

Westchnęła i zebrała nieliczne notatki. Jeżeli zechce jeszcze poszperać, będzie musiała tu wrócić. Obejrzała się w stronę regałów, gdzie widać było loki Chelsea.

W domu przyjaciółki byłoby jej znacznie wygodniej.

Niestety, ostatnio wygoda zniknęła z listy priorytetów Laurel.

– Nadal nic? – zapytał Dawid, kiedy zadzwoniła do niego w sobotę po południu, kilka godzin przed bale.

– Nic. Przez trzy dni z rzędu chodziłam do biblioteki i kompletnie nic nie znalazłam.

– Nawet śladu?

– Znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz, oprócz... – zniżyła głos – oprócz wróżek, które przypominają mi się.

– A u Szekspira? Może *Sen nocy letniej*?

– To w sumie najbliższe mojej rzeczywistości. Ale one i tak mają skrzydła i są pełne magii. A do tego złośliwe. Ja chyba taka nie jestem, co?

– Nie jesteś – zaśmiała się i umilkła na chwilę. – Może te wszystkie historie kłamią.

– Wszystkie, co do jednej?

– A ile prawdy jest zwykle w legendach?

– Nie wiem. Ale wydaje mi się, że gdyby to była prawda, coś na pewno by się znalazło.

– Będziemy szukać. Jak tam z przygotowaniami do dzisiejszego wieczoru? Wszystko masz?

– Pewnie.

– W takim razie będę o ósmej.

– Będę czekać.

Kilka godzin później Dawid zjawił się w domu Laurel z dużym pudłem, w którym rzekomo miał skrzydła. Otworzyła drzwi w niebieskiej sukni, z szalem udrapowanym na ramionach.

– Wyglądasz fantastycznie! – krzyknął.

Laurel spojrziała na siebie, myśląc, że może jednak powinna była wybrać coś mniej rzucającego się w oczy. Suknia, wykonana z błyszczącej, błękitnej satyny, ze srebrnymi koralikami, uszyta ze skosu, idealnie układała się na wszystkich wypukłościach jej figury. Z przodu miała delikatny dekolot w kształcie serca, plecy natomiast były zupełnie odsłonięte, niemal do samej talii; na kręwdziach zdobiły ją połyskujące srebrne koraliki. Całości dopełniał krótki tren.

Dawid miał na sobie czarne spodnie i biały frak. Przepasał się czerwoną jedwabną szarfą, a pod szyją zawiązał sobie apaszkę. Z kieszonek na piersiach wystawały mu białe rękawiczki, a włosy – z czego Chelsea na pewno byłaby dumna – przygładził żelem.

– Kim ty jesteś? – zapytała Laurel z podziwem.

Dawid się zaczerwienił.

– Księżciem z bajki? – powiedział, a kiedy Laurel się zaśmiała, wzruszył ramionami. – Uznałem, że oboje możemy być baśniowymi postaciami.

– Moja mama wie, że miałeś przyjść – szepnęła, prowadząc go schodami do góry – ale lepiej przygotować wszystko, zanim się zorientuje, że już jesteś. Jeszcze będzie chciała, żeby drzwi były otwarte czy coś takiego...

– Nie ma sprawy.

Wprowadziła go do swojego pokoju, po czym rzuciła ostrożne spojrzenie na korytarz i zamknęła drzwi. Rozwiązała biały szal i pozwoliła rozprostować się płatkom. Musiała im trochę pomóc, bo w ciągu ostatnich dni jakby osłabły i nie prostowały się do końca. Odwróciła się, kiedy usłyszała westchnienie Dawida.

– Co?

– Są takie piękne – zwłaszcza z tą sukienką. Za każdym razem, kiedy je widzę, jestem urzeczony.

– Jasne – powiedziała z sarkazmem. – Bo nie należę do ciebie.

Dawidowi wystarczyły dwie minuty, żeby obwiązać girlandą podstawę kwiatu i przetrząść końce przez ramiona Laurel. Odwróciła się do wiszącego na drzwiach lustra, które zdążyła już kupić, i zaśmiała się.

– Jesteś genialny! To naprawdę wygląda jak kostium!

Stanął obok niej i uśmiechnął się do ich odbicia w lustrze.

– Jeszcze nie skończyłem – powiedział i odwrócił się do pudełka. – Usiądź – polecił, wskazując na krzesło. – I zamknij oczy.

Zrobiła, o co prosił, bo nawet jej się to wszystko zaczęło podobać. Poczula jego ręce na swojej twarzy, a potem coś zimnego dotknęło jej powiek i policzków.

– Co ty robisz?

– Żadnych pytań. I nie otwieraj oczu.

Usłyszała, jak czymś potrząsa, a potem chłodna mgielka pokryła jej włosy.

– Jeszcze chwilkę – powiedział Dawid.

Poczula jego ciepły oddech, przy którym jednak posmarowane czymś powieki wydawały się jeszcze chłodniejsze.

– Skończono – powiedział po jakiejś minucie.

Otworzyła oczy, wstała z krzesła i stanęła przed lustrem. Aż jęknęła z wrażenia! Zaśmiała się i odwracała raz jedną, raz drugą stroną, pozwalając, by promienie zachodzącego słońca rozświetlały błyszczące drobinki na policzkach i wokół oczu. We włosach też miała brokat, połyskujący i opadający na sukienkę przy każdym potrząśnięciu głową. Z trudem rozpoznawała siebie w tej baśniowej postaci.

– Teraz dopiero wyglądasz jak wróżka – powiedział Dawid z uznaniem.

– I czuję się jak wróżka – westchnęła Laurel. – Nie sądziłam, że kiedyś to powiem. Jesteś niesamowity – dodała.

– Nie – zaśmiał się. – Udowodniłiśmy to naukowo: to ty jesteś niesamowita – to mówiąc, dotknął ręką swoich nażełowanych włosów i uśmiechnął się kpiąco. – Ja jestem tylko człowiekiem.

– Może, ale za to najlepszym – powiedziała, po czym uśmiechnęła się i ścisnęła jego rękę.

– Skoro o ludziach mowa – Dawid wykonał gest w stronę drzwi – powinniśmy pokazać się twojej mamie. Moja przyjedzie po nas za jakieś dziesięć minut.

W tej samej chwili Laurel poczuła, że wraca całe jej zdenerwowanie.

– Naprawdę uważasz, że nie pozna? – zapytała.

– Absolutnie. Jestem tego pewien – odparł i ujął jej dłoń. – Jesteś gotowa?

Nie była, ale pokiwała sztywno głową.

Dawid otworzył drzwi i podał jej ramię z rozmachem.

– Pani pozwoli?

Mama Laurel przyłapała ich, kiedy schodzili po schodach.

– Tu jesteście! – powiedziała, wyciągając aparat. – Już się bałam, że się wymkniecie cichaczem. Wyglądasz przepięknie – powiedziała, przyglądając się córce z uśmiechem. – I ty też bardzo przystojnie – dodała, patrząc na Dawida.

– A gdzie tata? – zapytała Laurel, rozglądając się po salonie.

– Musiał zostać dłużej w pracy. Ale obiecałam mu mnóstwo zdjęć. Uśmiechnijcie się!

Zrobiła ich co najmniej pięćdziesiąt, zanim rozległ się dźwięk klaksonu. To był samochód mamy Dawida.

Laurel pociągnęła chłopaka za sobą, a jej mama krzyknęła jeszcze, żeby się dobrze bawili. Mama Dawida też się rozplywała nad ich wyglądem, ale zdążyła już wcześniej obfotografować syna, więc zadowolona się pięcioma czy sześcioma zdjęciami pary.

– Zbyttno przyciągam uwagę – szepnęła Laurel, kiedy usiedli na tylnym siedzeniu. – Ktoś się domyśli.

– Nikt się nie domyśli – zaśmiał się Dawid. – Obiecuję.

– Lepiej, żebyś się nie mylił – wymamrotała, kiedy wjechali na parking pod szkołę.

* * *

– Wyglądasz rewelacyjnie! – zapiszczała Chelsea, kiedy Laurel z Dawidem wchodzili na udekorowaną salę gimnastyczną. – Dawid mówił, że skrzydła będą piękne, ale nie sądziłam, że aż tak – to mówiąc, okręciła przyjaciółkę dookoła. – One przypominają bardziej kwiat niż skrzydła, nie uważasz?

– Bo to takie kwietne skrzydła – wyjąkała Laurel nerwowo.

– Są wspaniałe! Dawid, jesteś genialny – powiedziała Chelsea, kładąc mu rękę na ramieniu.

Laurel powstrzymała uśmiech. Tego wieczoru wszystkie komplementy związane z jej kwiatem miały być przeznaczone dla Dawida, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Zwłaszcza że alternatywę stanowiło powiadomienie wszystkich, że... wyrósł jej na plecach!

Nagle Chelsea wyraźnie wciągnęła powietrze wokół jej ramion i Laurel zamarła.

– Super! – Teraz już Chelsea wahała otwarcie. – Czym ty to popryskalaś? Zapłacę każdą cenę za ten zapach.

Laurel przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

– A, to takie perfumy, które mam od zawsze. Nawet nie pamiętam, jak się nazywają.

– Jeżeli kiedykolwiek będziesz się chciała ich pozbyć, to ja je biorę. Mmm!

Laurel uśmiechnęła się i spojrzała znacząco na Dawida, przechylając głowę w stronę przeciwległego końca sali. Byle jak najdalej od nosa Chelsea.

– Pójdziemy się czegoś napić – powiedział chłopak i chwycił ją za rękę.

Na szczęście podszedł Ryan i zajął Chelsea, więc nie poszła za nimi.

Laurel nie wypuszczała z ręki dłoni Dawida. Nie powiedział, co prawda, że to randka, ale nie powiedział też, że nie, więc wo-

lala myśleć, że są na randce. Chociaż wahała się przed nazwaniem Dawida swoim chłopakiem, to wcale nie była pewna, czy tego właśnie by nie chciała. Dawid był kochany, cierpliwy, inteligentny i dowcipny, a przy tym nie ukrywał, że ona mu się podoba. Czego jeszcze można chcieć od faceta? Uśmiechnęła się, idąc za nim: pewnie zaczną plotkować, widząc ich trzymających się za ręce, ale wcale jej to nie przeszkadzało.

Kiedy szła, wszyscy rozstępowali się, żeby zrobić miejsce jej skrzydłom. Osoby, które nigdy wcześniej nie zamieniły z nią słowa, teraz podchodzili, żeby powiedzieć, jaki ma świetny kostium. Gdziekolwiek spojrziała, widziała, że wszyscy się jej przyglądają, ale tym razem wcale jej to nie stresowało. Wiedziała, co widzą. Wyglądała magicznie – nie było lepszego słowa, żeby to opisać.

Około wpół do dwunastej puszczono wolną piosenkę i Dawid po raz pierwszy tego wieczoru poprosił ją do tańca. Wcześniej trzymał się na uboczu, rozmawiał z przyjaciółmi i obserwował, jak tańczy z innymi chłopakami.

– I jak? – zapytał, przyciągając ją do siebie. – Jest bardzo źle?

Uśmiechnęła się i objęła go za szyję.

– Wcale – powiedziała. – Miałaś rację, jak zwykle.

– Oczywiście – zaśmiał się. – A tym razem z czym miałem rację, tak konkretnie?

Nadal się uśmiechała, mimo że słowa były poważne.

– Wszyscy widzą mnie taką, jaka jestem, i nikt się mnie nie boi ani nie wyśmiewa. Nikt nie wzywa żadnych zwiariowanych naukowców... Po prostu podoba im się – zawahała się, a potem dodała: – Mnie chyba też.

– I mnie. – Uśmiechnął się. – Wyglądasz cudownie. Jesteś cudowna.

Opuściła wzrok, ale poczuła rozlewające się po ciele ciepło.

– Więc jak to jest być wróżką?

– Nie najgorzej. – Wzruszyła ramionami. – Oczywiście co-dziennie to tak być nie może.

– Nie, ale jeśli przyzwyczaisz się do tej myśli, może zaczniesz się zastanawiać, czy to jednak nie jest prawda.

Popatrzyła na niego rozbawiona.

– Ty chciałbyś, żeby to była prawda!

– A jeśli tak, to co?

– Ale dlaczego?

– Bo zadawanie się z baśniową istotą to jedyny sposób na kontakt z baśniowym światem.

– Przecież jesteś księciem z bajki.

– Tak, ale sama wiesz, że tylko na balu. Ale ty, Laurel... Uważam, że to prawda. I to wspaniale. Kto jeszcze ma wróżkę za najlepszą przyjaciółkę? Nikt!

– A jestem twoją najlepszą przyjaciółką? – Uśmiechnęła się.

Popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

– Na razie.

Przysunęła się bliżej i położyła głowę na ramieniu Dawida. Kiedy piosenka się skończyła, przytuliła go mocno.

– Dziękuję – szepnęła mu do ucha.

Zaśmiał się i teatralnym gestem podsunął jej ramię.

– Pani pozwoli.

Zaprowadził ją do stołu, gdzie siedzieli ich przyjaciele, i Laurel opadła na krzesło.

– Muszę powiedzieć, że jestem wykończona.

Nachylił się do jej ucha.

– A czego się spodziewałaś? Słońce już dawno zaszło, wszystkie grzeczne wróżki śpią w swoich kwiatkach.

Zaśmiała się, ale chwilę później drgnęła, bo ktoś dotknął jej ramienia. Tuż za nią stał uczeń ze starszej klasy, którego znała z widzenia.

– Cześć. To ci odpadło, kiedy tańczyłaś. Pomyślałem sobie, że chciałabyś to z powrotem – to mówiąc, podał jej długi białobłękitny płatek.

Wpatrywała się w Dawida szeroko otwartymi oczami, a on po kilku sekundach wziął płatek od chłopaka.

– Dzięki – powiedział.
 – Nie ma za co. Z czego to zrobiłeś? Wygląda zupełnie jak prawdziwy.
 – To moja tajemnica – zaśmiał się Dawid.
 – Niesamowite.
 – Dzięki.
 Chłopak wmieszał się w tłum, a Dawid położył platek na stole. Laurel czuła się z tym dziwnie: była zażenowana, bo każdy mógł go zobaczyć. A przecież to było coś bardzo prywatnego – zupełnie, jakby Dawid wyłożył na stole jej bieliznę.
 – Tak po prostu odpadł? – zapytał, przybliżając się. – Poczulaś coś?
 Pokręciła przecząco głową.
 – I na pewno nikt ci go nie wyrwał, tak że tego nie zauważyłaś?
 Przypomniała sobie ból, jaki poczuła, gdy kilka dni wcześniej próbowała wyrwać jeden z płatków.
 – Nie ma mowy.
 – Laurel – zaczął tak cicho, że ledwie go słyszała – czy Tamani nie powiedział, że tak właśnie się stanie?
 – Nie wierzyłam mu. Nie potrafiłam. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe – powiedziała automatycznie, ale w głowie krążyło jej oczywiste pytanie: „Skoro Tamani miał rację w tej kwestii, czy to oznacza, że miał rację także co do tego, że jestem wróżką?”
 Dawid popatrzył przez chwilę na podłogę za Laurel, a potem nachylił się i usiadł na krześle, trzymając w ręku kolejne dwa płatki.
 – Wygląda na to, że moje dzieło się rozpada – podsumował, uśmiechając się do kolegów.
 – Nie szkodzi – odezwała się Chelsea. – I tak bał się kończy za parę minut. Było piękne, dopóki trwało – dodała i uśmiechnęła się do Laurel.

– Dawid, możemy poczekać na twoją mamę na zewnątrz? – zapytała Laurel z desperacją w głosie.
 – Jasne. Chodźmy.
 Dawid prowadził ją do wyjścia, a ona gorączkowo zbierała opadające płatki. Za każdym razem, kiedy ktoś się z nią zderzył, spadały następne. Zanim doszli do drzwi, z pleców zwisało jej już tylko kilka płatków, całe ich naręcze niosła ze sobą.
 – Mam wszystkie? – zapytała, rozglądając się dookoła.
 – Tak mi się wydaje – odparł.
 Westchnęła i potarła dłońią twarz. Na ziemię opadły drobinki brokatu.
 – O kurczę, zapomniałam.
 Dawid zaśmiał się i spojrzal na zegarek.
 – Pólnoc. Bucik też zgubisz?
 – To nie jest śmieszne!
 Ale Dawid włożył ręce do kieszeni i śmiał się otwarcie.
 – Jak to wygląda? – zapytała, odwracając się do niego plecami.
 – Z tą girlandą nic nie widać.
 – To dobrze – powiedziała i zamilkła na dłuższą chwilę.
 Przyglądała się naręczu płatków. Poczula suchość w gardle i popatrzyła na Dawida.
 – A więc to prawda?
 – Ale co?
 Wzruszyła ramionami, ale zmusiła się, żeby to powiedzieć.
 – Jestem wróżką, tak?
 Dawid tylko się uśmiechnął i pokiwał głową.
 Z jakiegoś nieokreślonego powodu Laurel poczuła się lepiej.
 – Wow! – powiedziała.
 Kilka minut później przyjechała po nich mama Dawida. Usiedli na tylnym siedzeniu.
 – Ach, skrzydła odpadły – zauważyła. – Dobrze, że zrobiłam zdjęcia.

Laurel nie powiedziała nic, tylko odwróciła się i podniosła kolejne dwa płatki.

Kiedy podjechali pod dom, Dawid odprowadził Laurel do drzwi, pomagając nieść zebrane płatki.

– Zostalo już tylko pięć – powiedział, spoglądając na jej plecy. – Pewnie odpadną, kiedy będziesz spała.

– O ile dotrwią do tego czasu!

– Czujesz ulgę?

– Coś w tym rodzaju – powiedziała po chwili namysłu. – Cieszę się, że nie muszę już niczego ukrywać – nie licząc może śladu po guzie. Dobrze, że będę mogła znowu nosić odkryte koszulki, ale...

– Zahałała się, zbierając myśli. – Dzisiaj coś się zmieniło. Przez kilka godzin naprawdę cieszyłam się z tego kwiatu. Bardzo. Był czymś szczególnym i magicznym. A to dzięki tobie. – Uśmiechnęła się. – I... cieszę się z tego.

– Pamiętaj, że za rok znowu pojawi się kwiat. Czy nie to mówił Tamani?

Zmarszczyła czoło na dźwięk tego imienia.

– Mogłaby to być nasza tradycja. Raz w roku wychodziłabyś z ukrycia i stawiała się wróżką.

Laurel pokiwała głową. Jeszcze dzień wcześniej nie przypuszczała, że ten pomysł może jej się spodobać.

– Inne dziewczyny będą zazdrosne – ostrzegła go. – Pewnie zechcą, żebyś im też zrobił skrzydła.

– Powiem im, że tylko Laurel może mieć skrzydła. Nie będą miały pojęcia, ile w tym prawdy.

– Nie sądzisz, że ktoś się zorientuje?

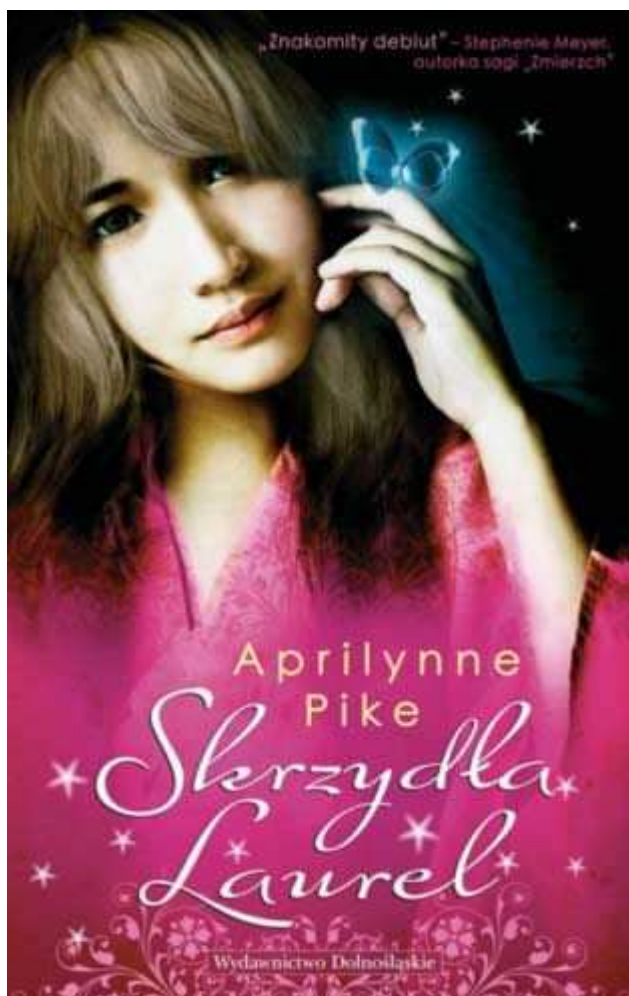
– Może. Zawsze znajdują się ludzie, którzy wierzą w baśnie i legendy, a przynajmniej w jakąś ich część. Oni widzą to, co oczywiste, i dostrzegają cuda tego świata. Ale nawet jeśli coś zauważą, nikomu nie powiedzą. Bo my wszyscy, postrzegający świat logicznie i naukowo, nie zauważymy prawdy, nawet gdyby

ktos ją umieścił na billboardzie. Cieszę się, że ty mi ją pokazałaś – sam nigdy bym nie odkrył, kim naprawdę jesteś.

– Jestem po prostu sobą.

– I to jest w tym wszystkim najlepsze.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, nachylił się i pocałował ją delikatnie w czoło, a potem odwrócił się, wymamrotal pożegnanie i odszedł do samochodu.



Skrzydła Laurel

Rozdział: 13

Laurel patrzyła przez ramię w lustro na swoje nagie plecy. Na środku widniała mała biała kreska, niczym dawno zapomniana blizna, ale trzeba było się dobrze przypatrzeć, żeby ją zauważyć.

Westchnęła i włożyła koszulkę bez rękawów. Od razu poczuła się lepiej.

Poprzedniego wieczoru bycie wróżką wydawało się jej takie realne; teraz miała wrażenie, że od tego czasu minęły lata świetlne. Zaczęła przyglądać się własnej twarzy pod różnym kątem, jakby spodziewała się dostrzec jakieś zmiany

- Jestem wróżką- szepnęła.

Jednak jej lustrzane odbicie milczało.

Poczuła się głupio, że to powiedziała. Nie uważała się za wróżkę- nie dostrzegała żadnej różnicy pomiędzy tym, co teraz, a swoim dawnym "ja".

Czuła się normalnie. Tylko, że teraz знаła już prawdę- prawdę, o której można powiedzieć wszystko oprócz tego, że jest normalna.

Musi porozmawiać z Tamanim.

Zeszła na palcach na dół i chwyciła za telefon. Wybrała numer komórki Dawida, ale dopiero kiedy się odezwał zaspanym głosem, zdała sobie sprawę z tego, która jest godzina.

- Halo?

Nie było sensu odkładać słuchawki, skoro i tak go już obudziła.

- Cześć. Przepraszam. Nie pomyślałam, że śpisz.

- A co ty robisz o szóstej rano?- zapytał

- No, wiesz. Słońce już wstało.

- No tak- rzucił

Spojrzała na uchylone drzwi do sypialni rodziców i schowała się w skrytce przy kuchni.

- Mógłbyś mnie dzisiaj kryć?- zapytała szeptem.

- Kryć?

- No, czy mógł być w razie czego powiedzieć moim rodzicom, że jestem u ciebie?

Dawid wydawał się teraz całkiem rozbudzony.

- Co chcesz zrobić?

- Muszę się zobaczyć z Tamanim. A przynajmniej spróbować go znaleźć.

- Chcesz jechać do waszego starego domu? Czym?

- Autobusem? Chyba coś tam jeździ w niedzielę.

- Na pewno dojedziesz do Orick. Jak to daleko stamtąd?

- Ze dwa kilometry od dworca autobusowego. Mogę zabrać rower, dojadę tam w parę minut.

- Szkoda, że nie mam jeszcze prawa jazdy- westchnął.

Laurel zaśmiała się, bo Dawid ciągle o tym wspominał.

- Jeszcze tylko dwa tygodnie. Dasz radę.

- To nie o to chodzi. Chciałbym jechać z tobą.

- Nie możesz. Jeśli zobaczy, że jesteś ze mną, może się nie pojawić. Nie był szczególnie zadowolony kiedy dowiedział się, że powiedziałam ci o kwiecie.

- Mówiłaś mu o mnie.

Laurel owinęła kabel telefoniczny wokół swojego nadgarstka.

- Zapytał, czy komukolwiek o tym mówiłam, i mi się wymknęło. On jest inny- zupełnie jakby... nie można go było okłamać.

- Nie podoba mi się to Laurel. On może być niebezpieczny.

- To ty przez cały tydzień powtarzałaś, że on miał Recję. Przecież mówił, że jest taki jak ja. Skoro to wszystko była prawda, czemu w tym jednym miałby skłamać?

- A pan Barnes? Może tam być.

- Rodzice jeszcze nie podpisali dokumentów. Nadal jesteśmy właścicielami.

- Na pewno?

- Tak. Jeszcze wczoraj mama mówiła.

Dawid westchnął i zamilkł.

- Proszę! Muszę tam jechać. Dowiedzieć się czegoś więcej.

- Dobrze. Ale pod jednym warunkiem: kiedy wrócisz, powiesz mi wszystko, co od niego usłyszałaś.

- Wszystko co będę mogła.

-Co to ma niby znaczyć?

- Nie wiem, czego się dowiem. A co, jeśli zdradzi mi jakiś wielki sekret wróżek, o którym nie będę mogła nikomu powiedzieć?

- Dobrze. W takim razie wszystko oprócz wielkiego sekretu, jeśli taki będzie Umowa stoi?

- Stoi.

- Laurel?

-Co?

- Uważaj na siebie. Proszę.

Laurel przymocowała rower łańcuchem do niedużego drzewa i zarzuciła plecak na jedno ramię. Minęła pusty dom i zawahała się na skraju lasu, skąd kilka ścieżek prowadziło w gąszcz drzew i zarośli. W końcu zdecydowała się pójść dróżką do miejsca, w którym ostatnio go spotkała. Wydawało jej się to rozsądnym posunięciem. Kiedy dotarła do głazu nad strumieniem, rozejrzała się dookoła. Przesiadanie w tym pięknym miejscu zawsze ją uspokajało i nastrajało pozytywnie, więc przez chwilę nosiła się z myślą, żeby tylko posiedzieć tu przez jakiś czas, a potem wrócić do domu, bez rozmowy z Tamanim. Ta kosztowała by ją wiele nerwów.

Powstrzymała się jednak przed ucieczką. Wzięła głęboki oddech i krzyknęła:

- Tamani!

Oczekiwała, że jej krzyk odbije się od skał, ale miała wrażenie, że został

wchłonięty przez drzewa. To sprawiało, że poczuła się taka maleńka...

- Tamani?- zawołała ponownie, tym razem nieco ciszej- Jesteś tu? Chcę porozmawiać.- Obróciła się dookoła, próbując jednocześnie patrzeć we wszystkie strony.- Tama...

- Hej!- usłyszała miły głos, w którym brzmiało dziwne wahanie. Odwróciła się i o mało się z nim nie zderzyła. Zakryła usta dłonią, by powstrzymać okrzyk. Przed nią stał Tamani, ale wyglądał zupełnie inaczej. Na ramionach i tułowiu miał coś, co przypominało zbroję z kory i liści. Trzymał długą włócznię, z niezwykle ostrym grotem. Wyglądał olśniewająco, jak poprzednio, ale onieśmienie spowijało go niczym gęsta mgła.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę i chociaż próbowała odwrócić wzrok, nie mogła. Kącik jego ust podniósł się w delikatnym uśmiechu. Po chwili zdjął dziwną zbroję i razem z nią zniknęła nieśmiałość

- Przepraszam za to przebranie- powiedział, kładąc zbroję za drzewem.- Mamy tu dziś stan gotowości- dodał, prostując się i uśmiechając z wahaniem- Cieszę się, że wróciłaś, nie byłem pewien, czy to zrobisz.

Cały jego strój był ciemnozielony- miał obcisłą koszulę z rękawami do łokci i luźne spodnie, podobne do tych, które widziała poprzednio.

- I przyjechałaś sama.- to nie było pytanie

- Skąd wiesz?

Zaśmiał się, a w oczach rozbłysły mu wesołe iskierki.

- Kiepski byłby ze mnie wartownik, gdybym nie wiedział ile osób wtargnęła na mój teren.

- Wartownik?

- Zgadza się- powiedział.

Prowadził ją ścieżką w stronę polany, na której ostatnio rozmawiali.

- Czego pilnujesz?

- Czegoś bardzo, bardzo ważnego- odrzekł, odwracając się z uśmiechem, a potem dotknął koniuszka jej nosa.

Z trudem złapała oddech.

- Ja... przyjechałam, żeby... eee... żeby przeprosić- wyjąkała.

- Za co?- zapytał, nie zwalniając

"Kpi sobie ze mnie czy naprawdę wcale go to nie obeszło?"- pomyślała/

- Ostatnio zareagowałam zbyt nerwowo - powiedziała zrównując się z Tamanim- Byłam okropnie zestresowana tym wszystkim, co się działo, a to, co mi powiedziałeś doprowadziło mnie do wściekłości. Nie powinnam jednak była na ciebie krzyczeć. Przepraszam.

Przeszli w milczeniu kilka kroków.

- I...?- w głosie Tamaniego słychać było wesoły nastrój.

- I co?- odpowiedziała pytaniem, czując, że brakuje jej tchu pod spojrzeniem jego zielonych oczu.

- I wszystko co powiedziałem, okazało się prawdą, więc przyszłaś dowiedzieć się więcej- powiedział i zatrzymał się gwałtownie- Po to tu jesteś, prawda?- oparł się o drzewo i spojrzał na nią filuternie.

Pokiwała tylko głową, bo nie mogła wykrztusić słowa. Jeszcze nigdy nie była taka onieśmielona. Dlaczego przy nim usuwał jej się grunt spod nóg? Nie potrafiła myśleć w jego obecności. A on zachowywał się przy niej zupełnie swobodnie.

Tamani opadł wdzięcznie na ziemię i Laurel zdała sobie sprawę z tego, że doszli do przesieki. Wskazał jej gestem miejsce naprzeciwko.

- Siadaj- zachęcił, a potem obdarzył ją przekornym uśmiechem i poklepał trawę tuż obok swojej nogi.- Jeśli wolisz, możesz oczywiście usiąść koło mnie. Odkaslnęła i usiadła naprzeciwko.

- Ach, więc na razie nie zasłużyłem na takie szczęście?- zapytał i splótł palce za głową- Będzie jeszcze na to czas. A więc- powiedział, kiedy usiadła- twoje płatki zwiędły.

Laurel pokiwała głową.

- Wczoraj w nocy.

- Czujesz ulgę?

- Głównie.

- A teraz chcesz się dowiedzieć czegoś więcej o tym, że jesteś wróżką, prawda?

Wstydziała się tego, że jej zamiary są aż tak czytelne, jednak Tamani miał rację i musiała to przyznać.

- W zasadzie nie mam ci zbyt wiele do powiedzenia- przeżyłaś tak dwanaście lat, dałaś radę. Nie muszę cię chyba ostrzegać, że nie wolno ci jeść soli.

- Szukałam jakiś informacji- powiedziała.

- O, to wspaniale- zakpił.

- Co masz na myśli?

- Ludzie wszystko myślą.

- Zauważyłam- powiedziała- Nie masz żadnych skrzydeł ukrytych pod koszulą?- zapytała po krótkim wahaniu.

- Chcesz sprawdzić?- Tamani chwycił ręką za dół koszuli.

- Nie- odpowiedziała szybko.

- Nie ma żadnych skrzydeł, Laurel- powiedział poważnie.- Nikt nie ma skrzydeł. Jedne kwiaty przypominają skrzydła, tak samo jak inne są podobne do motyli. Twój kwiat był całkiem skrzydlaty, ale to tylko kwiat- co zapewne zauważyłaś.

- Dlaczego ludzie się myślą?

- Przypuszczam, że źle interpretują to, co widzą.
 - Nigdzie nie natrafiłam na informację o tym, że wróżki są roślinami. A możesz mi wierzyć, że sporo szukałam.
 - Ludzie wolą historię o innych ludziach- choćby ze skrzydłami, kopytami, różdżkami i czarami, ale nadal o ludziach. Nie o roślinach. Nie o tym, czym nie są i nigdy nie będą. A ponieważ ludzie wyglądają prawie tak samo jak my, to całkiem logiczne założenie.
 - Ale oni myślą się tak bardzo! Nie mam skrzydeł. I z całą pewnością nie posiadam magicznych zdolności.
 - Jesteś tego pewna?- zapytał z uśmiechem.
 - A posiadam?- Laurel otworzyła szeroko oczy.
 - Oczywiście.
 - Naprawdę?
- Tamani zaśmiał się, widząc jej ekscytację.
- Istnieje magia? Taka prawdziwa? Nie tylko nauka, jak twierdzi Dawid?
 - Znowu ten Dawid?- Tamani wzniósł oczy do góry.
 - To mój kolega- najeżyła się Laurel- Najlepszy przyjaciel.
 - A nie chłopak?
 - Nie. To znaczy... nie.
- Tamani spoglądał na nią przez kilka sekund.
- A więc miejsce jest wolne?
- Twarz Laurel wykrzywiła się w grymasie.
- Wolałabym, żebyśmy o tym nie rozmawiali.
- Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, ale Laurel uparcie odwracała wzrok. Jego spojrzenie było tak zaborcze, jakby była kochanką, którą już zdobył, a teraz tylko czeka, aż ona zda sobie z tego sprawę.
- Opowiedz mi o magii- zmieniła temat- Potrafisz latać?
 - Nie. To taka sama legenda, jak i skrzydła.
 - Co w takim razie potrafisz?
 - A nie jesteś ciekawa, co ty potrafisz?
 - A coś potrafię?
 - Oczywiście. Masz wyjątkowe zdolności. Jesteś w końcu wróżką jesienną.
 - Co to znaczy?
 - Są cztery rodzaje wróżek: wiosenna, letnia...
 - Jesienna i zimowa?
 - Tak.
 - Dlaczego jestem wróżką jesienną?
 - Ponieważ urodziłaś się jesienią. To dlatego twój kwiat wyrasta właśnie na jesień.

- To nie brzmi magicznie- Laurel była nieco rozczarowana- Raczej naukowo.
- Bo to jest nauka. Nie wszystko w naszym życiu to magia.
- Co w takim razie co nią jest?
- Każdy rodzaj wróżek ma swoją własną magię- na twarzy Tamaniego pojawił się wyraz szacunku- Wróżki zimowe są najpotężniejsze ze wszystkich, ale jest ich najmniej. W całym pokoleniu pojawiają się dwie lub trzy, czasem nawet mniej. Nasi władcy należą zawsze do wróżek zimowych. One mają kontrolę nad roślinami... Dorosła sekwoja zegnije się wół, jeśli zażyczy sobie tego wróżka zimowa.
- Brzmi to tak, jakby potrafiły zrobić niemal wszystko.
- Czasem mi się wydaje, że potrafią. Ale wróżki zimowe zatrzymują swoje zdolności- i ich braki- dla siebie, przekazując je z pokolenia na pokolenie. Niektórzy twierdzą, że największym darem wróżek zimowych jest umiejętność dochowania tajemnicy.
- A co potrafią wróżki jesienne?- zapytała Laurel niecierpliwie.
- Wróżki jesienne zajmują drugie miejsce pod względem swojej mocy i - tak jak wróżki zimowe- także trafiają się rzadko. Wróżki jesienne robią przeróżne rzeczy...
- Jakie rzeczy?
- Z roślin. Elixiry, magiczne mikstury, okłady.
- To wcale nie brzmiało magicznie.
- Więc jestem czymś w rodzaju kucharza? Mieszam różne składniki?
- Tamani pokręcił głową.
- Nie rozumiesz. Nie chodzi o mieszanie- gdyby tak było każdy mógłby to robić. Wróżki jesienne mają wyjątkowe podejście do roślin, wykorzystują je z korzyścią dla całego królestwa. Daj mi wszystkie książki, jakie napisano na temat rozmaitych środków, a ja i tak nie zrobię prostej mikstury, którą można zwalczać pleśń. To magia, nawet jeśli wydaje się naukowa.
- Nie brzmi magicznie. Zupełnie.
- Ale to prawda. Jesienne wróżki mają swoje specjalności: wykonują eliksiry i napoje do wszystkich możliwych celów- jedne potrafią stworzyć mgiełkę, dzięki której uda się zmylić intruza, inne przyrządzą truciznę, która uśpi człowieka. To dzięki wróżką jesiennym możemy przetrwać jako gatunek. Wróżki jesienne są dla nas bardzo ważne.
- Fajnie- powiedziała Laurel, choć nie była do końca przekonana. Przypominało jej to chemię. A jeśli miałaby się kierować swoimi osiągnięciami w nauce, to nie mogła liczyć na wielki sukces.
- A co robią wróżki letnie?
- Są efekciarskie.- Tamani uśmiechnął się i wrócił do swojego swobodnego

monologu- Zupełnie jak letnie kwiaty. Tworzą iluzje i niesamowite fajerwerki-
to wszystko co człowiekowi kojarzy się z magią.

Laurel pomyślała od razu, że zdecydowanie ciekawiej byłoby, gdyby była
wróżką letnią niż jesienną.

- Ty jesteś wróżką letnią?- zapytała.

- Nie- powiedział Tamani i zawahał się- Tylko wiosenną.

- Dlaczego “tylko”?

- Wróżki wiosenne mają najmniejszą moc- Wzruszył ramionami- To dlatego
jestem wartownikiem. Praca fizyczna- nie potrzebuję do niej zbyt wiele magii.

- A co potrafisz zrobić?

Odwrócił wzrok.

- Powiem ci, jeśli obiecasz, że nie będziesz na mnie zła.

- Dlaczego miała bym być zła?

- Bo zastosowałem to na tobie, ostatnim razem, kiedy tu byłaś.

Dodała: VampiresGlam 😊

- Co zastosowałeś? – Laurel podniosła głos.
 – Obiecuję, że się nie zdenerwuję.
 – Rzuciłeś na mnie jakiś czar, a teraz oczekujesz, że się uśmiechnę i powiem, że nie się stało? Owszem, stało się!
 – Laurel, nawet nie podziało tak, jak powinno. Zwykle kiepsko działa na inne wróżki.
 – Mów, co to było – powiedziała, krzyżując ramiona na piersi.
 – Zwabiłem cię. – Tamani oparł się plecami o drzewo.
 – Zwabiłeś?
 – Sprawilem, że przyszłaś tu za mną.
 – Po co to zrobiłeś?
 – Musiałam mnie wysłuchać, żeby poznać prawdę.
 – I co? Sypnąłeś mi w oczy magicznym pyłem?
 – Nie. Mówiłem ci – prawdziwa magia nie ma nic wspólnego z tym, z czym ci się kojarzy. Nie ma czarodziejskiego proszku, który pozwala latać, nie ma różdżek i dymu. To pewne ułatwienie, pomagają nam tylko wypełniać nasze zadania.
 – W jaki sposób wabienie pomaga ci w pracy wartownika? – głos Laurel pelen był sarkazmu, ale Tamani wyjaśniał dalej, zupełnie jakby tego nie zauważył.
 – Sama pomyśl. Mógłbym odpędzić intruza włóczęgą, ale co by to dało? Uciekłyby, opowiedział innym o tym, co się stało, i przyszliby nas szukać. Zamiast tego wabię go, a potem podaję mu eliksir

- eliksir zapomnienia i odsyłam z powrotem. Słyszałaś kiedyś o błędnych ognikach?
 – Jasne.
 – To my. Kiedy człowiek wypije eliksir, z całego spotkania pamięta tylko sledzenie światełka. Tak jest lepiej. Nikt na tym nie ucierpi.
 – Ale przecież ja cię pamiętam.
 – Nie dałem ci eliksiru, prawda?
 – Ale użyłeś magii – Laurel nie rezygnowała tak szybko.
 – Musiałem. Poszłabyś za mną, gdybym tego nie zrobił?
 Potrząsnęła głową, ale w głębi duszy nie była taka pewna. Być może nawet bez magii poszłaby za Tamanim na koniec świata.
 – Zresztą i tak nie działa za dobrze na inne wróżki – a już w ogóle, jeśli się tego spodziewają. Ty zlamalaś czar bardzo szybko – powiedział z uśmiechem.
 – A dzisiaj? – zapytała, zanim zdążył zahipnotyzować ją swoim uśmiechem.
 – Boisz się, że znowu użyłem magii? – zaśmiał się.
 – Coś w tym rodzaju.
 – Nie. To tylko mój naturalny urok i charyzma. – Teraz uśmiechał się z dużą pewnością siebie. Nawet arogancko.
 – Obiecuję, że już nigdy tego nie zrobisz.
 – To nie będzie trudne. Teraz, już wiesz, i tak by nie zadziałało, nawet gdybym próbował. Ale nie będę – dodał. – Zdecydowanie bardziej wolę cię oczarować bez użycia magii.
 Ukryła uśmiech i oparła się o drzewo, czekając, aż ustąpi to miłe uczucie roztańczające się dookoła.
 Ale tak się nie stało.
 – Skończ z tym – rzuciła, marszcząc czoło. – Obiecałeś.
 – Ale z czym mam skończyć?
 – Z tym wabieniem. Znowu to robisz.
 Zaskoczenie na twarzy Tamanego przerodziło się w ciepły uśmiech satysfakcji.

– To nie ja.

Popatrzyła na niego z wyrzutem.

– To magia królestwa, przenikająca ze świata wrózek. Dzięki temu my, wartownicy, czujemy się jak w domu, w którym nie możemy być. – Tamani uśmiechał się spokojnie, z powagą, ale i satysfakcją. – Już wcześniej ją czułaś – wiem, że tak było. To dlatego tak pokochałaś to miejsce. A teraz, kiedy już wiesz, kim jesteś, i kiedy zakwitłaś po raz pierwszy, będziesz czuła to jeszcze mocniej – powiedział i nachylił się tak, że jego nos znajdował się najwyżej dziesięć centymetrów od jej twarzy. Poczula, że oddech uwiązł jej w piersiach, bo bliskość Tamanego wywoływała u niej dziwną słabość. – To królestwo wrózek wzywa cię do siebie, Laurel.

Oderwała wzrok od nieprzebranych głębi spojrzenia Tamanego i skupiła się na własnych odczuciach. Kiedy spojrzała na gęstwinę zieleni dookoła, ogarniające ją uczucie jeszcze się pogłębiło. Miała wrażenie, że z drzew emanuje coś przyjemnego i powietrze wokół aż drży od tej magii.

– To naprawdę magia? – zapytała bez tchu, chociaż wiedziała, że nie może to być nic innego.

– Oczywiście.

– A nie ty?

Tamani zaśmiał się cicho, ale bez kpiny.

– To o wiele silniejsza magia, znacznie wykraczająca poza możliwości wiosennej wróżki.

Napotkała jego wzrok i przez chwilę wpatrywała się w niego, nie mogąc przestać. Przyciągały ją te intensywnie zielone oczy. Tamani wyglądał jak człowiek, ale było w nim coś, czego nie potrafiła zdefiniować, co wskazywało na to, że był kimś więcej...

– Czy wszystkie wróżki są takie jak ty? – zapytała cicho.

Zamrugnął, a wtedy udało jej się odwrócić wzrok.

– To zależy, co masz na myśli. Jeśli chodzi ci o mój urok osobisty i dowcip, to nie – mam w sobie zdecydowanie więcej wdzięku.

A jeśli masz na myśli mój wygląd... – Tamani zamilkł i przyjrzał się sobie. – Wyglądam chyba przeciętnie. Nic nadzwyczajnego.

Laurel się z tym nie zgadzała. Tamani miał urodę, którą gwiazdy filmowe uzyskiwały wyłącznie w programach do obróbki zdjęć. Ale może... może wszystkie wróżki tak wyglądają?

Nagle przeszło jej przez myśl pytanie, czy ona też jest postrzegana przez rówieśników w podobny sposób. Wydawało jej się, że ma zwyczajną twarz, ale z drugiej strony... przecież zdążyła się do niej przyzwyczaić, oglądając ją codziennie w lustrze.

Zacząła się zastanawiać, czy Dawid dostrzeże w niej to samo, co ona widzi, patrząc na Tamanego.

Była to dość krępująca myśl, więc odchrząknęła i próbowała ukryć zakłopotanie, szperając w plecaczku. Po chwili wyjęła puszkę.

– Masz ochotę? – zapytała z roztargnieniem, otwierając napój.

– Co to jest?

– Sprite.

– Sprite? – zaśmiał się Tamani. – Żartujesz!

Laurel wzniosła oczy do góry.

– To chcesz czy nie?

– Chcę.

Pokazała mu, jak się pije, i Tamani ostrożnie wziął łyk napoju.

– Niezłe – powiedział, po czym przyglądał się puszcze przez chwilę. – To zwykle pijesz?

– To jedna z nielicznych rzeczy, które lubię.

– Nic dziwnego, że masz prawie bezbarwne oczy i włosy.

– No i?

– Nie zastanawiałaś się, dlaczego moje takie nie są?

– No... zastanawiałam się nad twoimi włosami – powiedziała, a w duszy pomyślała, że to znaczące niedomówienie.

– Jem dużo zielonego. Głównie mech rosnący wzdłuż rzeki.

– Bleece.

*Sprite to po angielsku duszek, chochlik, elf – istota magiczna [przyp. tłum.].

– To nie ja.

Popatrzyła na niego z wyrzutem.

– To magia królestwa, przenikająca ze świata wróżek. Dzięki temu my, wartownicy, czujemy się jak w domu, w którym nie możemy być. – Tamani uśmiechał się spokojnie, z powagą, ale i satysfakcją. – Już wcześniej ją czułaś – wiem, że tak było. To dlatego tak pokochałaś to miejsce. A teraz, kiedy już wiesz, kim jesteś, i kiedy zakwitłaś po raz pierwszy, będziesz czuła to jeszcze mocniej – powiedział i nachylił się tak, że jego nos znajdował się najwyżej dziesięć centymetrów od jej twarzy. Poczula, że oddech uwiązał jej w piersiach, bo bliskość Tamaniego wywoływała u niej dziwną słabość. – To królestwo wróżek wzywa cię do siebie, Laurel.

Oderwała wzrok od nieprzebranych głębi spojrzenia Tamaniego i skupiła się na własnych odczuciach. Kiedy spojrzała na gęstwinę zieleni dookoła, ogarniające ją uczucie jeszcze się pogłębiło. Miała wrażenie, że z drzew emanuje coś przyjemnego i powietrze wokół aż drży od tej magii.

– To naprawdę magia? – zapytała bez tchu, chociaż wiedziała, że nie może to być nic innego.

– Oczywiście.

– A nie ty?

Tamani zaśmiał się cicho, ale bez kpiny.

– To o wiele silniejsza magia, znacznie wykraczająca poza możliwości wiosennej wróżki.

Napotkała jego wzrok i przez chwilę wpatrywała się w niego, nie mogąc przestać. Przyciągały ją te intensywnie zielone oczy. Tamani wyglądał jak człowiek, ale było w nim coś, czego nie potrafiła zdefiniować, co wskazywało na to, że był kimś więcej...

– Czy wszystkie wróżki są takie jak ty? – zapytała cicho.

Zamrugnął, a wtedy udalo jej się odwrócić wzrok.

– To zależy, co masz na myśli. Jeśli chodzi ci o mój urok osobisty i dowcip, to nie – mam w sobie zdecydowanie więcej wdzięku.

A jeśli masz na myśli mój wygląd... – Tamani zamilkł i przyjrzał się sobie. – Wyglądam chyba przeciętnie. Nic nadzwyczajnego.

Laurel się z tym nie zgadzała. Tamani miał urodę, którą gwiazdy filmowe uzyskiwały wyłącznie w programach do obróbki zdjęć. Ale może... może wszystkie wróżki tak wyglądają?

Nagle przeszło jej przez myśl pytanie, czy ona też jest postrzegana przez rówieśników w podobny sposób. Wydawało jej się, że ma zwyczajną twarz, ale z drugiej strony... przecież zdążyła się do niej przyzwyczaić, oglądając ją codziennie w lustrze.

Zaczęła się zastanawiać, czy Dawid dostrzeże w niej to samo, co ona widzi, patrząc na Tamaniego.

Była to dość kępująca myśl, więc odchrząknęła i próbowała ukryć zakłopotanie, szperając w plecaczku. Po chwili wyjęła puszkę.

– Masz ochotę? – zapytała z roztargnieniem, otwierając napój.

– Co to jest?

– Sprite.

– Sprite? – zaśmiał się Tamani. – Żartujesz!

Laurel wzniosła oczy do góry.

– To chcesz czy nie?

– Chcę.

Pokazała mu, jak się pije, i Tamani ostrożnie wziął łyk napoju.

– Niezłe – powiedział, po czym przyglądał się puszcze przez chwilę. – To zwykle pijesz?

– To jedna z nielicznych rzeczy, które lubię.

– Nic dziwnego, że masz prawie bezbarwne oczy i włosy.

– No i?

– Nie zastanawiałaś się, dlaczego moje takie nie są?

– No... zastanawiałam się nad twoimi włosami – powiedziała, a w duszy pomyślała, że to znaczące niedomówienie.

– Jem dużo zielonego. Głównie mech rosnący wzdłuż rzeki.

– Bleece.

*Sprite to po angielsku duszek, chochlik, elf – istota magiczna [przyp. tłum.].

- Dobry jest, naprawdę. Wyrosłaś wśród ludzkich smaków, ale mogę się założyć, że polubiłabyś go, gdybyś spróbowała.
- Nie, dziękuję.
- Jak chcesz. Mnie i tak się podobasz taka, jaka jesteś.
- Uśmiechnęła się nieśmiało, a on uniósł puszkę w jej stronę, zanim wziął kolejny łyk.
- Jem brzoskwinie – powiedziała nagle.
- Podobno są dobre. Ja osobiście nie lubię słodkiego.
- Nie o to chodzi. Dlaczego nie robię się pomarańczowa?
- A co jeszcze jesz?
- Truskawki, sałatę i szpinak. Czasem jabłka. Niewyszukane warzywa i owoce.
- Masz zróżnicowaną dietę, więc twoje włosy i oczy nie nabierają żadnego konkretnego koloru, pozostają jasne – powiedział i mrugnął do niej. – Ale spróbuj jeść przez tydzień same truskawki, a twoja mama nieźle się przestraszy.
- Zrobiłabym się czerwona? – Laurel była przerażona.
- Nie cała. Tylko oczy i nasada włosów, tak jak u mnie. W naszym świecie to kwestia mody. Niebieski, różowy, fioleto-
wy. Wesolo jest.
- Dziwnie.
- Dlaczego? W polowie wymyślonych przez ludzi opowieści mamy zieloną skórę – to dopiero jest dziwne.
- Może – powiedziała. Nagle sobie coś przypomniała. – Powiedziała, że nie istnieje żaden magiczny pył, prawda?
- Poruszył brodą, co najwyraźniej miało oznaczać odpowiedź twierdzącą, ale z jego twarzy nic nie dało się wyczytać.
- Kiedy tu byłam ostatnim razem, chwyciłeś mnie za rękę, a potem na nadgarstku znalazłam błyszczący proszek. Co to było, skoro nie magiczny pył?
- Przepraszam cię za to – skrzywił się Tamani. – Powinienem być bardziej uważać.
- Dlaczego? Czy to było niebezpieczne?

- Nie – zaśmiał się. – To tylko pyłek.
- Pyłek?
- No tak, wiesz... – zaczął się przyglądać własnym dłoniom, jakby nagle znalazł tam coś interesującego. – Do zapylania.
- Zapylania? – Laurel zaśmiała się, ale Tamani nie wyglądał na kogoś, kto żartuje.
- A jak myślisz, po co ci wyrósł kwiat? Przecież nie do ozdoby. Chociaż, trzeba przyznać, twój był niezwykle piękny.
- Och – powiedziała i zamilkła. – Kwiaty rozmnażają się przez zapylanie.
- My też tak się rozmnażamy.
- A więc mogłeś... mnie zapylić?
- Nigdy bym tego nie zrobił, Laurel – Tamani był bardzo poważny.
- Ale mogłeś? – naciskała.
- Teoretycznie tak – powiedział powoli, starannie dobierając słowa.
- I co wtedy? Miałabym dziecko?
- Nasiono.
- Rosłoby mi na plecach?
- Nie. Wróżki rosną w kwiatkach, przynajmniej w tej kwestii legendy mówią prawdę. Eee... Wróżka kobieta jest... zapylana przez wróżkę męczyznę i... kiedy odpadną jej płatki, zostaje nasionko. Zasadza je, a gdy kwiat zakwitnie, pojawia się kielek.
- A jak wy... my... no wiesz, na czym polega zapylanie wróżek?
- Męczyzna wytwarza pyłek na rękach i kiedy para decyduje się na zapylenie, on dotyka kwiatu tak, żeby pyłek na niego opadł. To dość delikatny proces.
- Nie brzmi zbyt romantycznie.
- Bo nie ma w tym wcale romantyzmu – odparł Tamani. Na jego twarzy pojawił się pewny siebie uśmiech. – Do tego służy seks.
- A więc wy... oprócz tego... – nie dokończyła pytania.

– Pewnie.
 – Ale wróżki nie zachodzą w ciążę?
 – Nigdy – mrugnął znacząco. – Zapylanie służy rozmnażaniu, seks – tylko przyjemności.
 – A mogę zobaczyć pyłek? – Laurel wyciągnęła rękę.
 Tamani instynktownie schował obie dłonie.
 – Nie mam teraz, nie kwitniesz. Wytwarzamy pyłek tylko w obecności kwitnącej wróżki. To dlatego zapomniałem się i dotknąłem twojej ręki. Od dawna nie widziałem żadnej... kwitnącej dziewczyny.
 – Dlaczego?
 – Jestem wartownikiem. Zwykle jest nas kilku, ale tutaj to sami chłopcy. A ja rzadko wracam do domu.
 – To dość samotne życie.
 – Czasem. – Spojrzał na nią ponownie, ale coś się zmieniło w jego oczach. Zniknęła bariera, którą odgradzał swoje prawdziwe uczucia, i Laurel ujrzała głęboki, wielki smutek. Patrzanie w jego oczy sprawiało jej ból, ale nie mogła odwrócić wzroku.
 Smutek zniknął tak samo szybko, jak się pojawił, i Tamani uśmiechnął się niedbale.
 – Było weselej, kiedy ty tu mieszkalaś. Swoją drogą, wpakowałaś mnie w niezłe kłopoty.
 – Co takiego zrobiłam?
 – Zniknęłaś. – Tamani zaśmiał się i pokręcił głową. – Na prawdę się ucieszyliśmy, kiedy wróciłaś. Kiedy...
 – Jacy „my”?
 – Chyba nie myślałaś, że jestem tu jedyną wróżką?
 Laurel zaczęła bawić się kosmykiem włosów, który wyslizgnął się z jej kitki.
 – W sumie to tak właśnie myślałam.
 – Nie zobaczysz nas, dopóki tego nie zechcemy.
 Mimo tego, co powiedział Tamani, Laurel popatrzyła na drzewa rosnące dookoła.

– Ilu was tu jest? – zapytała, zastanawiając się, czy otacza ją właśnie legion niewidocznych wrózek.
 – To zależy. Ja i Shar jesteśmy tu prawie cały czas. Dziesięciu, może piętnastu innych pojawia się na zmianę na pół roku, czasami na rok.
 – Od jak dawna tu jesteś?
 Patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.
 – Długo – powiedział w końcu.
 – A po co?
 – Żeby cię pilnować. – Uśmiechnął się. – To znaczy... tak było do czasu twojego zniknięcia.
 – Miałeś mnie pilnować? Dlaczego?
 – Miałem cię chronić. Żeby nikt nie dowiedział się, kim jesteś.
 – Jestem więc podmienionym przez wróżki dzieckiem?
 – Poniekąd – powiedział z wahaniem. – Ale nie wykradliśmy cudzego dziecka, żeby cię podrzucić. Wolę myśleć, że jesteś jakby... szczepem.
 – Szczepem?
 – To fragment rośliny zaszczipiony na innej roślinie. Ty zostałaś zaszczipiona z naszego świata do ludzkiego.
 – Ale dlaczego? Jest więcej takich... jak ja?
 – Nie, teraz nie ma nikogo więcej.
 – Dlaczego akurat ja?
 – Musisz zrozumieć, że nie mogę zdradzić ci wszystkiego – rzekł, nachylając się bliżej. – Ale powiem ci tyle, ile mogę. Dobrze?
 Laurel pokiwała głową.
 – Dwanaście lat temu umieszczono cię tu, żebyś wtopiła się w ludzki świat.
 – Oczywiście. Któż inny położyłby mnie w koszyku na progu obcego domu? – Otworzyła szeroko oczy, kiedy Tamani zareagował śmiechem. – Ty to zrobiłeś?!

Śmiał się teraz głośniejszym głosem, odrzucając głowę do tyłu.

– Nie, nie. Ja byłem za młody. Ale kiedy zostałem wartownikiem, opowiedziano mi dość dokładnie całe twoje życie.

– Całe moje życie? – Laurel nie była pewna, czy podoba jej się to, co usłyszała.

– Taa.

– Szpiegowaliście mnie! – zawołała.

– To nie było tak do końca szpiegowanie. Pomagaliśmy ci.

– Pomagaliście... Oczywiście. – Laurel skrzyżowała ręce na piersi.

– Naprawdę. Musieliśmy pilnować, żeby twoi rodzice nie dowiedzieli się, kim naprawdę jesteś.

– To faktycznie doskonale plan – w głosie Laurel pojawiła się nuta sarkazmu. – Hm. „Jak zyskamy pewność, że tych dwoje ludzi nigdy nie dowie się o wrózkach? Może po prostu podrzućmy im jedną małą wrózkę pod drzwi?”.

– To nie tak, Laurel. Musieliśmy im dać małą wrózkę, jeszcze dziecko.

– Dlaczego?

Tamani zawahał się, a potem wyjął wargi.

– Świetnie, panie Powiedziałbym-ci-ale-zaraz-potem-musiabym-cię-zabić. Dlaczego nie podrzuciliście mnie, kiedy byłem niemowlakiem? – Zaśmiała się z zakłopotaniem. – Możesz mi wierzyć, lepiej mieściłabym się w tym koszyku, gdybym miała mniej niż trzy lata.

Tamani nie uśmiechnął się tym razem.

– Nie miałaś trzech lat. Byłaś starsza.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wróżki starzeją się inaczej niż ludzie. I nigdy nie są niemowlętami. To znaczy... wyglądają podobnie, ale nie są tak bezradne. Wróżki rodzą się z umiejętnością chodzenia, potrafią mówić, a ich rozwój umysłowy odpowiada poziomowi... – Tamani zamyślił się na chwilę. – Może pięciolatka.

– Naprawdę?

– Tak. Potem ich rozwój fizyczny nieco zwalnia. Kiedy wyglądają na trzy-cztery lata, naprawdę mają siedem albo osiem... a umysłowo są na poziomie dziecka jedenasto- albo nawet dwunastoletniego.

– Dziwne.

– Musisz pamiętać, że jesteśmy roślinami. Karmienie bezbronnych młodych jest domeną zwierząt, a nie roślin. Rośliny produkują nasiona, z których samodzielnie wyrastają kielki. Nie potrzebują im pomocy.

– Czy to znaczy, że wróżki nie mają rodziców? Ja też nie mam rodziców w świecie wrózek?

Tamani przygryzł usta i wbił wzrok w ziemię.

– W naszym królestwie wszystko wygląda inaczej. Nie ma tam czasu na dzieciństwo i zbyt mało jest dorosłych wrózek, żeby mogły pilnować bawiących się dzieci. Każdy ma swój cel i określoną rolę, i to już niemal od samego początku. Szybko dorastamy. Jestem wartownikiem, odkąd skończyłem czternaście lat. To ciut za wcześnie, o jakiś rok albo dwa – większość wrózek pracuje i żyje samodzielnie od piętnastego-szesnastego roku życia.

– Nie brzmi to fajnie.

– Bo nie chodzi o to, żeby było fajnie.

– Może. A więc nie mogłam zostać podrzucona jako niemowlę, ponieważ chodziłam i mówiłam?

– Tak.

– A ile właściwie miałam lat?

Westchnął i Laurel myślała już, że jej nie odpowie. Ale po chwili Tamani zmienił zdanie.

– Siedem.

– Siedem? – Ta informacja nieco ją zszokowała. – To dlaczego niczego nie pamiętam?

Tamani pochylił się i oparł łokcie na udach.

– Zanim ci wyjaśnię, musisz zrozumieć, że chociaż niczego nie pamiętasz, na wszystko się zgodziłaś.

– Na co?

– Na wszystko. Na przyjsie do tego świata, na odegranie swojej roli, życie wśród ludzi – na wszystko. Zostałaś wybrana dawno temu i wyraziłaś na to zgodę.

– Dlaczego ja nic nie pamiętam?

– A pamiętasz, jak ci powiedziałem, że – jeśli zechcę – ludzie zapomną o tym, że mnie widzieli?

Laurel potwierdziła skinieniem głowy.

– To samo zrobili z tobą. Kiedy osiągnęłaś wiek, w którym można było cię wziąć za ludzkie dziecko, sprawili, że zapomniałaś o całym swoim wcześniejszym życiu.

– Użyli do tego jakiejś mikstury?

– Tak.

Laurel siedziała jak ogłuszona.

– Pozwolili mi zapomnieć siedem lat mojego życia?

Tamani pokiwał głową z powagą.

– Ja... nie wiem, co powiedzieć.

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Laurel próbowała zrozumieć, co to wszystko dla niej oznacza. Zaczęła liczyć lata, które – według Tamaniego – umknęły jej z życia.

– Mam dziewiętnaście lat?

– Tak, ale to odpowiada piętnastu ludzkim latom.

– A ty, ile masz lat? – zapytała głosem ciężkim od gniewu. – Pięćdziesiąt?

– Dwadzieścia jeden – odpowiedział cicho. – Jesteśmy prawie rówieśnikami.

– A więc wymazali mi to z pamięci?

Tamani wzruszył ramionami. Na jego twarzy widać było niepokój.

Laurel nie mogła już dłużej się hamować.

– Czy wy to w ogóle przemyśleliście? Przecież miliony rzeczy mogły pójść nie tak! A gdyby moi rodzice nie chcieli mnie adoptować? A gdyby odkryli, że nie mam serca ani krwi, że praktycznie nie muszę oddychać? A wiesz, czym większość ludzi karmi trzyletnie dzieci? Mlekiem, ciastkami i parówkami! Mogłam umrzeć!

Tamani pokręcił głową.

– Za kogo ty nas masz? Za kompletnych amatorów? Przez cały czas czuwało nad tobą przynajmniej pięć wróżek, upewniali się, czy wszystko idzie, jak trzeba. A jedzenie akurat nie stanowiło problemu – to dlatego między innymi zostałaś wybrana.

– Nie zapomniałam, co powinnam jeść?

– To właśnie jest najlepsze u wróżek jesiennych: ich magia opiera się na intuicyjnej wiedzy odnośnie do tego, co służy, a co nie – im samym oraz pozostałym wróżkom. Dzięki temu potrafią robić swoje eliksiry. Wiedzieliśmy, że z własnej woli nie zjesz niczego szkodliwego. Musieliśmy tylko uważać, żeby rodzice nie zmuszali cię do jedzenia. Ale nigdy tego nie robili – powiedział, zanim zdołała zadać pytanie. – Wszystko było pod kontrolą. No – dodał niechętnie – dopóki nie wyjechałaś.

– Skoro tak mnie pilnowaliście, powinniście wiedzieć, że się wyprawdzamy.

– Parę lat temu przestaliśmy cię nieustannie obserwować. Ja nalegałam... jestem jakby... odpowiedzialna za ciebie. Nie byłaś już dzieckiem – według wróżkowego kalendarza stałaś się dorosłą. I nie rzucano się w oczy, że jesteś wróżką. Nie popełniałaś zbyt wielu błędów, twoi rodzice przyzwyczaili się do twoich nawyków żywieniowych. Czulem, że zasługujesz na większą prywatność. Pomyślałem sobie, że byś się z tego ucieszyła – dodał ponuro.

– Pewnie tak, gdybym o tym wiedziała.

Tamani westchnął.

– Ale zbyt się odsunąłem i zupełnie umknęła mi wasza przeprowadzka. Zorientowałem się dopiero, gdy ekipa przyjechała wynosić meble. Chciałem iść na calość i zatrzymać wszystko – podać tym ludziom eliksir, zabrać ciebie z powrotem do świata wróżek, uznać, że nasz plan się nie powiódł, ale... powiedzmy, że zostałem przegłosowany. Wsiadłaś więc z rodzicami do samochodu i... tyle cię widziałem. – Tamani zaśmiał się smutno. – Ale mi się dostało.

– Przykro mi.

– Nie szkodzi. Wróciłaś. Wszystko jest w porządku. Spojrzała na niego z niepokojem.

– Zamierzacie jechać teraz za mną i zamieszkać w moim ogrodzie, skoro tak bardzo lubicie mnie pilnować?

– Nie – odpowiedział ze śmiechem. – Dobrze nam tutaj. Bałiśmy się o twoje kwitnienie i problemy, jakie może to ze sobą nieść, ale na szczęście doskonale sobie poradziłaś.

– A więc ja będę mieszkać tam, a wy zostaniecie tutaj?

– Na razie tak.

– To po co w ogóle miałam być tym... szczepem? To tylko eksperyment?

– Nie, absolutnie – Tamani westchnął z desperacją, a potem rozejrzał się szybko po polanie. – Zostałaś wysłana do świata ludzi, żeby chronić tę ziemię. To... to wyjątkowe miejsce dla wróżek. Ważne, żeby jej właścicielem został ktoś, kto to rozumie – dlatego wysłano właśnie ciebie. Kiedy zmarła twoja babcia, twoja mama posmutniała i od razu wystawiła posiadłość na sprzedaż. Miała dziewiętnaście lat i pewnie mnóstwo bolesnych wspomnień związanych z tym miejscem.

– Tak. Mama mi o tym opowiadała.

– Potem było trochę lepiej, bo twoi rodzice wzięli ślub, ale nadal próbowali sprzedać to wszystko. To dlatego postanowiono wysłać cię do tej rodziny. Efekty przerosły wszelkie oczekiwania: twoja mama cię pokochała i przestała myśleć o sprzedaży domu.

Nasze zadanie stało się proste, kupcy pojawiali się naprawdę sporadycznie. A teraz to już w ogóle mamy z górki – Tamani oparł się o drzewo z rękoma założonymi za głowę. – Po prostu będziemy czekać, aż to odziedziczysz.

– A jeśli nie odziedziczę? – Laurel zaczęła się przyglądać własnym dłoniom. – A jeśli moi rodzice jednak sprzedadzą całą posiadłość?

– Nie mogą – odparł pewnym siebie głosem.

– Dlaczego nie? – Laurel podniosła głowę.

– Nie można sprzedać domu, jeśli nikt nie pamięta, że on w ogóle istnieje.

– Słucham?

– Potrafimy sprawić, że ludzie zapominają o wielu rzeczach, nie tylko o spotkaniu z wróżką.

Laurel otworzyła szeroko oczy, bo dotarło do niej, co Tamani mówi.

– To sabotaż! Wymazaliście ten dom z pamięci ludzi...

– Musieliśmy.

– A rzeczoznawcy?

– Uwierz mi, twoja mama bardziej nalegałaby na sprzedaż, gdyby wiedziała, ile ta ziemia jest warta.

– Więc im też wymazaliście to z pamięci?

– To było konieczne, Laurel. Naprawdę.

– Hm... i tak na nic wam się to zdało.

Tamani spojrział na nią z zaniepokojeniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał poważnym głosem.

– Mama sprzedaje tę ziemię.

– Komu? Nikt nie przyjechał jej oglądać. Zadbaliśmy o to.

– Nie wiem. Jakieś facetowi, którego mój tata spotkał w Brookings.

– Laurel, to bardzo ważne. Nie możesz pozwolić jej sprzedać! – powiedział, nachylając się w jej stronę.

– Dlaczego?
 – Po pierwsze, bo ja tu mieszkam, a wolałbym nie zostać bezdomnym. Ale... – zaczął, po czym rozejrzął się dookoła i jęknął z rozpaczą. – Nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśnić, ale nie wolno ci pozwolić na sprzedaż tej ziemi. Musisz porozmawiać z mamą po powrocie do domu i przekonać ją, żeby odmówiła temu człowiekowi.
 – Hm. Będzie problem.
 – Bo?
 – Bo oferta została już złożona. W tej chwili przygotowywane są wszystkie dokumenty.
 – O nie! – Tamani odgarnął włosy z czoła. – To niedobrze, to bardzo niedobrze. Shar mnie zabije – westchnął. – Nie możesz nic zrobić?
 – Decyzja nie należy do mnie. Nie mogę im powiedzieć, co mają robić.
 – Ja tylko proszę, żebyś spróbowała. Powiedz... coś, cokolwiek. My też będziemy się starali znaleźć jakieś rozwiązanie. Gdybyś miała pojęcie, jak ważna jest ta ziemia dla całego królestwa, nie zmrzyłybyś oka, zanim nie zyskałabyś pewności, że nic jej nie grozi. Nie wiem, czy ja będę w stanie zasnąć, dopóki nie wrócisz tu i nie powiesz, że ci się udało.
 – Ale dlaczego?
 Tamani wypuścił powietrze ze świstem.
 – Nie mogę ci powiedzieć. Nie wolno mi.
 – Nie wolno ci? Przecież jestem wróżką.
 – Nie rozumiesz, Laurel. Nie możesz dowiedzieć się wszystkiego tylko dlatego, że jesteś jedną z nas – jeszcze nie teraz. Nawet w królestwie młode wróżki nie mają prawa wejść do świata ludzi, dopóki nie udowodnią swojej lojalności. Jeśli w ogóle. Proszę mnie o ujawnienie jednej z największych tajemnic naszego gatunku. Nie możesz tego ode mnie wymagać.
 Zapadło milczenie.

– Zrobię, co będę mogła – powiedziała w końcu Laurel.
 – Tylko o to cię proszę.
 – Moi rodzice pomyślą, że oszalałam. – Laurel zmusiła się do uśmiechu.
 – Mnie to nie przeszkadza.
 Patrzyła na niego przez chwilę, a potem wyciągnęła rękę, żeby go klepnąć w ramię.
 Tamani zaśmiał się, a potem spoważniał i zaczął się jej przyglądać. Z wahaniem przybliżył się do dziewczyny i przesunął palcami po jej odkrytej ręce.
 – Cieszę się, że przyjechałaś dzisiaj – powiedział. – Tęskniłem za tobą.
 – Ja... może też.
 – Naprawdę? – W oczach chłopaka pojawiła się tak oczywista nadzieja, że Laurel odwróciła wzrok i zaśmiała się nerwowo.
 – No wiesz, kiedy już przestałam myśleć, że jesteś bezdomnym wariatem.
 Teraz śmiali się razem, a Laurel podziwiała delikatne dźwięczenie jego głosu, po którym ciepłe mrowienie przechodziło jej po plecach.
 – Muszę jechać – powiedziała przeprasząco. Właśnie spojrziała na zegarek.
 – Wróć niedługo. Jeszcze porozmawiamy.
 – Chętnie. – Uśmiechnęła się.
 – Obiecujesz, że porozmawiasz z rodzicami?
 – Tak.
 – Przyjedziesz powiedzieć, co z tego wyszło?
 – Jak będę mogła – ale nie wiem, kiedy to będzie.
 – Powiesz rodzicom?
 – Nie wiem. Chyba i tak by mi nie uwierzyli, zwłaszcza że nie ma już kwiatu. To właśnie dzięki niemu przekonałam Dawida.
 – Dawid... – powiedział Tamani kpiąco.
 – Coś nie tak?

– Zapewne nie. Ale jesteś pewna, że można mu zaufać?
 – Jestem pewna.
 – Rozumiem, że musiałaś komuś powiedzieć – westchnął. – Ale nie do końca mi się to podoba.
 – Dlaczego?
 – Bo to człowiek, a wszyscy wiedzą, że ludziom nie można ufać. Powinnaś być ostrożna.
 – Z nim nie muszę. On nikomu nie powie.
 – Mam nadzieję, że się nie mylisz.
 Szli powoli znajomą ścieżką, Laurel z przodu, Tamani za nią. Zatrzymali się na skraju lasu.
 – Naprawdę musisz już iść? – zapytał cicho.
 Zaskoczyły ją głębokie emocje słyszalne w jego głosie. Wyczuła w czasie rozmowy, że Tamani ją lubi... nawet bardzo. Teraz to było jednak coś więcej. Coś bardziej osobistego. Laurel była zaskoczona, że i ona niechętnie się żegna.
 – Moi rodzice nawet nie wiedzą, że tu jestem. Wymknęłam się ukradkiem.
 – Będę za tobą tęsknił – szepnął Tamani.
 – Przecież właściwie mnie nie znasz – zaśmiała się nerwowo.
 – Ale i tak będę tęsknił – powiedział i spojrzał jej prosto w oczy. – Czy jeśli ci coś dam, zachowasz to na pamiątkę – i może pomyślisz o mnie częściej?
 – Może – odparła.
 Ciemnozielone oczy Tamaniego wpatrywały się w nią świdrująco, jakby chciały ją przejrzeć na wylot.
 Chłopak zdjął z szyi cienki łańcuszek i wyciągnął rękę z małym, połyskującym krążkiem.
 – To dla ciebie.
 Położył jej coś na dloni – jak się okazało, była to mała złota obrączka z miniaturowym kryształowym kwiatkiem, niewiele większa od ziarenka groszku.
 – Co to jest? – Laurel była zamurowana.

– To pierścionek dla maleńkiej wróżki. Każda taki dostaje. Rośnie razem z nią. Robią je wróżki zimowe – to znaczy... właściwie wiosenne, ale zimowe je zaczarowują – to mówiąc, pokazał jej palec z prostą, srebrną obrączką. – Tak wygląda mój. Kiedyś był równie mały jak ten. Ponieważ nie jesteś malutką wróżką, pierścionek nie będzie rósł wraz z tobą, ale pomyślałem sobie, że może i tak ci się spodoba.
 – Dlaczego mi go dajesz? – zapytała Laurel, przypatrując się przepięknemu przedmiotowi, idealnemu w każdym szczególe.
 – Żeby pomóc ci poczuć się jedną z nas. Możesz zawiesić go sobie na szyi – powiedział i zawahał się. – Uważam, że powinnaś go mieć.
 Spojrzała na niego pytająco, ale odwrócił wzrok. Żałowała, że nie ma więcej czasu na to, by wyciągnąć z niego parę tajemnic.
 – Zawsze będę go nosiła – powiedziała.
 – I będziesz o mnie myślała? – zapytał, wpatrując się w nią tak, że nie mogła odwrócić wzroku. Wiedziała, że odpowiedź jest tylko jedna.
 – Tak.
 – To dobrze.
 Już miała się obrócić, ale zanim zdążyła to zrobić, Tamani chwycił ją za rękę. Nie spuszczać z niej wzroku, podniósł jej dłoń do swojej twarzy i musnął ustami. Przez krótką chwilę widziała w jego oczach nieskrywane, potężne i rozpaczliwe pragnienie. Przeszedł ją dreszcz, ale Tamani się uśmiechnął i wrażeń nie zniknęło.
 Laurel ruszyła do miejsca, w którym zostawiła swój rower. Oddychała szybko, bo jeszcze czuła ciepło rozlewające się po łożu Tamaniego. Wyjeżdżając na główną drogę, oglądała się cały czas za siebie. Tamani stał i wpatrywał się w nią nieruchomo. Nawet kiedy dotarła do ścieżki rowerowej, biegnącej równoległe do drogi, czuła na sobie jego spojrzenie, choć jego samego dawno już nie widziała.

Kiedy Laurel wstawiała rower do garażu, była już godzina czwarta – zdecydowanie za późno na to, żeby próbować się usprawiedliwiać jakkolwiek nauką. Zebrała się jednak na odwagę i pchnęła drzwi do domu.

Tata drzemał na kanapie, chrapiąc cicho dobrze jej znanym rytmem. Z tej strony nie powinno być żadnych kłopotów. Nastuchiwała chwilę, aż dotarł do niej brzęk butelek z kuchni.

– Mamo?

– Ach, więc już jesteś. Musieliście przerobić ostatnią stronę naprawę szybko. Dzwoniłam pół godziny temu.

– Eee... tak. Była łatwiejsza, niż mi się wydawało – powiedziała nerwowo.

– I jak tam? Dawid to taki miły chłopiec.

Laurel pokiwała głową, choć myślami była daleko od Dawida – dokładnie mówiąc, jakieś sześćdziesiąt siedem kilometrów.

– Czy wy...?

– Co? – Laurel próbowała się skupić na tym, co mówi mama.

– No wiesz. Spędzacie bardzo dużo czasu u niego w domu. Pomyślałam sobie, że może stajecie się... parą.

– Nie wiem – odpowiedziała uczciwie. – Może.

– Chodzi o to, że... wiem, że mama Dawida niekiedy siedzi do późna w pracy, a wy spędzacie mnóstwo czasu sami. W pustym domu sytuacja może wymknąć się spod kontroli.

– Będę ostrożna, mamo – powiedziała z rozbawieniem.

Skrzydła Laurel

– Wiem o tym, ale jestem twoją mamą i muszę ci to powiedzieć. – Uśmiechnęła się. – Pamiętaj, że chociaż nie zaczęłaś jeszcze miesiączkować, możesz zajść w ciążę.

– Mamo!

– Tylko mówię.

Laurel przypomniała sobie to, co mówił Tamani. „Zapyłanie służy rozmnażaniu, seks – tylko przyjemności”. Ciekawe, co powiedziałyby mama, gdyby dowiedziała się, że Laurel nie może zajść w ciążę – ba, że nigdy nie dostanie okresu! Seks miał być dla niej tylko seksem, bez żadnych komplikacji. Jeśli jakaś wiadomość miałaby wstrząsnąć mamą, to z pewnością byłaby to właśnie ta. Przecież Laurel sama cały czas próbowała oswoić się z tą myślą.

– Mamo – zaczęła z wahaniem. – Chciałabym porozmawiać z tobą o naszej ziemi. Ta posiadłość należy do rodziny od tak dawna, my tam mieszkaliśmy przez całe moje życie – powiedziała, opuszczając głowę na myśl o swoim prawdziwym pochodzeniu. – A przynajmniej odkąd sięgam pamięcią. – Pod powiekami niespodziewanie zakludy ją lzy. – To najbardziej magiczne miejsce na całym świecie. Szkoda, że chcesz je sprzedać.

Mama przyglądała się jej przez dłuższą chwilę.

– Laurel, pan Barnes oferuje nam dużo pieniędzy. To wszystko, co ostatnio chciałaś, a na co nie było nas stać... znowu będziemy mogli sobie na to pozwolić.

– A gdybyś nie sprzedała? Dalibyśmy sobie radę?

Mama westchnęła i zamyśliła się.

– Biznes taty na razie idzie dobrze, ale nie ma gwarancji, że tak będzie zawsze – powiedziała i oparła się łokciami o blat. – Musielibyśmy jeszcze długo żyć oszczędnie, a ja mam już tego dosyć, Laurel. Nie tylko ty musisz sobie odmawiać różnych rzeczy.

Dziewczyna zamilkła. Wydawało jej się, że została obarczona zbyt poważnym zadaniem jak na piętnastolatkę. „Ale przecież nie jestem zwykłą piętnastolatką” – powiedziała sobie w duchu. Ta myśl dodała jej odwagi.

– A mogłaby chociaż przemyśleć tę decyzję? Przez tydzień?
 – dodała, widząc, że mama wydeła wargi.
 – W środę mamy podpisywać dokumenty.
 – Tylko tydzień. Mamo, proszę! Powiedz panu Barnesowi, że potrzebujesz jeszcze tygodnia. A jeśli naprawdę wszystko to dobrze przemyślisz, ja już więcej nie będę ci zawracała głowy.
 Mama przyglądała się jej sceptycznie.
 – Proszę!
 – Myślę, że pan Barnes nie wycofa oferty, jeśli poproszę o dodatkowy tydzień – powiedziała w końcu.
 Laurel okrążyła stół i uściśnęła mamę.
 – Dziękuję – szepnęła. – To dla mnie wiele znaczy.

– A więc za wiele ci nie powiedział – zauważył Dawid, siadając na wysokim stołku w kuchni.

Jego mama poszła na randkę, więc mieli cały dom dla siebie. Chłopak jadł to, co zostało w kuchence mikrofalowej, a Laurel bazgrała coś w zeszycie, próbując nie zwracać uwagi na zapachy.

– Powiedział mi wystarczająco dużo – Laurel próbowała bronić Tamaniego. – Chyba chciał powiedzieć więcej, ale nie mógł. Widać było, że to go frustruje.

– Z tego, co mówisz, ten Tamani wydaje się dziwny.

– Jest inny. I nie chodzi tylko o wygląd. – Laurel przerwała ryśowanie i podniosła wzrok. Przypominała sobie spotkanie. – Jest taki... intensywny. Wszystkie jego emocje – pozytywne czy negatywne – wydają się zwielokrotnione. A do tego zaraził – powiedział i znów wróciła do bazgrania po kartce. – Chciałoby się czuć tak samo jak on, ale nie ma takiej możliwości, bo jego emocje zmieniają się jak w kalejdoskopie. Taka intensywność uczuć, taka namiętność... to musi być wyczerpujące. – Laurel aż zadrzętała, znajdując właściwe słowo, by opisać Tamaniego. Namiętność.

– Czyli co, jesteście teraz na przyjacielskiej stopie?

– Nie wiem – odparła. W głębi duszy wiedziała, że on jej pragnie każdą komórką swojej istoty. I chociaż bardzo starała się to przezwyciężyć, sama czuła podobnie. Po dniu spędzonym z Tamanim miała wrażenie, że wieczór z Dawidem jest oznaką jej nielojalności. A może czuła się nielojalna wobec Dawida, ponieważ spędziła dzień z Tamanim? Laurel nie była pewna, jak jest naprawdę.

Co najmniej setny raz tego dnia dotknęła ręką prezentu, który jej podarował – pierścionka zawieszzonego na szyi na cienkim srebrnym łańcuszku. Dzięki temu miała wrażenie, że jest blisko niego. W czasie tego krótkiego spotkania stali się dla siebie kimś więcej niż tylko przyjaciółmi; to znacznie wykraczało poza przyjaźń. Samo to słowo wydawało jej się zbyt ubogie, by opisać wszystko to, co ich łączyło. Zupełnie jakby istniała między nimi jakaś niewyraźna więź. Laurel nie mogła powiedzieć tego wszystkiego Dawidowi – byłoby jej trudno wyjaśnić to osobie niezaangażowanej, a przecież Dawid daleki był od niezaangażowania. Gdyby się dowiedział, jakie namiętności targają nią w obecności Tamaniego, byłby okropnie zazdrosny.

Nie oznaczało to jednak, że nie lubiła Dawida. Uważała go za swojego najlepszego przyjaciela, a czasem nawet za kogoś więcej. Dawid miał to, czego z pewnością brakowało Tamaniemu – był spokojny, skupiony, logiczny i uspokajający. Nie wzbudzał w niej chaotycznej burzy uczuć, chociaż ciągnęło ją do niego bardzo. Był stałym elementem w jej życiu – czymś, czym Tamani nigdy nie będzie. Dwie połówki, które nie zostaną połączone.

Dawid skończył jeść obiad i Laurel odsunęła kartkę.

– Dziękuję, że mnie kryłeś. Nie sądziłam, że moja mama do ciebie zadzwoni.

– Długo cię nie było – Dawid wzruszył ramionami – a przecież twoja mama wie, że nie przepadasz za biologią.

– Trochę dzisiaj poczytałam. Wiesz, jak rośliny wchłaniają dwutlenek węgla z powietrza i produkują tlen, prawda?

– Tak, to właśnie dlatego powinniśmy chronić drzewa i tak dalej.

– Tak sobie pomyślałam, że chyba nie miałoby sensu, gdybym oddychała tlenem.

– Uważasz... uważasz, że oddychasz dwutlenkiem węgla?

– Tak. I wydycham tlen.

– To byłoby sensowne.

– I też sobie pomyślałam – kontynuowała powoli – że moglibyśmy przeprowadzić kolejny eksperyment.

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Dobrze, ale jaki?

– No wiesz, powietrza nie obejrzyś pod mikroskopem, więc... eee... jedyny sposób, żeby przekonać się, czy ja rzeczywiście wydycham tlen, to... musielibyśmy sprawdzić, czy możesz oddychać nim bez problemu.

Dawid zaczął rozumieć, do czego Laurel zmierza.

– A jak proponujesz to sprawdzić? – zapytał, a kąciaki jego ust uniosły się w delikatnym uśmiechu.

– No... tak sobie pomyślałam, że to musiałoby być coś w rodzaju metody usta-usta. Tylko że ty byś wypuścił powietrze do moich ust, a potem wciągnął to, co ja wydycham – powiedziała i popatrzyła na niego przez chwilę. – Ale oczywiście nie musisz. To tylko taki luźny pomysł.

– Jestem pod wrażeniem. Uczylas się biologii z własnej woli!

Przewróciła oczami, ale zaśmiała się.

– Google to mój przyjaciel.

Dawid parsknął śmiechem, ale próbował zamaskować to udawanym kaszlem, więc rzuciła mu wściekle spojrzenie.

– To sensowny pomysł. Możemy to zrobić.

Odwrócił się do niej tak, że stykali się kolanami.

– Najpierw weź głęboki oddech i potrzyмай powietrze przez jakieś dziesięć sekund, żeby twoje płuca mogły przetworzyć je w dwutlenek węgla. Potem wypuść mi powietrze do ust – ja je

wciągnę, a po dziesięciu sekundach znowu wypuszczę w twoje usta. Okej?

Dawid skinął głową w odpowiedzi.

Plan był całkiem prosty – no, może nie licząc etapu usta-usta. Ale Laurel była pewna, że sobie poradzi. Poradzi sobie, prawda?

Dawid wciągnął powietrze do płuc, aż uniosła się jego klatka piersiowa, a on sam poczerwieniał na twarzy.

Teraz nie było już odwrotu.

Po mniej więcej dziesięciu sekundach skinął na nią i pochylił się do przodu, wpatrując się w jej usta. Zmusiła się do koncentracji i nachyliła się w jego stronę. Ich usta złączyły się delikatnie, a Laurel zapomniiała się i westchnęła nerwowo. Dawid przycisnął mocniej wargi i wypuścił powietrze. Laurel wciągnęła je do płuc.

Odsunął się, a Laurel popelniła błąd i spojrzala mu prosto w oczy. Uśmiechnęła się i musiała odwrócić wzrok, żeby policzyc spokojnie do dziesięciu. Wtedy Dawid znowu się przybliżył i oparł ręce delikatnie na jej ramionach.

Tym razem już się nie wahała.

Nachyliła się, a Dawid dotknął swoimi ustami jej ust. Wypuściła całe powietrze z płuc. Dawid zrobił głęboki wdech, a potem przez chwilę trwał jeszcze w miejscu, zanim się nie odsunął.

– O rany! – powiedział, kiedy już wypuścił powietrze. – O rany! – powtórzył i przesunął ręką po włosach. – Niesamowite. Jeszcze mi się kręci w głowie. Laurel, wydychasz chyba tlen w czystej postaci!

– Ale nie spadniesz z krzesła, co? – zapytała, kładąc mu ręce na udach.

– Nic mi nie będzie – odparł, oddychając powoli. – Daj mi jeszcze parę sekund. – Opuścił ręce i położył na jej dłoniach, które nadal opierały się o jego uda. Zauważyła, że ssie dolną wargę i uśmiecha się.

– Co cię tak rozbawiło?
 – Przepraszam – powiedział, rumieniąc się. – Ale masz taki słodki smak.
 – Jak słodki?
 – Smakujesz jak miód – wyjaśnił, oblizując się ponownie.
 – Miód?
 – Tak. Pomyślałem sobie, że mi się tylko wydawało wtedy, kiedy... no wiesz, wtedy. Ale dzisiaj to samo. Jesteś naprawdę słodka – powiedział i zamilkł na moment, a potem zaśmiał się. – Nie, nie jak miód – jak nektar.
 – No super. Do końca życia będę się tłumaczyć wszystkim, z którymi się pocałuję. No, chyba że to będziesz ty albo... albo inna wróżka – o mały włos nie wypowiedziała imienia Tamaniego. Dotknęła pierścionka na szyi.
 – W takim razie nie całuj nikogo oprócz mnie.
 – Dawid...
 – Ja tylko proponuję ci oczywiste rozwiązanie – powiedział, podnosząc ręce na znak protestu. Zaśmiała się i przewróciła oczami.
 – Dzięki temu nie będę jedną z tych dziewczyn, które całują się z chłopakami na prawo i lewo.
 – I tak nie byłabyś taką dziewczyną. Jesteś na to zbyt wrażliwa. Martwiłabyś się, że łamiesz serce każdemu chłopakowi, którego pocałowałaś.
 Laurel nie była pewna, czy ma to uznać za komplement, ale zdecydowała, że tak.
 – Eee... dzięki – powiedziała.
 – Co to jest? – zapytał Dawid, wskazując naszyjnik. – Ciągłe się tym bawisz.
 Wyjęła pierścionek spod bluzki. Miała wrażenie, że jest jak talizman, który przesyła jej myśli prosto do Tamaniego. Zastanawiała się, czy dając jej ten pierścionek, wiedział, że tak będzie się działo, ale ta myśl wcale jej nie zdenerwowała.

– To pierścionek – wyjaśniła Dawidowi. – Dostałam go od Tamaniego.
 – Tamani dał ci pierścionek? – Dawid spojrział na nią z dziwnym wyrazem twarzy.
 – To nie tak, jak myślisz. To pierścionek dla dziecka, wszystkie malutkie wróżki go dostają. – I chociaż instynktownie pragnęła, by pierścionek pozostał jej tajemnicą, wyciągnęła łańcuszek i pokazała Dawidowi.
 – Bardzo ładny – przyznał niechętnie. – Dlaczego on ci to dał? Laurel postanowiła zbyć to pytanie.
 – Nie wiem. Chciał, żebym go miała.
 Dawid przyglądał się pierścionkowi przez dłuższą chwilę, a potem opuścił go z powrotem na jej pierś.

– W samą porę – powiedziała mama, kiedy Laurel weszła do domu po powrocie ze szkoły następnego dnia. – Telefon do ciebie.

Laurel wzięła słuchawkę z jej rąk. Przecież dopiero co pożegnała się z Dawidem: dlaczego miałby już do niej dzwonić?

– Halo?

– Cześć, Laurel. Mówi Chelsea.

– Hej.

– Masz czas? Taka ładna pogoda, pomyślałam sobie, że może chciałabyś wybrać się do latarni morskiej?

Laurel słyszała już o zabytkowej latarni, ale jeszcze nigdy jej nie widziała.

– Bardzo chętnie – odparła.

– Możemy podjechać po ciebie za pięć minut?

– Pewnie.

– Dawid idzie z wami? – zapytała mama, kiedy Laurel odłożyła słuchawkę.

– Nie. Chelsea chciała jechać ze mną do latarni morskiej. Mogę?

– Oczywiście. Cieszę się, że się spotykasz z przyjaciółmi. Wiesz, że ja bardzo lubię Dawida, ale powinnaś mieć więcej znajomych. To zdrowsze.

Laurel podeszła do lodówki i wyjęła puszkę napoju.

– Dzisiaj przysły pocztą twoje oceny z tego półroczna – powiedziała mama.

Napój utkwił w gardle dziewczyny. Do momentu pojawienia się kwiatu radziła sobie całkiem dobrze, ale nie była pewna, czy utrzymała podobny poziom, kiedy jej życie zupełnie zwarioвало.

– Trzy piątki i dwie czwórki. Jestem bardzo zadowolona – uśmiechnęła się mama, a potem zaśmiała się. – Prawdę powiedziawszy, jestem też trochę dumna z siebie. Musiałam sobie radzić nie najgorzej, skoro masz tak dobre wyniki.

Laurel wzięła od mamy kartkę z ocenami. Nie zdziwiła jej ani czwórka z biologii, ani piątka z angielskiego. Pomyślała, że musi tylko utrzymać te oceny do końca semestru. To nie powinno być zbyt trudne, najgorsze miała już za sobą.

– Dlaczego stoi tu samochód taty? – zapytała nagle.

– Tata jest chory – westchnęła mama. – Żle się czuje od rana, nie poszedł nawet do pracy.

– Naprawdę? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz zrobił sobie wolne.

– Masz rację. Kazalam mu zostać w łóżku, jutro powinno być już lepiej.

Laurel usłyszała klakson przed domem.

– To Chelsea – powiedziała i chwyciła za bluzę.

– Baw się dobrze! – Mama się uśmiechnęła.

Laurel usiadła na tylnym siedzeniu samochodu, a Chelsea odwróciła się do niej z promiennym uśmiechem.

– Cześć! Latarnia jest super, na pewno ci się spodoba.

– Przyjadę po was za dwie godziny – powiedziała mama Chelsea, wysadzając je na parking.

– Pa! – Chelsea jej pomachała.

– Dokąd teraz? – Laurel wpatrywała się w ocean.

– Podejdzmy tam – Chelsea wskazała na wysepkę, oddaloną o jakieś sto pięćdziesiąt metrów od brzegu.

– Mamy iść na wyspę?

– Nie do końca. Tam się tworzy mierzja przy odpływie.

Laurel przysłoniła oczy przed słońcem i spojrziała w kierunku wyspy.

– Nie widzę latarni.

– Bo to nie jest typowa latarnia, ale dom ze światłem na dachu.

Chelsea poprowadziła ją wąskim pasem ziemi, łączącym wysepkę z lądem. Laurel podobało się, że jest tak blisko oceanu, a jednocześnie nie musi się w nim zanurzać. Lubiła ostry zapach słonej wody. Świeży wiatr muskał jej twarz i rozwiewał loki Chelsea.

Ze skraju wyspy prowadziła żwirowana droga na szczyt wzgórze. Po kilku minutach minęły mały zakręt i ich oczom ukazał się budynek z latarnią.

– To zwykły dom – Laurel nie kryła zaskoczenia.

– Z wyjątkiem światła. – Chelsea wskazała ręką na dach.

Dziewczyna postanowiła zagrać w przewodnika i pod baczny okiem strażnika oprowadziła koleżankę po niewielkim budynku, opowiadając jej historię latarni, ze szczególnym uwzględnieniem roli, jaką odegrała ona w czasie tsunami, nawiedzającego Crescent City raz na kilka lat.

– Fale są niesamowite – powiedziała. – O ile nie robią się zbyt potężne.

Laurel chyba jednak nie podzielała jej entuzjazmu.

Chelsea poprowadziła ją do niewielkiego ogrodu i pokazała fioletowe kwiatki obrastające wszystkie skały na wyspie.

– Piękne są! – Laurel pochyliła się, żeby dotknąć kępy maleńkich kwiatuśków.

Chelsea wyjęła z plecaka koc i rozłożyła go na trawie. Usiadły i przez kilka minut w milczeniu przyglądały się oceanowi. To piękne skaliste miejsce nappełniało Laurel wielkim spokojem. Po chwili Chelsea sięgnęła znowu do plecaka i wyjęła snickersa dla siebie, a Laurel podała małe plastikowe pudełko.

– Co to jest?

– Truskawki. Organiczne, jeśli chcesz wiedzieć – dodała.

Laurel uśmiechnęła się i podniosła przykrywkę.

– Dzięki. Wyglądają apetycznie.

„I są milion razy lepsze niż ten czekoladowy baton” – pomyślała.

– To jak jest z tobą i Dawidem?

Laurel zakrztusiła się truskawką i zaczęła mocno kaszleć.

– To znaczy?

– Zastanawiałam się, czy już jesteście parą.

– Możesz pytać otwarcie – powiedziała Laurel, bardziej do truskawek niż do przyjaciółki.

– On cię naprawdę lubi – westchnęła Chelsea. – Żeby mnie choć w połowie tak lubił...

Laurel zaczęła mieszać widelcem w truskawkach.

– Polubiłam go od razu, kiedy się tu wprowadził. Byliśmy w tej samej drużynie AYSO – dodała Chelsea z uśmiechem.

– Co to takiego?

– Piłka nożna – powiedziała wesoło.

Laurel wyobraziła sobie, jak dziesięcioletnia Chelsea – tak samo otwarta i uparta jak teraz – spotyka po raz pierwszy Dawida. Dawida, który nie osądza, nie krytykuje, ale akceptuje. Nic dziwnego, że go polubiła. Ale mimo wszystko...

– Nie obraż się, Chelsea, ale... po co mi to właściwie mówisz?

– Nie wiem – odparła i przez chwilę milczała. – Nie chcę, żebyś miała wyrzuty sumienia czy coś w tym rodzaju – zapewniła.

– Dawid i tak nic do mnie nie czuje, ja to wiem. Szczerze mówiąc, jeśli już ma mieć dziewczynę, wolałabym, żeby to był ktoś taki jak ty. Ktoś, z kim ja też się przyjaźnię.

– To chyba dobrze.

– Więc... jesteś jego dziewczyną? – naciskała Chelsea.

– Nie wiem. Może?

– To jest pytanie? – zaśmiała się Chelsea.

– Nie wiem. – Laurel zamilkła, a potem spojrziała z ukosa na przyjaciółkę. – Naprawdę ci nie przeszkadza, że o tym rozmawiamy?

– W ogóle. To mi zastępuje to, czego nie mam.
 – Czasem mówisz dziwne rzeczy – zauważyła ponuro Laurel.
 – Dawid też mi to powiedział. Osobiście sądzę, że ludzie zbyt rzadko mówią to, co naprawdę myślą.
 – W tym masz zupełną rację.
 – No więc jesteście jego dziewczyną czy nie? – Chelsea nie dawała za wygraną.
 – Naprawdę nie wiem. – Laurel wzruszyła ramionami. – Czasami myślę, że tego właśnie chcę, ale nigdy wcześniej nie miałam chłopaka. Nawet się z żadnym nie przyjaźniłam. Podoba mi się ta przyjaźń, nie chciałabym jej stracić.
 – Może nie stracisz.
 – Może. Ale nie jestem pewna.
 – Taki związek dawałby ci dodatkowe korzyści.
 – Na przykład?
 – No, gdybyście ze sobą chodzili, Dawid mógłby robić za ciebie zadania domowe z biologii.
 – Brzmi kusząco. Jestem cienka z biologii.
 – Dawid też tak mówił – zaśmiała się Chelsea.
 – Żartujesz? Jak on mógł?
 – To żadna tajemnica – praktycznie codziennie o tym jęczysz. Myślę, że Dawid jest materiałem na świętego chłopaka – dodała.
 – Czemu tak mnie zachęcasz? Większość dziewczyn na twoim miejscu próbowałaby raczej nas rozdzielić.
 – Ale ja nie jestem większość – broniła się Chelsea. – A poza tym – dodała weselszym tonem – to uszczęśliwiłoby Dawida. A ja lubię, kiedy on jest szczęśliwy.

* * *

– Wróciłam! – zawołała Laurel, wchodząc do domu.
 Rzuciła plecak na podłogę i poszła do spiżarni w poszukiwaniu słoika z brzoskwiniami. Kilka minut później do kuchni we-

szła mama. Zamiast obrzucić córkę groźnym spojrzeniem za to, że nie wzięła miseczek, tylko wyjada owoce prosto ze słoika, jedynie westchnęła i uśmiechnęła się ze smutkiem.
 – Możesz sobie sama wziąć coś na kolację?
 – Pewnie, a co się stało?
 – Tata czuje się gorzej. Boli go brzuch i ma gorączkę. Nic wielkiego, niecałe trzydzieści osiem, ale nie mogę jej zbić. Nic nie działa – ani zimne okłady, ani chłodna kąpiel, ani nawet moje pastylki z hyzopu i lukrecji.
 – Naprawdę? – zdziwiła się Laurel.
 Mama miała zioła na wszystko i zwykle okazywały się bardzo skuteczne. Znajomi mamy pojawiali się u niej z prośbą o pomoc, kiedy nie pomagały im żadne apteczne leki.
 – A próbowałaś podać napar z jeżówki? – zasugerowała.
 To właśnie mama serwowała jej przy chorobach.
 – Zrobiłam go mnóstwo i podałam z lodem. Ale tata ma trudności z przelękaniem, więc nie wiem, czy wypił wystarczającą ilość.
 – Pewnie zjadł coś niestrawnego.
 – Może. – Mama nie wyglądała na przekonaną. – Pogorszyło mu się, kiedy wyjechałaś. No dobrze – dodała, odwracając się plecami do córki – spędzę z nim wieczór, żeby go podtrzymać na duchu.
 – Nie ma sprawy. Ja mam brzoskwinie i mnóstwo pracy domowej.
 – Słowem: ekscytujący wieczór i dla ciebie, i dla mnie.
 – Właśnie – westchnęła Laurel, spoglądając na czekającą na stole stertę podręczników.

W czwartek po szkole Laurel zabrała swój niebieski fartuch i pobięła do Regalu z Książkami – księgarni prowadzonej przez tatę. Zatrudnieni w niej Jen, Brent i Maddie zostawali po godzinach, ale i tak brakowało rąk do pracy. Laurel uznała, że Brent i Jen powinni wziąć sobie dzień wolnego – ona i Maddie poradzą sobie we dwie. Maddie była jedyną pracownicą, którą tata przejął wraz z księgarnią – pracowała tu już prawie dziesięć lat i na dobrą sprawę mogła poprowadzić interesy samodzielnie.

Jednak w drodze do centrum miasta to nie księgarnia zaprzętała myśli Laurel. Przed wyjściem z domu zajrzała jeszcze do sypialni rodziców po instrukcje i zszokował ją wygląd taty. Zawsze był szczupłym mężczyzną, ale teraz wyglądał fatalnie: miał zapadniętą i poszarzałą twarz, mocno podkrążone oczy, sine usta, a jego czoło oblewał pot. Mama Laurel wypróbowała już chyba wszystkiego: okłady z lawendy i rozmarynu, napar z kopru włoskiego na ból brzucha, mnóstwo witaminy C dla wzmocnienia układu odpornościowego. Nic nie pomagało. Podała mu trochę brandy na noc, żeby lepiej spał, i wpuściła kilka kropli olejku z mięty pieprzowej do nawilżacza powietrza, ale i to nie przyniosło żadnej poprawy. Ponieważ nie mogła pozwolić, by jej honor wygrał z rozsądkiem, podała mężowi nawet kilka środków farmakologicznych na zabicie gorączki i walkę z infekcją – także i one okazały się nieskuteczne. To, co wszyscy uważali za niegroźną gripę,

Skrzydła Laurel

bardzo szybko przerodziło się w dużo poważniejszy stan, jakiego nikt się nie spodziewał.

Kiedy Laurel zaproponowała swoją pomoc w księgarni, żeby tata mógł zostać pod opieką mamy, ta uściśniła ją mocno i szepnęła podziękowanie do ucha. Tata nie był sobą – wyglądał jak karykatura człowieka, jakim był jeszcze kilka dni wcześniej. Próbował się uśmiechać i żartować tak jak zawsze – ale nawet to było dla niego zbyt wyczerpujące.

Kiedy Laurel otworzyła drzwi księgarni, rozległ się radosny dźwięk dzwoneczka.

– Laurel? – Maddie podniosła głowę i uśmiechnęła się na jej widok. – Za każdym razem, gdy cię widzę, jesteś ładniejsza – to mówiąc, uściśniła dziewczynę.

Laurel pozwoliła się obejmować przez dłuższą chwilę, bo dawało jej to otuchy. Maddie zawsze pachniała ciastkami i przyprawami, a także czymś jeszcze, czego Laurel nie potrafiła rozpoznać.

– I jak się czuje tata? – zapytała, nadal obejmując dziewczynę.

Gdy ktoś zadawał to pytanie, Laurel za każdym razem odpowiadała, że dobrze, ale z Maddie postanowiła być szczerą.

– Wygląda okropnie. Sama skóra i kości. Mama próbuje wszystkiego, ale nic nie działa.

– Nawet jej hyzop z korzeniem lukrecji?

– O to samo ją zapytałam. – Laurel uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Jeśli o mnie chodzi, to cudowny środek na wszystkie dolegliwości.

– Ale w przypadku taty nie zadziałał. A przynajmniej nie tym razem.

– Zapalam dla niego świeczkę co wieczór – powiedziała Maddie.

Świeczki były dla niej tym, czym korzeń lukrecji i hyzop dla mamy Laurel. Maddie – jako żarliwa katoliczka – ustawiła

w oknie rzędy świeczek, które zapalała w przeróżnych intencjach – czy to członka parafii umierającego na raka, czy zaginionego kotka sąsiadów. Laurel i tak była jej wdzięczna.

– Tata przesyła instrukcje na resztę tygodnia – powiedziała.

– No tak – zaśmiała się Maddie. – Złożony chorobą, ale i tak opracowuje plan działania. Najwyraźniej ma się jednak nie najgorzej – to mówiąc, wyciągnęła rękę. – Pokaż mi to – Maddie zaczęła studiować odręcznie napisany harmonogram. – Widzę, że skracca czas otwarcia księgarni.

– Nie ma tylu pracowników, żeby utrzymać obecne godziny.

– To dobrze. Od dawna mu powtarzałam, że głupotą jest otwierać o ósmej. Kto kupuje książki o ósmej rano? – Maddie pochyliła się do przodu, jakby zdradzała swój sekret. – Prawdę powiedziawszy, nie lubię wstawać tak wcześnie.

Przez kolejne kilka godzin pracowały w dobrych nastrojach. I chociaż obie unikały rozmowy o ojcu Laurel, to jednak dziewczyna cały czas o nim myślała. W końcu zostawiła Maddie z papierkową robotą, a sama przywiesiła na drzwiach kartkę o zmianie godzin otwarcia księgarni w weekend i wyszła do domu.

Szła powoli, zmęczona dwugodzinnym rozpakowywaniem pudeł z książkami. Kiedy skręciła w ulicę, przy której stał ich dom, zobaczyła duży pojazd zaparkowany przed bramą. Minęło kilka sekund, zanim zdała sobie sprawę z tego, że to biały ambulans. Ruszyła biegiem i wparowała do domu w chwili, gdy sanitariusze znosili tatę z góry na noszach.

– Co się stało? – zapytała idącą krok za nimi mamę, ale ta nie spuszczała oczu z ojca.

– Zaczął wymiotować krwią. Musiałam zadzwonić po pogotowie. – Po twarzy mamy płynęły strużki łez.

Laurel dobiegła do niej i objęła ją mocno.

– Słusznie zrobiłaś, mamó. Wszystko będzie dobrze.

– On nie ufa lekarzom – powiedziała mama bezradnie.

– To nie. Teraz ich potrzebuje.

Mama pokiwała głową, ale Laurel nie była pewna, czy w ogóle ją usłyszała.

– Muszę z nim jechać – powiedziała. – Tylko jedna osoba może wejść do karetki. Zadzwonię do ciebie ze szpitala.

– Jedź, mamó. Ja sobie poradzę.

Udało jej się jeszcze przewiesić mamie przez ramię torebkę, kiedy szła do karetki, zupełnie nieświadoma obecności córki. Nie obejrzała się nawet, gdy zatrzasnęły się drzwi ambulansu.

Laurel patrzyła, jak odjeżdżają, i czuła, że ścisła ją w żołądku i zaczyna mdlić. Odkąd sięgała pamięcią, żadne z jej rodziców nie było nigdy w szpitalu, nie licząc odwiedzin znajomych. Laurel wierzyła do tej pory, że to tylko ostra infekcja, która minie bez dodatkowej pomocy. A jednak się myliła.

Weszła z powrotem do domu i zamknęła drzwi obiema rękoma. Trzaśnięcie zamka odbiło się echem po całym holu. Bez rodziców dom wydawał się ogromny. I taki pusty... W ciągu ostatnich pięciu miesięcy, które minęły od przeprowadzki, często bywała sama w domu, ale tym razem było inaczej. Przerazająco. Trzęsącymi się rękoma przekręciła klucz w zamku, a potem usiadła na podłodze i siedziała tak długo, aż wraz z zachodzącym słońcem zanikły ostatnie plamki światła i spowila ją ciemność.

Nadejście mroku wyzwoliło czarne myśli, więc Laurel podniosła się, pozapalała wszystkie światła w kuchni i usiadła przy stole w jadalni. Wyjęła zadanie domowe z angielskiego, ale już przy pierwszym zdaniu litery zaczęły tańczyć jej przed oczami i nie zrozumiiała nic z tego, co czytała.

Położyła głowę na książce. Jej myśli wędrowały od księgarni do Tamaniego, potem do Dawida i rodziców w szpitalu i tak w kółko, od jednego do drugiego, aż powoli zamknęła oczy.

Z bezsensownego, nerwowego snu poderwał ją głośny dzwonek. Zlokalizowała jego źródło, wcisnęła przycisk i wyduśiła do słuchawki zaspiane „halo”.

– To ja, kochanie – usłyszała głos mamy.
Natychmiast rozbudziła się zupełnie i skrzywiła na widok zgniecionych stron podręcznika.

– Co powiedzieli?

– Zatrzymają tatę i dadzą mu antybiotyk. Musimy poczekać do jutra i zobaczyć, czy będzie jakaś poprawa – wyjaśniła mama i zawahała się. – Nawet nie zawieźli go jeszcze do sali, pewnie będzie już bardzo późno, kiedy to zrobią. Mogłabyś zostać sama w domu, a jutro przyjechać do taty?

Laurel zastanawiała się przez kilka sekund. Miała irracjonalne przeczucie, że gdyby tylko pojechała do szpitala, mogłaby coś dla taty zrobić. Ale przecież to głupota – wystarczy, jeśli pójdzie jutro.

– Nie martw się o mnie, mamó – powiedziała, zmuszając się do radosnego tonu. – Poradzę sobie.

– Kocham cię, córeczko.

– Ja ciebie też.

Laurel znowu musiała zmierzyć się z samotnością w pustym domu. Bezwiednie wybrała numer Dawida. Odezwiał się, zanim jeszcze zdążyła sobie sprawę, że właśnie do niego dzwoni.

– Dawid? – zapytała, mrugając. – Cześć. – Wyrzwała za okno w kuchni i ujrzała wschodzący księżyc. Nie miała pojęcia, która może być godzina. – Możesz do mnie przyjść?

Zadzwonił dzwonek i Laurel pobiegła otworzyć Dawidowi.

– Przepraszam, że zadzwoniłam do ciebie. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak późno.

– Nic się nie stało – powiedział i położył ręce na jej ramionach. – Jest dopiero dziesiąta, mama pozwoliła mi zostać tak długo, jak będzie trzeba. To nagła sytuacja. Co mogę zrobić?

– Moja mama pojechała do szpitala... – Laurel wzmruszyła ramionami. – Nie chcę być tu sama.

Dawid objął ją, a ona przytuliła się do jego piersi. Trzymał ją w objęciach przez kilka minut, skuloną, tulącą się do niego w poszukiwaniu ukojenia. Dawid wydawał jej się taki silny i ciepły, więc ścisłała go mocno, aż zaczęły ją boleć ramiona. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że wszystko będzie dobrze.

W końcu odsunęła się od Dawida – było jej głupio, że pozwoliła sobie na tak długie przytulenie. Ale chłopak tylko uśmiechnął się ze smutkiem, podszedł do sofy i podniósł gitarę.

– Kto gra? – zapytał, brzdąkając. – Twój tata?

– Nie... eee... ja. Ale nigdy nie chodziłam na żadne lekcje. Jakoś tak... sama do tego doszłam.

– I nigdy mi o tym nie mówiłaś?!

– Kiepsko gram.

– Od jak dawna?

– Jakieś trzy lata – powiedziała. Wzięła od niego gitarę i oparła sobie o kolano. – Znalazłam ją na strychu. Kiedyś należała do mojej mamy – mama pokazała mi podstawowe chwyt, a teraz gram ze słuchu.

– Zagrasz coś dla mnie?

– Nie, lepiej nie. – Laurel zdjęła palce ze strun.

– Proszę. Na pewno poczujesz się lepiej.

– Skąd takie przekonanie?

– Widząc, jak ją trzymasz, domyślam się, że ją lubisz.

– Masz rację. – Laurel przesunęła ręką po gryfie. – To bardzo stary instrument, a ja lubię stare rzeczy. Mają swoją historię i mogłyby wiele opowiedzieć.

– Więc zagraj. – Dawid usiadł wygodniej i założył ręce za głowę.

Zawahała się, a potem zaczęła stroić gitarę, aż przypadkowe brzdąkanie przeszło w delikatną melodię *Imagine* Johna Lennoxa. Po pierwszym wersie zaczęła cicho śpiewać. Uznała, że to właściwa piosenka na taki wieczór. Po ostatnim akordzie weszła.

– Piękne to było – powiedział Dawid.
 Laurel wzdrygnęła ramionami i schowała gitarę do pokrowca.
 – Nie mówiłaś mi też, że śpiewasz – dodał i zamilkł na chwilę.
 – Jeszcze nigdy nie słyszałem takiego śpiewu; zupełnie nie przypominał tego, jak śpiewają piosenkarze, był taki piękny i uspokajający – powiedział, po czym chwycił ją za rękę. – Lepiej się teraz czujesz?
 – Tak. – Uśmiechnęła się. – Dzięki.
 Dawid odchrząknął i ścisnął jej rękę.
 – To co teraz robimy?
 Rozejrzała się po salonie – nie mieli wielkiego wyboru.
 – Masz ochotę obejrzeć jakiś film?
 – Pewnie.
 Wybrała stary musical, w którym nikt nie chorował i nikt nie umierał.
 – *Deszczowa piosenka*? – Dawid zmarszczył nos.
 – Jest śmieszna. – Wzdrygnęła ramionami.
 – Okej. Twój wybór.
 Już po piętnastu minutach śmiał się głośno, a Laurel tylko go obserwowała – a właściwie jego kontur rozjaśniony światłem telewizora. Miał pogodny wyraz twarzy i co chwila odchyłał głowę do tyłu i wybuchał śmiechem. W jego obecności łatwo było zapomnieć o zmartwieniach. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Laurel przysunęła się do Dawida. Odruchowo ją objął, a ona przytuliła się i oparła głowę na jego piersi. Przycisnął ją mocniej i pochylił się tak, że policzkiem dotykał czubka jej głowy.
 – Dziękuję, że przyszedłeś – szepnęła z uśmiechem.
 – Dla ciebie zawsze – odparł i musnął ustami jej włosy.

* * *

Laurel podniosła głowę, kiedy dzwonek na drzwiach księgar-
 ni obwieścił, że ktoś wchodzi. Nie miała już siły uśmiechać się

do kolejnego klienta, dlatego odetchnęła z ulgą, kiedy jej wzrok padł na Dawida.
 – Cześć – powiedziała i odłożyła sortowane właśnie książki na stolik przy regale.
 – Cześć. I jak idzie?
 – Nadal żyję. – Zmusiła się do uśmiechu.
 – Ale widzę, że ledwo – odparł i zawahał się. – A co z tatą?
 Odwróciła się tyłem, próbując powstrzymać – już chyba setny raz tego dnia – cisnące się do oczu łzy. Dawid poglaskał ją po ramionach, więc przytuliła się do niego – to pozwalało jej się poczuć lepiej – i bezpiecznie.
 – Przenoszą go do szpitala w Brookings – wyszeptala po kilku minutach.
 – Pogorszyło mu się?
 – Trudno powiedzieć.
 Dawid oparł się policzkiem o czubek jej głowy.
 Ponieważ znowu rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi, Jen poszedł obsłużyć klienta, a Laurel odsunęła się od Dawida i wzięła głęboki, choć drżący oddech, by odzyskać panowanie nad sobą.
 – Muszę to zrobić – powiedziała, podnosząc stosik książek ze stołu. – Za godzinę zamykamy, a mam jeszcze cztery kartony do rozpakowania.
 – Pomogę ci – zaferował się Dawid. – Tylko mi powiedz, gdzie je ustawiać. Możesz być kierownikiem – dodał ze śmiechem, po czym wyjął jej z rąk książki i przez chwilę gładził dłonią śliską obwolutę tomu z samej góry. – Może jutro też mógłbym przyjąć ci pomoc.
 – Ty masz swoją pracę. Sam mówiłeś, że musisz zarobić na ubezpieczenie.
 – Mam w nosie głupie ubezpieczenie – powiedział ostrym tonem, a potem zamilkł na moment i dalej mówił już cicho, łagodnie. – To pierwszy dzień w tym tygodniu, kiedy widzę cię poza

APRILYNNE PIKE

lanczem i lekcjami. Brakuje mi ciebie – dodał, wznosząc ramionami.

Laurel zawahała się.

– Proszę.

– No, dobrze – ustąpiła. – Ale tylko do czasu, kiedy tacie się poprawi.

– To na pewno nastąpi niedługo. W Brookings mają świetnych specjalistów, szybko dojdą do tego, co mu dolega. Będziesz miała szczęście, jeśli uda ci się wykorzystywać mnie do pracy przez tydzień – dodał ze śmiechem.

Wbrew optymistycznym założeniom Dawida z tygodnia zrobiły się dwa, a stan taty nadal się nie poprawiał. Laurel żyła jak w transie, praktycznie z nikim nie rozmawiała, nie licząc Mad-die, Dawida i Chelsea, która często wpadała do księgarni, żeby porozmawiać. Nie udało im się co prawda nakłonić dziewczyny do pomocy – żartowała, że jest urodzonym przywódcą – ale i tak jej towarzystwo podnosiło Laurel na duchu.

Dawid zamierzał dotrzymać słowa i pomagać w księgarni, dopóki tata Laurel nie wyjdzie ze szpitala. Miała wyrzuty sumienia, bo czas mijał, a on pracował za darmo – próby zmiany tej sytuacji spełzały zawsze na niczym.

Czasami spędzali popołudnia, rozmawiając przy układaniu książek i odkurzaniu pólek – Laurel zapominała wtedy na kilka krótkich chwil o zmartwieniach. Odkąd tatę przewieziono do innego szpitala, już nie widywała się z nim codziennie, ale kiedy tylko Dawid odebrał prawo jazdy, zaproponował, że będzie ją tam woził co dwa-trzy dni.

Na drugi dzień po otrzymaniu prawa jazdy zabrał Laurel i Chelsea do Brookings. Mimo że Laurel przez całą drogę trzymała się pasa tak kurczowo, że aż zbieleły jej kostki, a Chelsea upominała Dawida za każdym razem, gdy przekroczył dozwoloną prędkość, to dojechali w jednym kawałku.

Laurel przyniosła tacie dzikie kwiaty zerwane w ogródku. Miała nadzieję, że przypomną mu o domu i dzięki temu znajdzie

w sobie wolę walki, by starać się do niego wrócić. Tata był bardzo słaby, otworzył oczy tylko na kilka minut, żeby się przywitać i dać się przytulić, a potem zapadł w letarg wywołany morfiną.

To był ostatni raz, kiedy Laurel widziała go przytomnego. Wkrótce lekarze wprowadzili tatę w stan śpiączki, żeby nie czuł bólu, którego nawet morfina nie była już w stanie uśmierzyć. Laurel cieszyła się z tego w duchu – gdy spał, wyglądał na spokojnego i zadowolonego. Kiedy był przytomny, widziała jego cierpienie; choć starał się je ukrywać, z rozpaczą musiała przyznać, że gaśnie w oczach. Sen był zdecydowanie lepszy.

W laboratorium udało się wyizolować toksynę z krwi taty, ale ponieważ żaden z lekarzy nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkał, byli bezradni. Wypробowano każdy możliwy lek, który – zdaniem specjalistów – dawał nadzieję na poprawę stanu zdrowia pacjenta; traktowano go jak królika doświadczalnego. Niestety, nic nie działało. Tata słabł. Dwa dni wcześniej lekarz poprosił mamę na rozmowę. Oznajmili, że nie rezygnują ze starań, ale jeśli nie uda im się oczyścić organizmu z toksyny, wkrótce poszczególne narządy przestaną pracować.

Sytuację pogarszał fakt, że pan Barnes wydzwaniał teraz każdego wieczoru. Przez ponad tydzień Laurel mówiła po prostu, że mamy nie ma w domu, ale z czasem ta wymówka okazała się niewystarczająca. W końcu miała dosyć wypytywania i włączyła automatyczną sekretarkę, a słuchawkę podnosiła tylko wtedy, gdy dzwonił Dawid lub Chelsea.

Mamie nic o tym nie powiedziała.

Miała wyrzuty sumienia, gdy kasowała co wieczór nagrany wiadomość – czasem nawet dwie – ale przecież obiecała Tamanemu, że zrobi, co będzie mogła.

Dziwnie było myśleć o Tamanim – teraz wydawał jej się tylko snem. Nierealną postacią będącą częścią dni pełnych ekscytacji i fascynacji po odkryciu, że naprawdę jest wróżką. Teraz to wszystko było nieistotne. Przez chwilę myślała o tym, żeby poje-

chać do Orick, ale nawet gdyby miała czym, jak Tamani mógłby jej pomóc? Wabienie przecież nie uzdrowi taty.

Obiecała, że da mu znać, jeśli posiadłość znajdzie się w niebezpieczeństwie, ale skoro usuwała wszystkie wiadomości od pana Barnesa, nie było takiej potrzeby. Postanowiła w ogóle o nim nie myśleć.

Wracała właśnie z księgarni i stała pod drzwiami, kiedy usłyszała donośny dźwięk telefonu. Szybko przekreśliła klucz w zamku i pobięła po słuchawkę. Dzwoniła mama.

– Cześć, mamo. I jak tata?

Po drugiej stronie panowała głucha cisza.

– Mamo?

Usłyszała, jak mama bierze głęboki oddech.

– Rozmawiałam właśnie z doktorem Hansenem – powiedziała łamiącym się głosem. – U taty doszło do niewydolności serca. Dają mu niecały tydzień życia.

Dawid w milczeniu wiół ją ciemną szosą do Brookings. Laurel złapała go dzięki komórce, kiedy właśnie wracał do domu. Uparł się, że od razu zawiezie ją do szpitala, żeby nie musiała czekać do rana. Opuściła szybę w samochodzie; Dawid na pewno marzył od zimnego jesiennego wiatru hulającego w aucie, ale nie zaprotestował. Widziała, że co chwila obrzuca ją spojrzeniem, a od czasu do czasu wyciąga rękę i głaszcze ją po ramieniu. Nic jednak nie mówił.

Wjechali na przyszpitalny parking i wysiedli z samochodu. Dawid chwycił ją za rękę i ruszyli dobrze sobie znaną drogą do sali, w której leżał tata. Zapukała delikatnie do drzwi, a potem Laurel zajrzała do środka przez zasłonę przy wejściu. Mama siedziała przy stoliku z odwróconym do nich plecami mężczyzną, ale kiwnęła im, żeby weszli.

Laurel od razu rozpoznała tego człowieka. Miał szerokie barki, ukryte pod przyciśniętą koszulą, a coś w jego osobie przyprawiło ją o niepokój. Był to oczywiście Barnes.

Oparła się o ścianę i skrzyżowała ręce na piersi. Mama kontynuowała rozmowę. Uśmiechała się i potakiwała. Laurel nie słyszała, co mówi Barnes, ale mama powtarzała ciągle „naturalnie” i „oczywiście”, entuzjastycznie kiwając głową, a w końcu podpisała wszystkie dokumenty, nie patrząc w ogóle na ich treść. Laurel zmarszczyła czoło – było to bardzo dziwne.

Mama nigdy nie lubiła umów i nie ufala prawniczemu żargonowi. Zawsze spędzała dużo czasu nad dokumentami i zanim cokolwiek podpisała, często wykreślała całe zdania. Teraz jednak podpisała chyba osiem stron, nie czytając ani słowa!

Przez całą rozmowę Barnes nawet nie spojrzął w stronę Laurel i Dawida.

Dziewczyna zaczęła czuć mrowienie na skórze; chwyciła Dawida za rękę, gdy mężczyzna podsunął mamie jeszcze kilka kartek do podpisania, a potem wręczył jej spięte dokumenty. Resztę schował do teczki. Ucisnął mamie rękę, po czym odwrócił się i napotkał wzrok Laurel.

Przez chwilę patrzył to na nią, to na Dawida, a potem na jego twarzy pojawił się wyjątkowo nieprzyjemny uśmiech – Laurel aż się odsunęła.

– Laurel – powiedział głosem, który wydawał jej się bardzo sztuczny – właśnie pytałem o ciebie. Jak się okazuje, żadna moja wiadomość nie dotarła do twojej mamy – zakończył lekkim warknięciem i Laurel zacisnęła zęby, bo ogarnęło ją nagłe przerażenie.

Barnes wzruszył ramionami i na jego twarz wrócił dawny pogardliwy wyraz.

– Na szczęście udało mi się znaleźć twoją mamę i wszystko dobrze się skończyło.

Laurel nie odpowiedziała, patrzyła tylko na niego z wściekłością, żalując, że nie przyjechali do szpitala godzinę wcześniej. Mogliby... no właśnie: co? Nie wiedziała, ale miała nadzieję, że może coś by działo.

– Miło mi było cię znowu widzieć, Laurel – powiedział i obejrzał się na mamę. W dalszym ciągu się uśmiechała. – Pani córka jest... – przerwał i wyciągnął rękę w stronę dziewczyny. Próbowała się cofnąć, ale miała za plecami ścianę. Odwróciła twarz, jednak zdołał przesunąć szorstkimi paluchami po jej policzku. – ...śliczna – zakończył.

Kiedy odsunął zasłonę i wyszedł, Laurel wypuściła powietrze i zdała sobie sprawę z tego, że tak mocno ścisnęła dłoń Dawida, że niemal jej nie zgniotła.

– Co on tu robił? – zapytała przez zaciśnięte zęby, nieco drżącym głosem.

Mama wpatrywała się w zasłonkę poruszającą się jeszcze po wyjściu Barnes.

– Co? – zapytała, odwracając się do Laurel i Dawida. – Aaa... – Podeszła do stołu i zaczęła układać papiery w równy stos. – Przyszedł sfinalizować sprzedaż naszej posiadłości w Orick.

– Mamo, obiecałaś mi, że to jeszcze przemyślisz. – Przemyślałam. I, jak się okazuje, postanowiłam mi w tym pomóc – to mówiąc, spojrzała znacząco na córkę. – Od tej chwili proszę przekazywać mi wszystkie wiadomości.

– Dobrze, mamo – powiedziała Laurel cicho, wpatrując się w podłogę.

Mama zaczęła się przyglądać leżącym na stoliku dokumentom, a potem poprawiła i tak już uporządkowany stosik.

– Tak się składa, że postanowiłam nie sprzedawać ziemi, skoro tak bardzo zależało ci na zatrzymaniu jej w rodzinie. – Słyszac to, Laurel poczuła, że jest jeszcze nadzieja. Może wcale nie jest za późno! – Ale teraz nie ma już takiej opcji – dodała

mama i zamilkła na chwilę, a kiedy odezwała się ponownie, jej głos był cichy, napięty. – Zadzwoń do mnie parę dni temu i podwyższ cenę. Musiałam przyjąć taką ofertę – dodała i spojrziała Laurel prosto w oczy.

Dziewczyna pomyślała o tym, że straci i ziemię, i Tamaniego. Poczula ucisk w żołądku, a jej oddech przyspieszył.

– Mamo! Nie możesz tego sprzedać! – krzyknęła przesywanym głosem.

Mama rzuciła krótkie spojrzenie w stronę męża, a następnie zrobiła dwa kroki, podeszła do Laurel i chwyciła ją ponad lokciem. A potem wymaszerowała z sali, ciągnąc córkę za sobą. Silny chwyt miażdżył ramię dziewczyny – jeszcze nigdy mama jej tak nie potraktowała. Weszły do małego pomieszczenia obok sali i mama w końcu puściła jej rękę. Laurel z trudem powstrzymała się przed masowaniem obolałego miejsca.

– Tu nie chodzi o ciebie, Laurel. Nie mogę trzymać czegoś, co jest aż tyle warte, tylko dlatego, że ty to lubisz. Życie nie na tym polega – powiedziała mama z zaciętą miną.

Laurel stała oparta o ścianę. Pozwoliła mamie się wygadać. Przez długie tygodnie była twarda jak skała, ale każdy w końcu załamie się pod wpływem takiego stresu.

– Przepraszam – szepnęła dziewczyna. – Nie powinnam była krzyczeć.

Mama westchnęła, przestała chodzić po pomieszczeniu i spójrzała na córkę. Wyraz jej twarzy łagodniał stopniowo, aż zawziętość przerodziła się w płacz. Mama oparła się o ścianę i ześlizgnęła na podłogę, a lzy żłobiły bruzdy w jej policzkach. Laurel wzięła głęboki oddech i usiadła obok – mama objęła ją w pasie i oparła głowę na jej ramieniu. Dziwnie było tak pocieszać własnego rodzica.

– Boli cię ręka? – zapytała mama cicho, kiedy już przestała płakać.

– Nie – skłamała Laurel.

Mama westchnęła bardzo ciężko.

– Naprawdę nosiłam się z myślą o pozostawieniu domu, ale teraz nie mam już wyboru. Jesteśmy zadłużeni po uszy w szpitalu.

– Nie mamy ubezpieczenia?

– Nie sądziliśmy, że będzie nam potrzebne. – Mama pokręciła głową. – Ale te wszystkie badania i leczenie – to straszne koszty.

– Nie ma innego sposobu?

– Chciałabym, żeby był. Myślałam usilnie, ale nie mam skąd wziąć pieniędzy – albo ziemia, albo księgarnia. Szczerze mówiąc, ziemia jest warta więcej. Pożyczaliśmy w banku tyle, ile się dało, żeby tata mógł tu być tak długo, jak będzie trzeba. Nikt już nam więcej nie pożyczyci. Muszę być rozsądna – powiedziała, odwracając się do Laurel. A prawda jest taka... – zaczęła, ale zamilkła na chwilę, bo do oczu napłynęły jej łzy – że tata może się już nie obudzić. Nigdy. Muszę myśleć o przyszłości, księgarnia to nasze jedyne źródło dochodu. A nawet jeśli tata wyzdrowieje, nie wyjdziemy z długów, dopóki czegoś nie sprzedamy. Wiesz przecież, jak bardzo tata kocha swój sklep... Co mam wybrać twoim zdaniem?

Laurel próbowała odwrócić wzrok od smutnych brązowych oczu mamy, ale nie mogła. Odepchnęła myśli o Tamanim i postanowiła być rozsądna. Zacinęła więc zęby i powoli pokiwała głową.

– Musisz sprzedać ziemię.

Mama podniosła zmizerowaną twarz i popatrzyła na nią poważnym wzrokiem, a potem dotknęła ręką jej policzka.

– Dziękuję, że to rozumiesz. Chciałabym mieć wybór, ale – niestety – nie mam. Jutro rano pan Barnes przywiezie resztę dokumentów, żeby sfinalizować transakcję. Prześle pieniądze w systemie escrow, więc przy odrobinie szczęścia powinniśmy mieć je na koncie w ciągu tygodnia.

– Tygodnia? – powtórzyła Laurel.

To wszystko działo się za szybko.

Mama pokiwała głową w odpowiedzi.

– Dziwnie się zachowywałaś, kiedy on tu był – powiedziała Laurel po chwili wahania. – Byłaś radosna i przytakiwałaś wszystkiemu, co mówił.

– Pewnie nadrabiałam miłą. – Mama wzruszyła ramionami. – Nie chcę, żeby coś popsulo ten interes. Pan Barnes zaferował nam siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów – to wystarczy na pokrycie wszystkich rachunków ze szpitala i jeszcze nam zostanie. Nie wiem, co on wie – westchnęła – ale chcę sprzedać tę ziemię, póki cena jest wysoka.

– Ale podpisałaś wszystko, co on ci podsunął – kontynuowała Laurel. – Nawet tego nie przeczytałaś!

– Wiem. – Mama pokiwała głową z rezygnacją. – Nie mam po prostu czasu. Chcę skorzystać z jego oferty, bo jeśli znowu zacznę się wahać, uzna, że jestem niepoważna, i wycofa propozycję.

– Pewnie masz rację, ale...

– Proszę, Laurel. Już dość. Nie mam siły się z tobą sprzeczać – to mówiąc, chwyciła córkę za rękę. – Musisz zaufać, że robię to, co najlepsze. Okej?

Laurel pokiwała niechętnie głową.

Mama podniosła się i wytarła ślady łez, a potem podała rękę Laurel i przytuliła ją.

– Damy sobie radę – obiecała. – Bez względu na to, co się wydarzy.

Kiedy weszły z powrotem do sali, wzrok Laurel powędrował w stronę krzesła, na którym siedział Barnes. Dziwnie – nigdy wcześniej nie czuła tak silnej niechęci do kogoś, kogo wcale nie знаła. Teraz jednak sama myślała o tym, że mogłaby usiąść na tym samym meblu, napawała ją niepokojem. Podeszła do stolika i podniosła wizytówkę.

Jeremiasz Barnes. Obrót nieruchomościami.

Pod spodem widniał adres. Wszystko wyglądało dość profesjonalnie, ale dla Laurel było to za mało. Wsunęła niepostrzeżenie wizytówkę do kieszeni i podeszła do Dawida.

– Jesteś głodny? – zapytała, patrząc na niego znacząco.

– Nie – Dawid nie zrozumiał.

Podeszła bliżej i chwyciła go za koszulę na plecach.

– Mamo, zabieram Dawida. Postawię mu jakąś kolację. Wrócimy za dwie godziny.

– Jest już po dziewiątej. – Mama podniosła głowę, zaskoczona.

– Dawid jest głodny.

– Bardzo – zgodził się z uśmiechem.

– I przywiózł mnie tutaj, chociaż miał lekcje – dodała Laurel.

Mama przyglądała im się przez chwilę z powątpiewaniem, ale w końcu odwróciła się do taty.

– Tylko omijajcie z daleka szpitalny bufet – ostrzegła.

– Dlaczego musimy to robić? – zapytał Dawid, kiedy już od godziny jeździli po mieście, szukając właściwej ulicy.

– Coś jest nie tak z tym facetem. Ja to czuję.

– No dobrze, ale żeby zakradać się do jego biura i zaglądać mu do okien? To chyba przesada.

– A co mam zrobić? Zadzwoń do niego i zapytać, czy nie zechciałby mi wyjaśnić, dlaczego mnie tak przeraża? Doskonały pomysł.

– Co masz zamiar zrobić, jeśli nas aresztują? – zapytał sarkastycznie.

– Eee tam. Jest ciemno, obejdziemy tylko budynek, zajrzemy w parę okien i upewnimy się, czy nie widać nic podejrzanego. A jeżeli zostawili jakieś otwarte okno, to już nie moja wina.

– Jesteś wariatką.

– Może, ale ty jesteś ze mną – odparła.

Dawid przewrócił oczami.

– To Sea Cliff – powiedziała nagle. – Wylącz światła.

Westchnął, ale zatrzymał samochód i zgasił reflektory. Przeszli na palcach do końca ślepej uliczki i zatrzymali się przed rudą, która wyglądała, jakby miała sto lat.

– To tutaj – szepnęła Laurel, porównując numer z wizytówki z numeracją budynku.

– To w ogóle nie przypomina żadnego biura nieruchomości – powiedział Dawid, przyglądając się wielkiej budowli. – Budynek wygląda na opuszczony.

– Tym lepiej – mniejsza szansa, że ktoś nas przyłapie. Chodź. Dawid otulił się szczelniej kurtką i zaczęli skradać się wzdłuż ściany, zaglądając do okien. Było ciemno, księżyc był w nowiu, ale Laurel i tak czuła się bardzo widoczna w swojej błękitnej koszulce. Żalowała, że nie zabrała z samochodu czarnej wiatrówki – gdyby jednak się cofnęła, mogłaby nie mieć odwagi wrócić.

Budynek był wielki i składał się z kilku mniejszych, a nowsze dobudówki przylegały do jego głównej części niczym przypadkowo doklejone kawałki. Zaglądali w ciemne okna, dostrzegając nieliczne kontury w mrocznych wnętrzach – poza tym dom był pusty.

– To tylko stare meble – zapewnił dziewczynę Dawid. – Ale nie rozumiem, czemu podał ten adres na wizytówce.

– Bo coś ukrywa – odpowiedziała szeptem. – Tak przeczuwałam.

– Laurel, nie sądzisz, że to za poważna sprawa dla nas? Powinniśmy wrócić do szpitala i zadzwonić na policję.

– I co im powiemy? Że facet z biura nieruchomości podał fałszywy adres na wizytówce? Przecież to nie przestępstwo.

– Możemy powiedzieć twojej mamie.

– Mama bardzo chce sprzedać ziemię. – Laurel pokręciła głową. – Widziałeś ją z Barnesem – zupełnie jakby była w transie. Cokolwiek mówił, ona tylko się uśmiechała i potakiwała. Nigdy jej takiej nie widziałam. Kto wie, co ona mu podpisała! – Laurel zajrzała za róg wyjątkowo koślawej dobudówki i przywołała Dawida skinieniem ręki. – Widzę jakieś światło.

Zbliżył się i kucnął obok niej. Rzeczywiście – na końcu budynku widać było małe oświetlone okienko. Laurel zadrzęła.

– Zimno ci?

– Nie. Denerwuję się.

– Może jednak zmienisz zdanie?

– O nie! – powiedziała i ruszyła na czworakach w stronę światła, próbując omijać gałęzie i śmieci. Okno znajdowało się na tyle nisko, że można było przez nie zajrzeć, kłęcząc na ziemi. Przykucnęli po obu jego stronach. Widok przesłaniały żaluzje, ale były mocno wypaczone, więc można było coś dojrzeć. Usłyszeli głosy, ale ponieważ okno było zamknięte, nie byli w stanie rozróżnić słów. Laurel uspokoiła oddech, a potem odwróciła głowę i zajrzała do środka.

Niemal od razu dostrzegła Jeremiasza Barnes'a, jego masywną sylwetkę i dziwną twarz. Mężczyzna siedział przy stole nad papierami, które – jak się domyślała – były umową podpisaną przez mamę. W pomieszczeniu znajdowało się jeszcze dwoje ludzi – stali obok siebie i rzucali strzałkami w ścianę. Jeśli przyjąć, że Barnes był nieatrakcyjny, ci dwaj wyglądali wręcz groteskowo. Skóra zwisała im z twarzy, jakby została źle przymocowana, a ich usta wykrzywiały się w srogim uśmiechu. Twarz jednego stanowiła kalejdoskop blizn i przebarwień i nawet z takiej odległości Laurel widziała, że ma jedno oko praktycznie białe, a drugie niemal czarne. Włosy jego towarzysza były jaskrawoczerwone i porastały głowę dziwnymi kępami, których nawet czapka nie była w stanie całkowicie zasłonić.

– Laurel! – Dawid dał znak, żeby podeszła do okna z jego strony. Schyliła się pod parapetem i zajrzała do pomieszczenia pod innym kątem. – Co to jest, do diabła?

W rogu pokoju znajdowała się przywiązana łańcuchem istota – pół człowiek, pół zwierzę. Jego gęba składała się z powyginanych bryłek ciała posklejanych ze sobą, wydawałoby się – zupełnie przypadkowo. Z szerokiej szczęki wyrastały wielkie, krzywe

APRILYNNE PIKE

zębiska, a nad nimi górowała potworna bulwa, która mogła być nosem. Istota ta miała figurę człowieka; Laurel dostrzegła szczątki ubrań zwisających z ramion i brzucha. Jednak obroża na żyłastej szyi sprawiała, że wyglądała jak dziwne zwierzę. Postać leżała skulona na brudnej macie i najwyraźniej spała.

Laurel wbila paznokcie w parapet i wpatrywała się w śpiącego potwora. I choć jej oddech wyraźnie przyspieszył, nie potrafiła odwrócić wzroku. A kiedy wreszcie uznała, że ma w sobie dość siły, żeby to zrobić, nagle jedno niebieskie oko otworzyło się i spojrzało prosto na nią.

Laurel odskoczyła od okna.

– To coś na mnie spojrzalo!

– Myślisz, że cię zobaczyło?

– Nie wiem. Musimy uciekać. Teraz! – krzyknęła, ale właśnie wtedy usłyszała gardłowe dźwięki dochodzące z pomieszczenia i nogi przyrosły jej do ziemi.

Dwaj mężczyźni zaczęli wrzeszczeć na stworzenie, żeby się zamknęło, ale Barnes uciszył ich słowem, którego nie zrozumiała. Rozległo się ciche zawodzenie, a po kilku sekundach wycie dziwnego potwora ucichło.

Laurel nachyliła się w stronę okna, ale poczuła, że ktoś pociąga ją za bluzkę, więc się odwróciła. To Dawid kręcił głową i pokazywał na samochód.

Zatrzymała się w pół drogi, ale nie była usatysfakcjonowana. Podniosła palec i jeszcze raz rzuciła okiem przez okno.

Jej wzrok napotkał spojrzenie Jeremiasza Barnes'a. Każde jego oko było inne!

– Uciekać! – wysyczała do Dawida i rzuciła się w stronę ulicy.

Nie zdążyła jednak zrobić drugiego kroku, bo za jej plecami rozległ się brzęk szkła i wielka łapa chwyciła ją za szyję, a potem wciągnęła przez okno do ohydneho pomieszczenia. Szorstkie paluchy drapały ją w gardło, a drewniana framuga okna pękła na jej plecach.

Chwilę później leciała przez pomieszczenie. Krzyknęła i uderzyła w ścianę po przeciwległej stronie, aż zawirowało jej w gło-

wie. Jakby z oddali usłyszała jęk Dawida, okazało się jednak, że chłopak uderzył w ścianę tuż obok. Próbowala odzyskać ostrość widzenia, ale całe pomieszczenie wirowało jej przed oczami. Dawid wyciągnął rękę i przygarnął ją do siebie – poczuła, że na ramię kapie jej jego gorąca krew.

W końcu przestało jej się kręcić w głowie i mogła spojrzeć w szyderczą twarz Barnes.

– I kogo my tu mamy? – Mężczyzna uśmiechnął się z okrucieństwem. – Córkę Sary. Hm. Dzisiaj dowiedziałem się o tobie więcej, niż kiedykolwiek chciałem wiedzieć.

Otworzyła usta, żeby się odciąć, ale Dawid ścisnął jej rękę. Czula, że z piekającej rany na plecach cieknie gęsty, syropowaty płyn, i zastanawiała się, ile szkody wyrządziła framuga okna.

Barnes ukucnął obok Laurel i Dawida.

– Co tu robicie? – zapytał cichym, ale rozkazującym głosem.

Laurel czuła, że jej usta otwierają się bezwiednie.

– Musieliśmy... dowiedzieć się... dlaczego... dlaczego... – zaczęła, ale udało jej się odzyskać koncentrację. Zamknęła usta i spojrzała gniewnie na mężczyznę.

– Widzieliśmy, że coś jest nie tak – usłyszała głos Dawida. – Przyjechalіśmy sprawdzić, czy nie uda nam się czegoś znaleźć.

Laurel spojrzała na niego z szeroko otwartymi oczami. Patrzył w jeden punkt i miał nieco zamglony wzrok, podobny do tego, który widziała u mamy zaledwie godzinę wcześniej.

– Dawid! – syknęła.

– A co zamierzaliście zrobić, gdybyście coś znaleźli? – zapytał Barnes tym samym dziwnym, nakazującym tonem.

– Zebrać dowody. Zawiadomić policję.

– Dawid! – krzyknęła Laurel, ale on jej nie słyszał.

– Co was tak zaniepokoiło? – ciągnął Barnes.

Dawid znowu otworzył usta, żeby odpowiedzieć. Laurel uznała, że jest zbyt wiele tajemnic, które mógłby wyjawić – zamknęła

więc oczy, przeprosiła go w myślach i uderzyła w twarz najmocniej, jak potrafiła.

– Kurde! Au! Laurel! – Dawid chwycił się za policzek i zaczął rozciągać szczękę.

Laurel westchnęła z ulgą i ścisnęła jego rękę. Spojrzał na nią, kompletnie zdezorientowany.

– I tak usłyszałem wystarczająco dużo – powiedział Barnes, wstając.

Człowiek o czerwonych włosach uśmiechnął się, ale była to karykatura prawdziwego uśmiechu, grymas, który sprawił, że Laurel przylgnęła do Dawida.

– Połammy im nogi – zasugerował. – Przyda mi się trochę ćwiczeń.

Laurel poczuła, jak Dawid martwieje i zaczyna oddychać szybko i nierówno.

– Nie tutaj – Barnes pokręcił głową. – Ten adres mam na wycytówce. I tak dość tu krwi do posprzątania – to mówiąc, znowu ukucnął i patrzył to na Laurel, to na Dawida.

– Lubicie pływać?

Laurel zmrzyła oczy i spojrzała na niego z wściekłością, ale Dawid ją powstrzymał.

– Myślę, że przyda wam się odświeżająca kąpiel w Chetco – powiedział Barnes, po czym wstał, chwycił Dawida za ramiona i postawił go na nogach.

– Przeszukajcie go.

Dwaj mężczyźni uśmiechnęli się szeroko i zaczęli opróżniać kieszenie Dawida. Wyjęli portfel, kluczyki i puszkę z cukierkami miętowymi. Barnes zabrał kluczyki i rzucił je szramowatemu, a miętusy i portfel wsunął z powrotem do kieszeni chłopaka.

– Żeby gliniarze mogli zidentyfikować wasze ciała, kiedy je znajdą wiosną – powiedział, rechocząc.

Ponieważ Dawid nie mógł powstrzymać Laurel, dziewczyna rzuciła się na Barnes, próbując wydrapać mu paznokciami oczy, pokaleczyć twarz – cokolwiek. Barnes popchnął Dawida do swoich towarzyszy, a sam chwycił ją za ręce i wykręcił je tak, że zaczęła jęczeć z bólu. Przybliżył głowę do jej ucha i poglaskał dziewczynę po twarzy.

– Stój spokojnie, maleńka – szepnął kojąco. – Bo jeśli nie – ciągnął tym samym cukierkowym tonem – wyrwę ci te rączki.

Dawid walczył z napastnikami, krzyczał i próbował wyrwać się do Laurel, ale z podobnym skutkiem.

– Cisz! – pomieszczenie przeszły wściekły wrzask Barnes, odbijający się echem od ścian.

Dawid natychmiast zamilkł.

– Weźcie kluczyki – powiedział Barnes – i jedźcie za park Azalea. Tam wrzucicie ich do rzeki. Tylko nie zapomnijcie ich obciążyć – dodał cynicznie. – Tak, żeby ciało tej małej – kiwnął w stronę Laurel – nie znalazło się czasem przed jutrzejszym rankiem, kiedy ostatecznie podpiszemy umowę. Idealnie byłoby na wiosnę – zaśmiał się – ale to nieważne. Byle nie przed jutrem. Samochód też tam zostawcie. Nie na parkingu – przy jakiejś ścieżce. Nie potrzebuje auta zaginionych dzieciaków przed biurem – powiedział, patrząc na nich z wściekłością. – Wróćcie pieszo, to wam dobrze zrobi.

– Nie ujdzie to panu na sucho – wymamrotała Laurel przez zaciśnięte zęby.

Barnes tylko się zaśmiał. Puścił jej rękę i spojrzał na plamę krwi Dawida na swojej dłoni.

– Co za strata – powiedział, wycierając krew białą chusteczką. – Zabierzcie ich!

Pomocnicy Barnes zawiązali ich razem i wrzucili na tylne siedzenie hondy Dawida.

– Możecie krzyczeć, ile wlezie – powiedział czerwonowłosy z paskudnym uśmiechem. – I tak nikt was nie usłyszy.

Rzeczywiście, nie było sensu krzyczeć.

Kiedy jechali, światła uliczne omiatały wnętrze samochodu – to wystarczyło, by Laurel mogła dostrzec twarz Dawida. Miał zaciśnięte zęby i wyglądał na tak samo przerażonego jak ona, ale nie wrzeszczał.

– Fajnie jest znowu to robić, nie? – odezwał się szramowaty, chyba po raz pierwszy.

W przeciwieństwie do towarzysza miał głęboki, czysty głos – pasujący bardziej do bohatera czarno-białego filmu niż posiadacza takiej zniekształconej twarzy.

– No! – zaśmiał się czerwonowłosy rżącym śmiechem, na dźwięk którego Laurel poczuła ucisk w żołądku. – Miałem już powyżej uszu siedzenia w tym starym magazynie i czekania, aż wydarzy się coś ciekawego.

– Należymy do najlepszych z całej hordy, a Barnes traktuje nas jak przyszcze. Wysła nas, żebyśmy zajęli się dziećmi. Dzieciakami, rozumiesz?!

– Taaa – odparł ten drugi. Przez chwilę milczeli. – Może zerwiemy dzieciaki na kawałki, zamiast topić, co? Od razu zrobiłoby ci się lepiej.

Cichy śmiech tego stworzenia o głosie gwiazdy filmowej wypełnił każdy centymetr w samochodzie. Po plecach Laurel przebiegł dreszcz.

– To mi się podoba – powiedział stwór, po czym odwrócił się, by popatrzeć na Laurel i Dawida z przerażająco spokojnym uśmiechem. Potem westchnął i skupił się z powrotem na drodze. – Ale nie mogą ich odnaleźć przez kilka dni. Kawałki trudniej ukryć, nawet w rzece – dodał i zamilkł na moment. – Lepiej będzie, jeśli wypełnimy rozkaz.

– Laurel? – cichy szepł Dawida odwrócił na sekundę jej uwagę od przerażającej rozmowy.

– Tak?
 – Przepraszam, że nie wierzyłem ci w kwestii Barnes’a.
 – Nie szkodzi.
 – Ale powinienem był ci zaufać. Żałuję, że... – zaczął, ale zamal mu się głos. – Żałuję, że nie udało nam się...
 – Ani mi się waży żegnać! – wyszczała najciszej, jak potrafiła.
 – To jeszcze nie koniec.
 – Nie? – zapytał z rozpaczą. – A co proponujesz?
 – Coś wymyśliłyśmy – szepnęła.
 Rozległo się tykanie kierunkowskazu i samochód zwinął. Laurel słyszała, jak pod kołami chrząści nieutwardzona nawierzchnia, i widziała, że światła uliczne zostają w tyle. Przez kilka minut podskakiwali na wybojach, aż w końcu mężczyźni zatrzymali się i otworzyli drzwi.
 – Czas działać – odezwał się szramowaty. Jego twarz przypominała kamienną maskę.
 – Przecież nie musicie tego robić – powiedział Dawid. – Będziemy milczeć. Nikt się...
 – Ciii... – powiedział czerwonowłosy i zaslonił ręką usta Dawida. – Posłuchajcie. Słyszycie?
 Laurel zamarła. Usłyszała świergot paru ptaków i cykanie świerszczy, ale przede wszystkim jej uszu dobiegł szum rzeki Chetco.
 – To dźwięk waszej przyszłości, która za chwilę poniesie was na swoich falach. Chodźcie – powiedział i postawił Dawida na nogi. – Macie ważne spotkanie, nie chcemy, żebyście się spóźnili.
 Mężczyźni popchnęli jeńców ciemną ścieżką, a jeden z nich zaczął śpiewać ochryple, strasznie fałszując, jakąś piosenkę o nurcie rzeki. Laurel skrzywiła się, kiedy znowu uderzyła palcem o kamień, i po raz pierwszy w życiu pożałowała, że nie ma na sobie porządnych butów zamiast kłapek na bosych stopach.

Drzewa przeredziły się i po chwili stanęły nad brzegiem rzeki. Laurel wstrzymała oddech na widok białej piany na rwących progach rzecznych. Szramowaty popchnął ją na ziemię.
 – Siedźcie tu – warknął. – Zaraz wracamy.
 Laurel nie miała wolnych rąk, żeby się podeprzeć, więc upadła na brzuch: wylądowała policzkiem w ciemnym, wilgotnym błocie. Dawid runął tuż obok – dopiero wtedy zrozumiała, jak beznadziejna jest ich sytuacja. To wszystko była jej wina, ale jak można przeprosić kogoś za to, że za chwilę zostanie zabity?
 – Nie myślałem, że to się tak skończy – szepnęła Dawid.
 – Ja też nie – powiedziała. – Zginąć z rąk... jak myślisz, kim oni są? To chyba... chyba nie są ludzie. Żaden z nich. Nawet Barnes.
 – Muszę przyznać ci rację – westchnął.
 Przez chwilę milczeli.
 – Jak myślisz, jak długo to potrwa? – zapytała, wpatrując się w spieniony nurt.
 – Nie wiem. – Pokręcił głową. – A na jak długo możesz wstrzymać oddech? – zapytał i zaśmiał się ponuro. – Na dużo dłużej niż ja – dodał już bez śmiechu, wzdychając.
 Laurel potrzebowała dwóch sekund, żeby dodać do siebie wszystkie swoje myśli.
 – Dawid! – powiedziała, czując, że być może jest jeszcze jakaś nadzieja. – Pamiętasz ten eksperyment? U ciebie w domu? – Usłyszała pomruk wracających mężczyźni. – Dawid, wciągnij jak najwięcej powietrza – szepnęła.
 Ich oprawcy nieśli jakieś glazy i śpiewali piosenkę, której Laurel nie знаła. Zwiążali jeszcze dokładniej jej ręce, a potem poczuła, jak szramowaty sprawdza wagę kamienia wielkości dużej piłki plażowej.
 Po kilku minutach to samo spotkało Dawida.
 – Gotów? – zapytał swojego towarzysza szramowaty.
 Laurel popatrzyła na rzekę. Było do niej co najmniej trzysta metrów: mieli tam iść z tymi kamieniami czy co? Szramowaty jak

gdym wyczuł jej pytanie, bo chwycił ją pod jedną pachę, a kamień pod drugą, jakby nie ważyli razem więcej niż kilogram. Czerwonowłosy tak samo podniósł Dawida. Zanim zdążyła się nad czymkolwiek zastanowić, szramowaty wyrzucił ją w powietrze. Zimny wiatr owiał jej twarz; poleciała wysoko, krzycząc, a potem zaczęła spadać wprost do rzeki. W ostatniej chwili złapała powietrze, a potem kamień chlupnął do wody i pociągnął ją w stronę dna.

Woda klula ją niczym lodowate igielki, a wokół niej zapanaowała huczająca ciemność. Otworzyła oczy i próbowała nasłuchiwać, czy nie ma gdzieś Dawida. Przywiązany do niego kamień przeleciał tuż obok jej głowy i zniknął w błotnistych czeluściach. Kiedy zobaczyła Dawida, podpłynęła bliżej, choć kamień szarpał jej ręce, i otoczyła go w pasie nogami. Miała nadzieję, że przed upadkiem zdąży wziąć duży haust powietrza.

Po kilku sekundach kamienie uderzyły głucho o dno rzeki. Laurel spojrzała do góry, ale nie widać było nawet odrobiny światła. Dostrzegła tylko jasny zarys Dawida, jednak nawet nie była w stanie ocenić, czy chłopak jest przytomny. Zaczęła szukać w ciemności jego ust – poczuła wielką ulgę, kiedy poruszył głowę. Dotknęli się ustami i Laurel dokładnie objęła jego wargi swoimi, a potem powoli wypuściła powietrze. Dawid przez chwilę wstrzymywał oddech, po czym wdmuchnął powietrze do jej ust. Z nadzieją, że chłopak zrozumie jej motyw, odsunęła się i zaczęła wiercić, próbując poluzować więzy.

Woda była lodowata, a Laurel wiedziała, że musi działać bardzo szybko. Przede wszystkim powinna jakoś przelożyć ręce do przodu – bez tego nie uda jej się nawet podpląć do Dawida, żeby znowu wypuścić powietrze do jego ust. Pochyliła się do przodu: chciała opuścić ręce w dół pleców i przelożyć je pod nogami, ale nie potrafiła wygiąć się aż tak mocno. Spróbowała raz jeszcze, aż sznury poprzecierały jej skórę na nadgarstkach; wiedziała, że Dawid nie wstrzyma oddechu przez tak długi czas. Bolał ją kręgosłup, ale cały czas starała się wygiąć jeszcze bardziej.

Całe ciało buntowało się przed takim wysiłkiem, ale w końcu udało jej się sięgnąć kolan i uwolniła nogi. Natychmiast podpłynęła do Dawida, przelożyła ręce przez jego szyję i przycisnęła wargi do ust chłopaka. Kilka razy z rzędu wdechali i wydychali powietrze, jakby próbując zastanowić się, co dalej. Laurel wypuściła dużo powietrza do płuc Dawida i znowu się rozdzieliłi. Pociągnęła za sznur, którym była uwiązana do kamienia, a kiedy znalazła się na dnie rzeki, zaczęła je obmacywać w poszukiwaniu czegoś ostrego.

Rzeka płynęła jednak zbyt szybko – cokolwiek miało kiedyś ostre krawędzie, zostało obmyte przez wodę i stało się idealnie gładkie i śliskie. Dała się ponieść nurtowi do Dawida, znowu wymienili kilka oddechów, a potem Laurel popłynęła ku dnu, trzymając się sznura chłopaka. Mocowała się z węzłem przy kamieniu, aż wreszcie powoli zaczęła wyciągać jeden z końców sznura.

Po kilku próbach znowu podpłynęła do Dawida. Za wszelką cenę próbował przelożyć ręce do przodu, ale nie był tak giętki i nic mu się nie udawało. Wtłoczyła mu powietrze do płuc, a on wziął głęboki oddech i znowu zaczął próbować. Bezskutecznie. Laurel zacisnęła zęby: wszystko będzie musiało zrobić sama. Powoli płynęła w dół, wzdłuż sznura.

Jeszcze trzy razy wracała, żeby wymienić się z Dawidem oddechami, aż w końcu udało jej się rozplątać węzeł. Sznur był jednak przyciśnięty do dna potężnym kamieniem. Zaparła się nogami o dno rzeki: próbowała przesunąć głaz i uwolnić sznur, ale się poślizgnęła. Bez wahania zrzuciła z nogi kłapek, który cudem przeżył nurkowanie. Palcami nóg wyszukała załomy wśród kamieni, żeby zyskać lepszy punkt oparcia, i napaarla na kamień – żeby go przesunąć choć o kilka centymetrów! Poczuła, że drgnął, więc popchnęła jeszcze mocniej. Głaz nagle ruszył z miejsca, a ona poślizgnęła się i popłynęła, niesiona szybkim nurtem, dopóki sznur nie napiął się, szarpiąc ją gwałtownie za ręce.

Tuż obok niej pojawił się Dawid, całkowicie bezwolny w porywającym nurcie, i przepłynął obok, zanim zdążyła cokolwiek zrobić. W ułamku sekundy straciła go z oczu i tylko delikatne bąbelki powietrza unoszące się w wodzie świadczyły o jego obecności.

Dawid odplynał, a ona poczuła się jak idiotka. Mogła to lepiej zaplanować. Wpatrywała się z rozpaczą w mroczną ciemność i zastanawiała, ile czasu minęło od ostatniej wymiany oddechów.

Zaczęła ją ogarniać panika, więc postanowiła odpędzić złe myśli. Brak powietrza powodował klucie w piersiach, ale zdecydowanie bardziej doskwierały jej inne dolegliwości.

Miała poranione stopy od odpychania kamienia, do którego był przywiązany Dawid, i obtarte nadgarstki, w które wrzynały się sznury.

Zamknęła oczy i przez chwilę myślała o rodzicach, dzięki czemu odzyskała namiastkę spokoju. Nie pozwoli, żeby mama straciła wszystkich swoich bliskich. Stopniowo przesuwając ręce w dół liny, zsunęła się na dno rzeki. Udało jej się uwolnić Dawida, to była nadzieja także dla niej. Jednak palce zeszywniały jej z zimna, a do tego szramowaty bardziej się przyłożył do węzła niż jego towarzysz, więc miała większe trudności z rozplątaniem sznura. Kiedy jej się w końcu udało, w piersiach czuła potworny ból, jakiego dotąd nie знаła.

Ale najgorsze było jeszcze przed nią.

Znalazła oparcie dla stóp i popchnęła kamień, modląc się, by dał się przesunąć.

Jednak głaz nawet nie drgnął.

Zakłęła w myślach. Mimo wszechobecnej wody tzy napłynęły jej do oczu. Straciła kilka cennych sekund na przesunięcie mniejszych kamieni blokujących sznur, a potem zaparła się znowu obolałymi stopami. Popchnęła najmocniej, jak potrafiła, i kiedy przed oczami zaczęło jej się już robić ciemno, skała wreszcie ruszyła. Zmieniła ułożenie rąk i napała jeszcze raz, wypuszczając

jąc resztki powietrza z płuc. Głaz przesunął się o centymetr. A potem o jeszcze jeden i jeszcze.

Nagle nurt porwał ją niczym szmacianą lalkę i zupełnie nie wiedziała, gdzie jest dno, a gdzie powierzchnia. Kopała zawzięcie, próbując zorientować się w swoim położeniu, aż jej palec uderzył o skalę. Poczuła potworny ból, ale zmusiła się do tego, by odepchnąć się od kamieni i popłynąć do góry. Kiedy już myślała, że nie wytrzyma ani sekundy dłużej, jej twarz wydoستاła się na powierzchnię: gwałtownie zaczerpnęła haust powietrza.

Prąd nadal niósł ją w dół rzeki i chociaż próbowała wydoستاć się z wody, to nie miała już na nic siły. Poczuła grunt pod nogami, ale nie była w stanie wstać. Woda zmiotła ją znowu, uderzyła o kamienie.

Nagle jakiś cień zamajaczył jej nad głową i wepchnął na chwilę do wody. Jęknęła, sądząc, że odnalazły ją te kreatury, by dokończyć to, co zaczęły. Jednak coś chwyciło ją w pasie i poniosło – z dala od wody, z dala od nieprzyjaznych skal.

– Mam cię – usłyszała przy uchu głos Dawida, wyciszony szumem rzeki. Ręce miał nadal związane, ale mimo to zdołał ją objąć w pasie i powoli wyciągnął na brzeg. Puścił ją jakiś metr od wody i sam opadł obok. Leżeli, dysząc. Dawid okropnie szczękał zębami. – Dzięki Bogu – powiedział w końcu.

Minęło kilka minut, zanim którekolwiek z nich zdołało się poruszyć. Dawid trząsał się cały z zimna.

– Myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę – powiedział, wyplątując ręce z objęć. – Od momentu, w którym udało mi się przełożyć ręce do przodu i spojrzeć na zegarek, byłaś pod wodą prawie piętnaście minut.

Piętnaście minut! Laurel dziękowała Bogu, że najpierw uwolniła Dawida. On nie żyłby już po pięciu minutach.

– Jak wytrzymałaś się na brzeg?

– Dzięki ogromnemu uporowi. – Uśmiechnął się blade. – Nie wiedziałem, czy uda mi się przeżyć, ale cały czas machałem nogami i kiedy się dało, łapałem oddech, aż w końcu wytrzymałem się na płyciznę – wyjaśnił i przesunął się bliżej – tak że się stykali ramionami. – Nie miałem pojęcia, gdzie jesteś, nie byłem w stanie dojrzeć, czy nadal tkwisz przywiązana do kamienia, bo woda jest zbyt ciemna. Po prostu chodziłem po brzegu w tę i w tę, wypatrując ciebie.

– A gdyby tu czekały te dwa potwory? – jęknęła.

– Trudno, musiałem zaryzykować – powiedział cicho.

Jego ciałem wstrząsnął gwałtowny dreszcz, więc Laurel podniosła się na nogi. Z trudem.

– Musisz się ogrzać – powiedziała. – Dostaniesz hipotermii po takim wyziębieniu.

– A ty? Byłaś w wodzie znacznie dłużej.

Skrzydła Laurel

– Przecież ja nie jestem ciepłokrwista – powiedziała. – Chodź, poszukamy czegoś ostrego, żeby przeciąć sznury – dodała i zaczęła obmacywać ziemię.

– Nie. Lepiej wracajmy do samochodu. Mam tam nóż, tak będzie szybciej.

– Myślisz, że znajdziemy twoje auto?

– Lepiej, żeby tak było – w przeciwnym razie uratowalibyśmy się z tej wody na próżno.

Przez kilka minut człapali z trudem w górę rzeki, aż wreszcie okolica zaczęła wyglądać znajomo.

– Tutaj – powiedziała Laurel, pokazując na ziemię. Zobaczyła leżący na brzegu biały kłapek, którego czubek obmywała rzeka. – Musiałam go zgubić, kiedy ten szramowaty mnie podniósł. Dawid zatrzymał się i wpatrywał w zgubiony but.

– Jak oni to zrobili, Laurel? Przecież on mnie podniósł jedną ręką!

– Mnie też – potwierdziła. Uznała, że nie powie mu, jak ciężkie były kamienie. – Samochód stoi chyba tam – wskazała głową. Marzyła o tym, żeby odejść jak najdalej od rzeki i nigdy już tu nie wracać.

– Chcesz? – zapytał, schylając się, żeby podnieść kłapek.

Ścisnęła ją w żołądku, kiedy spojrzała na zdarty biały but – nie mogła znieść myśli, że miałaby go znowu włożyć.

– Nie – powiedziała zdecydowanie. – Wyrzuć to.

Noc była ciemna, bezksiężycowa, więc z trudem znajdowali drogę. Dwukrotnie musieli zawrócić, ale w końcu, po półgodzinie, Dawid klęczał przy samochodzie – szukał zapasowego kluczyka w nadkolu.

– Pomyśleć, że krytykowałem mamę za ten pomysł – powiedział, szczerkając zębami. – Zapewniła mnie, że jeszcze będę jej za to wdzięczny. – Wyciągnął srebrny kluczyk drżącymi rękoma. – Ale chyba nie taką sytuację miała na myśli – dodał, po czym włożył kluczyk do zamka. Westchnęli oboje, kiedy podniosła się

kłapa bagażnika. – Jak wrócę do domu, kupię jej kwiaty – obiecał. – I czekoladki.

Dawid zaczął się mocować z apteczką i po chwili wyciągnął mały scyzoryk. Przecięcie grubych sznurów zabrało im co prawda kilka minut, ale na pewno było lepsze niż użycie ostrego kamienia. Dawid przekręcił kluczyk w stacyjce i maksymalnie podkręcił ogrzewanie. Usiedli na przednich siedzeniach i podkładali ręce pod wywietrzniki, próbując choć trochę się ogrzać i podsużyć mokre ubranie.

– Powinieneś zdjąć koszulę i włożyć moją kurtkę – powiedziała. – To tylko cienka wiatrówka, ale za to sucha.

– Nie mogę. – Potrząsnął głową. – Tobie jest tak samo potrzebna.

– Mój organizm przystosowuje się do każdej temperatury – zawsze tak było. To ty musisz się ogrzać – powiedziała.

Widziała, jak rycerska natura walczy z rozpaczliwym pragnieniem, żeby się rozgrzać. Przewróciła oczami i sięgnęła na tylne siedzenie po kurtkę.

– Wkładaj – zarządziła.

Zawahał się, ale w końcu ściągnął przemoczoną koszulę i włożył jej wiatrówkę.

– Będziesz mógł prowadzić?

– Dojadę do najbliższego komisariatu policji. Pasuje?

– Nie możemy jechać na policję. – Laurel zatrzymała Dawida, kładąc dłoń na jego ręce, którą trzymał dźwignię zmiany biegów.

– Dlaczego? Przecież oni próbowali nas zabić! Od tego właśnie jest policja.

– Policja nie da sobie z tym rady. Już zapomniałeś, że cisnęli nas do wody, jakbyśmy ważyli tyle co piórko? Jak myślisz, co zrobią paru gliniarzom?

Dawid wpatrywał się w milczeniu w licznik.

– To nie są ludzie, Dawid. I dlatego każdy człowiek, który spróbuje ich powstrzymać, może zginąć.

– Więc co? – zapytał ostrym tonem. – Mamy ich zignorować? Wrócić do domu z podkulonymi ogonami?

– Nie – odpowiedziała cicho. – Pojedziemy do Tamaniego.

Kiedy Laurel minęła granicę lasu i poczuła, że dokola roztacza się jego kojąca atmosfera, pocięły jej lzy ulgi. Odgarnęła potargane włosy z twarzy i próbowała je bezskutecznie rozczesać palcami. Szła, kulejąc, ciemną ścieżką w stronę strumienia. Była tak wyczerpana, że ledwo stawiała jedną posiniaczoną nogę za drugą.

– Tamani? – zawołała cicho. W nieruchomym mroku jej głos brzmiał nienaturalnie głośno. – Tamani? Potrzebuję pomocy.

Zrównał się z nią tak cicho, że nie zauważyła go, dopóki się nie odezwał.

– Rozumiem, że ten chłopak w samochodzie to Dawid?

Zatrzymała się i niemal pochłonęła go wzrokiem. Tym razem nie miał na sobie zbroi, ale czarną koszulę z długim rękawem i wąskie spodnie – strój, który zlewał się z otoczeniem. Noc była tak ciemna, że widziała tylko zarys jego twarzy, delikatnej i niezwykle przystojnej. Miała ochotę rzucić mu się w ramiona, ale się powstrzymała.

– Tak, to Dawid.

– Po co go tu zabrałaś? – Tamani spojrzal na nią łagodnie, ale wyczekująco.

– Nie miałam wyboru.

Tamani uniósł jedną brew.

– Dobrze, że chociaż kazałaś mu zostać w samochodzie.

– Staram się. Tylko dzięki niemu mogłam tu dzisiaj przyjechać.

Tamani westchnął i obejrzał się na ścieżkę, która prowadziła do auta Dawida.

– Muszę przyznać, że po prostu cieszę się, że cię widzę. Ale dzisiaj las jest pełen wróżek – to nie jest dobra pora.

– Dlaczego tyle tu wróżek?

– Ostatnio... ostatnio miały tu miejsce różne... wrogie działania. Nie jesteśmy pewni dlaczego. Tylko tyle mogę ci powiedzieć – dodał i rzucił krótkie spojrzenie za siebie. – Chodźmy głębiej – powiedział, chwytając ją za rękę.

Przy pierwszym kroku poczuła przeszywający ból, bo patyk wbił się w jej poranioną stopę.

– Zatrzymaj się, proszę – zabrzmiało zduszone błaganie, ale Laurel tyle przeszła tego wieczoru, że nie odczuwała już zakłopotania.

Lzy zaczęły płynąć jej po twarzy. Tamani zatrzymał się i obrócił.

– Co się stało?

Kiedy już pociekły pierwsze łzy, Laurel nie potrafiła zahamować płaczu. Przerazenie i stres zalały ją tak samo odczuwalnie, jak wcześniej wody rzeki Chetco. Dziewczyna z trudem łapała oddech.

Tamani objął ją mocno i przytulił do piersi, ciepłej mimo nocnego chłodu. Gładził ją po plecach, dopóki nie dotknął skóry przeciętej framugą okna i Laurel nie jęknęła.

– Co ci się stało? – szepnął jej do ucha, głaszcząc włosy.

Laurel chwyciła go za koszulę, próbując utrzymać równowagę. Nachylił się, podniósł ją z obolałych nóg i przytulił do siebie. Zamknęła oczy, zahipnotyzowana rytmem jego kroków, zupełnie bezszelestnych. Po kilku minutach Tamani zatrzymał się i położył ją na miękkiej trawie.

Rozbłysła iskra, a Tamani zaświecił coś, co wyglądało jak mosiężna kula. W setkach malefikich otworów pojawiło się światło, wypełniające polankę delikatną poświatą. Tamani zsunął plecak z ramion i ukląkł obok Laurel. Bez słowa chwycił ją pal-

cem pod brodą i obrócił jej twarz raz w jedną, raz w drugą stronę. Potem obejrzał dokładnie ręce i nogi dziewczyny, mrucząc coś cicho na widok zadrapań i skaleczeń. Delikatnie położył sobie na udach jej stopę i po chwili poczuła znajomy zapach lawendy i jagodlinu – ziół, które wtarł w jej zranione podeszwy. Najpierw zaswedziało ją, potem przez chwilę piekło, aż wreszcie poczuła, jak słabnie palący ból.

– Jesteś jeszcze gdzieś ranna? – zapytał, kiedy opatrzył wszystkie widoczne zranienia.

– Na plecach – powiedziała.

Przewróciła się na bok i podniosła koszulkę.

Tamani cicho gwizdnął.

– Paskudnie to wygląda. Będę musiał to zabandażować.

– Będzie bolało? – zapytała.

Ciepło bijące od świecącej kuli zdawało się otaczać całe jej ciało.

– Nie, ale musisz uważać na siebie przez kilka dni, zanim się nie zrośniesz.

Pokiwała głową i oparła policzek na ramieniu.

– Gdzie tak się załatwiłaś, Laurel? – zapytał, gdy jego delikatne palce opatrzywały głęboką ranę. – Zwykle wróżki nie są niezdarne.

Laurel próbowała wyjaśnić, co się stało, ale miała wrażenie, że jej język zrobił się sztywny.

– Próbowali nas zabić. Dawida i mnie.

– Kto? – zapytał cicho, choć w jego głosie słychać było napięcie.

– Nie wiem. Brzydale, chyba nie ludzie. Ci, którzy przekonali mamę, żeby sprzedała ziemię.

– Brzydale?

Laurel kiwnęła głową. Zamknęła oczy i bełkotiwie opowiedziała Tamaniemu o tacie i Jeremiaszu Barnesie.

– Toksynę? – zapytał w końcu Tamani.

Powieki Laurel robiły się coraz cięższe, a głos Tamaniego zdawał się dobiegać gdzieś z oddali.

– Jutro mają podpisać dokumenty – szepnęła z trudem, próbując przekazać najważniejszą wiadomość.

Czuła mrowienie na skórze, jakby leżała właśnie w promieniach słońca. Kilka chwil później objęły ją silne ramiona. Przywarła do nich mocno, a Tamani oparł się policzkiem o jej włosy.

– Śpij, Laurel – wyszeptał. – Nie pozwolę, żeby ktokolwiek cię skrzywdził.

– D-dawid czeka...

– Nie martw się. – Poglaskał ją po ręce. – On też śpi. Shar go pilnuje. Oboje potrzebujecie odpoczynku.

Laurel tylko kiwnęła głową, oparła się o pierś Tamaniego i odplynęła w sen.

Czyjeś palce delikatnie gładziły ją po włosach – przeciągnęła się, przewróciła na plecy i otworzyła oczy. Od razu napotkała wzrok Tamaniego.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem i usiadł obok.

Uśmiechnęła się, a potem spojrziała na niebo pełne gwiazd i małą lampkę zwisającą z gałęzi.

– A już jest dzień? – zapytała.

Tamani zaczął się śmiać.

– Bardzo wczesny, ale myślę, że tak.

– Spaleś?

– Zbyt wiele do zrobienia – odparł i pokręcił głową.

– Ale...

– Nie szkodzi. Bywało gorzej – powiedział. Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Czas ruszać.

– Ruszać dokąd?

– Zając się trollami, zanim wykończą twojego ojca.

– Trollami? – Laurel była pewna, że się przesłyszała. To z pewnością dlatego, że zbyt gwałtownie usiadła. – Mojego ojca? Potrafisz mu pomóc?

– Nie wiem – przyznał. – Ale to i tak nie ma znaczenia, dopóki nie zajmemy się trollami. Wychodź, Shar – powiedział, przekrzywiając głowę. – Wiem, że słuchasz.

Za drzewa, które – Laurel mogła przysiąc – wydawało się zbyt małe, by kogokolwiek zasłonić, cicho wyszedł mężczyzna. Miał tak samo pewny krok jak Tamani i podobnie zielone oczy. Jego włosy także były zielone u nasady, poza tym miały jasny kolor i były długie, związane z tyłu. Twarz o idealnych rysach była jednak nieco bardziej kanciasta niż u Tamaniego. Był też wyższy – prawie tak samo wysoki jak Dawid, miał długie, szczupłe nogi i ręce, szerokie ramiona i pierś.

– Laurel – Shar, Shar – Laurel – Tamani przedstawił ich sobie, nie spoglądając nawet na kolegę.

Laurel wpatrywała się w przybysza szeroko otwartymi oczami, ale Shar tylko skinął głową i skrzyżował ręce na piersi. Opierał się o drzewo, zza którego przed chwilą się wysunął, by przyслуchiwać się rozmowie.

– Powinienem był się domyślić, że to trolle chcą kupić tę ziemię. Sądząc z twojego opisu, to na pewno one. Musimy się nimi zająć, zanim dokumenty zostaną podpisane.

– Trolle? Prawdziwe? Mówisz poważnie? A po co trollom... ta ziemia? Dlatego że wy tu mieszkacie?

Tamani obejrzał się przez ramię na Shara, a potem odpowiedział na pytanie Laurel.

– Nie. To dlatego, że tu jest brama.

– Brama?

– Tamani, za dużo mówisz – skarcił go Shar.

Tamani obrócił się gwałtownie.

– Dlaczego? Nie sądzisz, że kto jak kto, ale Laurel ma prawo wiedzieć?

– Nie ty podejmujesz decyzję. To nie jest twoja osobista sprawa.

– To jest moja osobista sprawa – powiedział gorzko Tamani. – I zawsze była.

– Trzymajmy się planu – nalegał Shar.

– Od dwunastu lat to robię. Ale trolle, które już prawie kupily tę ziemię i niemal zaprzępaściły całą naszą pracę, też nie należą do planu – powiedział, po czym zamilkł i spojrzal gniewnie na towarzysza. – Pozmieniało się, a ona musi wiedzieć, o co toczy się gra.

– Królowa nie będzie zadowolona.

– Królowa przez większość swoich rządów unieszczęśliwiała mnie, może czas, żeby role się odwróciły.

– Ufam ci, Tamani, ale wiesz, że nie mogę cię kryć.

Minęła dłuższa chwila, przez którą mierzyli się wzajemnie wzrokiem.

– Trudno – powiedział Tamani i odwrócił się do Laurel. – Powiedziałem ci kiedyś, że strzegę czegoś bardzo ważnego. To nie jest coś, co można zabrać i przenieść w inne miejsce – dlatego ta ziemia jest tak cenna. To brama do królestwa. Wejście do Avalonu.

– Do Avalonu? – szepnęła Laurel.

Tamani skinął głową.

– Na całym świecie są tylko cztery takie bramy. Setki lat temu wszystkie były otwarte – ich położenie było owiane tajemnicą, a wejścia pilnowali strażnicy, ale i tak zbyt wiele osób o nich wiedziało. Od samego początku trolle próbowały przejąć Avalon. To idealne miejsce na ziemi, o pięknej przyrodzie i licznych bogactwach. Złoto i diamenty są tu tak powszechne jak patyki i kamienie. Dla nas one nic nie znaczą, stanowią jedynie ozdobę. – Uśmiechnął się. – Po prostu lubimy błyskotki.

Laurel zaśmiała się, bo przypomniała sobie szkiełka, które kiedyś powiesiła na oknie.

– Myślałam, że tylko ja je lubię – powiedziała.

– Każda wróżka je lubi. – Znów się uśmiechnął. – Trolle zawsze próbowały dostać się do świata ludzi dzięki pieniądзом. Niektóre z nich przez całe życie szukały skarbów, a Avalon to zbyt cenne miejsce, żeby z niego zrezygnowały. Przez stulecia nasze królestwo było areną walk i zniszczeń – trolle próbowały przejąć władzę, a wróżki zaciekle broniły swoich domów. Wszystko zmieniło się w czasie panowania króla Artura.

– Króla Artura? Tego króla Artura? Nabierasz mnie!

– Skądże. Ale, jak już wiesz, ludzie zawsze przedstawiają wszystko błędnie. Powiem ci tak: jeśli chcesz, żeby coś pozostało tajemnicą, opowiedz to ludziom. Pomieszają wszystko tak, że za sto lat nikt już nie będzie wiedział, co jest prawdą, a co mitem.

– Obrazilabym się, gdyby nie to, że sama mogłam się o tym przekonać.

Tamani wzruszył ramionami.

– Co zrobił król Artur?

– Nie tyle on, ile jego nadworny czarodziej Merlin. Artur, Merlin i Oberon...

– Oberon? Ten od Szekspira?

– Szekspir był jedynie pierwszą osobą, która go opisała dla potomnych, ale tak – król Oberon. Razem z królem Arturem i czarodziejem Merline Oberon stworzył pełen magii miecz – każdy, kto nim walczył, wygrywał.

– Ekskalibur – szepnęła Laurel.

– Właśnie. Oberon, Merlin i Artur stanęli na czele największej armii w historii Avalonu i wygrali bitwę z trollami. Wróżki, król Artur i jego rycerze, Merlin i jego trzy kochanki, no i sam Oberon. Trolle nie miały żadnych szans. Wróżki uwolniły Avalon, a Oberon utworzył bramy, które miały chronić królestwo przed powrotem trolli. Nawet dla zimowej wróżki był to potężny wysiłek – żadna roślina nie mogła tego przeżyć. Największy władca w historii wróżek oddał swoje życie, żeby stworzyć bramę, której strzegę.

– To niesamowite – powiedziała Laurel.
 – To twoja historia. Twoje dziedzictwo.
 Stojący z tyłu Shar burknął coś pod nosem, ale Tamani go zignorował.
 – To dlatego tak ważne jest, żeby ta ziemia nie wpadła w łapy trolli. Nikt nie zniszczy wejść do królestwa – ale można zniszczyć bramy. A jeśli tak się stanie, Avalon będzie otwarty dla wszystkich. Nasza ojczyzna znowu stanie się polem walk i miejscem zniszczeń. Wiemy, jak okrutną zemstę trolle zgotowały zamkowi Camelot, możemy się tylko domyślać, że podobny los czekałby Avalon.
 – Ale dlaczego akurat teraz? Przecież moja mama od lat próbuje sprzedać tę ziemię. Mogli ją kupić już dawno temu.
 – Nie wiemy. Szczerze mówiąc, boję się odpowiedzi. Trolle nienawidzą przegrywać. Może zebrała się ich naprawdę spora grupa. Może... może... – westchnął. – Nie mam pojęcia. Ale mają jakąś tajemnicę i uważają, że to daje im przewagę. Dopóki się nie dowiemy, co to za sekret, możemy nie mieć szans – westchnął. – Sądziliśmy, że oni nie mają pojęcia, gdzie jest brama.
 – Przecież mówileś, że próbowali dostać się do Avalonu od czasu zbudowania bram.
 – Powiedzmy, że ci, którzy dostali się do środka, rzadko wychodzą stamtąd żywi. Podejrzewaliśmy, że ci, którzy przeżyli, orientują się mniej więcej, gdzie jest wejście, i mogą przekazać tę informację dalej, ale do tej pory nie udawało im się odtworzyć dokładnego położenia.
 – Co będzie, jeśli znajdą wejście?
 – Zabijemy ich. Po to tu jesteśmy. Ale nie to jest najgorsze: jeśli trolle kupią tę ziemię, mogą przysłać tu potężną brygadę, by realizować jakiś wymyślony projekt budowlany. Bramy są co prawda mocne, ale niestety nie niezniszczalne. Parę spychaczy plus ładunki wybuchowe mogłyby je zburzyć. W najlepszym wypadku o wejściu dowiedzą się wszyscy ci, którzy chcieliby je znaleźć.

– Powiedziałeś, że to oni maczali palce w chorobie mojego taty? – wyszeptala.
 Tamani patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a oczy błyszczały mu od gniewu.
 – Tak sądzę. I myślę, że z powodu tej trucizny...
 Shar odchrząknął i spojrzał na Laurel.
 – Tamani uwielbia gadać, ale na pewno zgodzisz się ze mną, że mamy mało czasu.
 Tamani przygryzł wargi i spojrzał na niebo.
 – Za długo rozmawiamy – przyznał. – Musimy iść. Trzeba ich złapać, kiedy niebo zacznie różowieć.
 – Dlaczego?
 – Trolle to nocne stworzenia: wolą spać, kiedy świeci słońce. Jeśli złapiemy ich pod koniec ich aktywności, będą zmęczone i słabsze.
 Laurel skinęła głową. Przeciągnęła się raz jeszcze i niechętnie podniosła, ostrożnie stawiając ciężar ciała na nogach. Była zaskoczona, że nie czuje bólu. Nie była zmęczona ani ociężała, ale raczej rześka.
 – Jak to zrobiłeś? – zapytała.
 Tamani uśmiechnął się i pokazał na lampkę.
 – Powiedziałeś, że chciałabyś zobaczyć magię.
 – Jak to działa? – Laurel popatrzyła na mosiężną kulę.
 – Jak sztuczne światło słoneczne. Pozwala organizmowi regenerować się tak jak w promieniach prawdziwego słońca. Nie można korzystać z tej lampki zbyt często, bo komórki się uodparniają, ale przydaje się w nagłych sytuacjach. Poza tym – dodał, szukając czegoś w plecaku – na pewno przyda ci się to – to mówiąc, wyjął parę miękkich mokasyń, niemal identycznych z tymi, które miał na nogach.
 Kiedy Laurel wiazała sznurowadła, Shar zrobił krok do przodu i położył rękę na ramieniu Tamaniego.

APRILYNNE PIKE

– Powodzenia – powiedział. – Wezwałem już posiłki, powinny tu być w ciągu godziny.

– Mam nadzieję, że nie będą potrzebne – odparł Tamani.

– Jeśli to rzeczywiścietrolle i wiedzą tyle, ile podejrzewamy, myślę, że potrzeba nam tu będzie o wiele więcej strażników.

– A to już coś, jeśli weźmiemy pod uwagę ich liczbę w ciągu ostatnich tygodni – powiedział Tamani z ironią.

– Jesteś pewien, że chcesz iść sam?

– Im nas mniej, tym lepiej. Zresztą ich jest tylko czworo, a jeden to troll niższego stopnia. Jesteś zazdrosny, że cię nie zabieram?

– Może odrobinę. Tam, uważaj – jeden z nich to troll wyższego stopnia. Nie można go lekceważyć. Nie chciałbym szukać twojego zmasakrowanego ciała.

– Nie będziesz musiał, obiecuję.

Shar milczał przez chwilę, a potem podniósł głowę.

– Niech czuwa nad tobą oko Hekaty – powiedział.

– I nad tobą – odparł cicho Tamani, odwracając się.

Szli szybko ścieżką, a Laurel nie mogła uwierzyć, że tak wspaniale się czuje. Po walce z żywiołem rzeki i sznurami była wyczerpana jak nigdy dotąd. Teraz natomiast czuła się rześko, a dotyk ręki Tamaniego na jej własnej sprawiał, że miała ochotę podskakiwać.

Spojrzała na jego posępną minę i uznała, że to nie najlepszy pomysł.

Po kilku minutach marszu ich oczom ukazał się samochód.

– Jesteś gotów? – zapytała.

– Wyliminować stado trolli? Tak – powiedział Tamani. – Poznać Dawida? Zdecydowanie nie.

Dawid całkiem dobrze zniósł spotkanie z Tamanim, zważywszy na to, że został obudzony potrząsaniem przez, jakkolwiek by było, nieznanego faceta, który nic nie mówił, tylko patrzył na niego z niechęcią, podczas gdy Laurel dokonywała nieśmiałej prezentacji. Zdecydowanie lepiej niż Laurel przyjął też fakt, że ich prześladowcy to trolle – Laurel zaczęła się nawet zastanawiać, czy na pewno się obudził i czy przypadkiem nie jest w szoku. Tak czy inaczej – był gotów wystąpić w roli szofera.

Tamani usiadł na tylnym siedzeniu i zostawił otwarte drzwi, wzrokiem zapraszając Laurel do zajęcia miejsca obok. Dziewczyna spojrzała na Dawida – na jego brudne, pomięte ubranie, będące pamiątką po wydarzeniach poprzedniego wieczoru, na siniaka, który zaczął pojawiać się na jego policzku w miejscu, w którym go uderzyła. Uśmiechnęła się przepaszająco do Tamaniego i usiadła z przodu. Tamani tak łatwo się jednak nie poddał. Kiedy Dawid wjechał na główną drogę, on pochylił się i oparł rękę na przednim zagłówku tak, żeby dotykać nią ramienia Laurel.

Nawet jeśli Dawid, mimo kiepskiego oświetlenia, to zauważył, nie odezwał się ani słowem.

Laurel spojrzała na zegarek.

– Już prawie czwarta. Moja mama pewnie odchodzi od zmysłów. A twoja? – zapytała Dawida.

– Mam nadzieję, że nie. Powiedziałem jej, że być może zostanie z tobą do rana, i nie miała nic przeciwko temu, żebym opuścił

zajęcia w szkole. Ale zadzwonię do niej później i wyjaśnię, że jestem z tobą.

– Gdyby tylko wiedziała... – Laurel nie dokończyła myśli.

– To jaki jest plan? – zapytał Dawid, zmieniając temat.

– Zawożcie mnie do tego domu, ja zajmuję się trollami, a potem odwożcie mnie z powrotem – powiedział Tamani. – Całkiem proste.

– Opowiedzcie mi coś więcej o tych trollach – poprosił Dawid. – To były najbardziej przerażające istoty, jakie w życiu spotkałem.

– I oby na tym się skończyło.

– Mam nadzieję – powiedział Dawid i zadrżał. – Kiedy zabrali nas nad rzekę... ten troll podniósł mnie jak piórko. A przecież nie jestem aż taki mały!

– No nie, jesteś wyższy ode mnie, to muszę ci przyznać. – Tamani odwrócił się w stronę Laurel i jego protekcyjny ton zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. – Trolle to... taka pomyłka w ewolucji. Są zwierzętami – jak ty, Dawidzie. Ale to nie ludzie. Są silniejsze – o czym mogliście się przekonać – i szybciej zdrowieją. Zupełnie tak, jakby natura próbowała stworzyć superczłowieka, ale coś jej po drodze nie wyszło.

– Bo są brzydcy? – zapytał Dawid.

– Brzydota to tylko efekt uboczny. Problem polega na tym, że nic do niczego nie pasuje.

– Jak to: nie pasuje? – zapytała Laurel.

– Brakuje im symetrii, która tak wyróżnia wróżki. Ludzie są... mniej więcej symetryczni – na tyle, na ile pozwalają im ich chaotyczne komórki. Dwoje oczu, dwie ręce, dwie nogi – podobne długości i proporcje. To niezły wynik, zważywszy na okoliczności.

– Jakie okoliczności? – oburzył się Dawid.

– Nieregularność waszych komórek. Nie możesz tego kwestionować, skoro jesteś taki mądry, jak twierdzi Laurel. – Ten

komentarz uspokoił Dawida, choć w głosie Tamanego słychać było wyraźnie uszczypliwość. – My z Laurel – mówiąc to, Tamani poglaskał dziewczynę po szyi – jesteśmy idealnie symetryczni. Gdybyś nas rozciął wzdłuż, otrzymałbyś dwie identyczne połowy. To dlatego Laurel wygląda zupełnie jak te wasze modelki. To symetria.

– A trolle nie są symetryczne? – zapytała Laurel, próbując skierować rozmowę na inny tor.

– Absolutnie nie. Pamiętasz, jak opowiadałaś mi o Barnesie? O tym, że ma jedno oko niżej i krzywy nos? To właśnie przykład takiej asymetrii, ale akurat w jego wypadku bardzo łagodnej. Zwykle bywa dużo gorzej: widywałem już noworodki trolli o tak zdeformowanym ciele, że nawet własne matki nie chciały mieć z nimi nic wspólnego. Nogi wyrastające z głowy, szyja z ramion – okropny widok. Dawno temu wróżki zabierały te porzucone zniekształcone małe trolle, ale jeżeli ewolucja stawia na kimś krzyżyk, to śmierć jest nieunikniona. Zresztą ta fizyczna deformacja idzie w parze z umysłową. Im głupszy troll – im stanowi większą pomyłkę ewolucyjną – tym bardziej niesymetryczny.

– Dlaczego w takim razie nie wszystkie wyginęły? – zapytał Dawid.

– Bo są wśród nich także bardziej udane egzemplarze – jak na przykład Barnes – które wtapiają się w świat ludzi. Niektóre mają nawet pewną kontrolę nad ludźmi. Niestety, nie wiemy, ile ich jest, ale mogą być wszędzie.

– Jak można odróżnić trolle od ludzi?

– To właśnie stanowi problem. Czasami to trudne, a niekiedy wręcz niemożliwe. Trolle... są odporne na naszą magię.

– Całkowicie? – zapytała Laurel.

– W każdym razie nie działa na nie magia wróżek wiosennych. Szkoda – miałbym dzisiaj ułatwione zadanie. Jest parę oznak, które pozwalają odróżnić trolle od ludzi, ale bywają one zakamuflowane.

– Jakie to oznaki? – chciała wiedzieć Laurel.
 – Pierwotnietrolle żyły pod ziemią, bo światło słoneczne raziło ich skórę. Obecnie pomagają im nowoczesne wynalazki, takie jak kremy z filtrem, ale i tak rzadko kiedy mają zdrową cerę.
 Laurel przypomniała sobie popękana, złuszczoną skórę bestii wokół obroży i skrzywiła się.
 – Często też oczy jednego osobnika mogą mieć różne zabarwienie, ale to da się ukryć za soczewkami kontaktowymi. Najłatwiej poznaćtrolle po ogromnej sile albo przyłapać na jedzeniu wielkiego kawału krwistego mięsa.
 – Barnes był zafascynowany krwią na mojej ręce.
 – Ty nie masz krwi – powiedział Tamani.
 – To nie była moja krew, tylko Dawida.
 – Na twojej ręce?
 Laurel skinęła głową.
 – Zranił się tą samą szybą, która rozcięła mi plecy.
 – Dużo krwi? – zapytał Tamani.
 – Wystarczyło, żeby pobrudził sobie całą dłoń, kiedy mnie chwycił.
 – To wyjaśnia, dlaczego kazał cię wrzucić do rzeki – zaśmiał się Tamani. – Żaden troll przy zdrowych zmysłach nie będzie próbował utopić wróżki. Barnes nie wie, kim jesteś.
 – A skąd miałby wiedzieć?
 – Niestety – westchnął Tamani –trolle z łatwością odróżniają wróżki od ludzi. To dlatego, że wyczuwają krew, a wróżki jej przecież nie mają. Jeśli akurat nie kwitniesz, troll nie czuje żadnego zapachu – więc jeżeli napotka kogoś, kto wygląda jak człowiek, ale nie pachnie krwią, od razu wie, z kim ma do czynienia.
 – Ale miałam na sobie krew Dawida. To wystarczyło, żeby się nie zorientował?
 – Najwyraźniej.
 – A w szpitalu?

– Szpital to dla trolla jeden wielki zapach krwi – żaden środek dezynfekcyjny nie przyćmi tego zapachu. Nie zauważyłby tam nawet dziesięciu wródek.
 – A w twoim domu – odezwał się Dawid – ja śmierzdziałem dymem z ogniska.
 – Był u ciebie w domu? – zapytał Tamani. Laurel poczuła nacisk jego ręki na swoim ramieniu. – Nic nie mówiłaś.
 – Dawno temu. Nie wiedziałam wtedy, kim jest.
 – Miałas wielkie szczęście. Gdyby odkrył, kim jesteś, prawdopodobnie już byś nie żyła.
 Laurel poczuła, że kręci jej się w głowie, oparła się o zagłówek i... policzek Tamaniego. Nie próbowała tego zmieniać.
 Dojeżdżali już do Brookings i Tamani zaczął wypytywać Laurel o układ pomieszczeń w budynku.
 – Łatwiej będzie, jeśli pójde z tobą – skwitowała, kiedy już opisała dom na wszystkie możliwe sposoby. Co niewiele zresztą pomogło, była tam bowiem nocą, w całkowitej ciemności.
 – Ani mowy. Nie można ryzykować twojego życia – jesteś zbyt ważna.
 – Nie jestem wcale taka ważna – wymamrotowała, zsuwając się niżej na siedzeniu.
 – Pamiętaj, że masz odziedziczyć ziemię. To nie bagatela.
 – Mogłabym się na coś przydać.
 – Nie potrzebuję twojej pomocy.
 – Dlaczego? – warknęła. – Bo nie jestem specjalnie wyszkolonym wartownikiem?
 – Bo to zbyt niebezpieczne – odciał się podniesionym głosem, a potem oparł o siedzenie. – Nie chcę cię znowu stracić – szepnął.
 Ukłękła na fotelu i spojrzała na jego twarz, ledwie widoczną w świetle wschodzącego słońca.
 – A jeśli obiecuję, że się nie pokażę? Gdyby coś ci się stało... musimy wiedzieć.
 Twarz Tamaniego ani drgnęła.

– Nie będę walczyć ani nic takiego – obiecała.
 Tamani zastanawiał się przez chwilę.
 – A jeśli powiem nie, pójdziesz za mną?
 – Oczywiście.
 Westchnął i przewrócił oczami.
 – Posłuchaj mnie – powiedział i nachylił się tak, że jego nos niemal dotykał jej twarzy. Mówił cicho, ale w jego głosie było tyle emocji, że Laurel w ogóle pożałowała podjęcia tematu. – Jeśli pojawią się kłopoty, zostaw mnie. Wracajcie wtedy do Shara i powiedzcie mu, co się stało. Obiecujesz?
 – Nie zostawię cię. – Pokręciła głową.
 – Musisz mi obiecać, Laurel.
 – Ale dlaczego? Powiedziałeś Sharowi, że nie ma się czego bać.
 – Nie zmieniaj tematu. Muszę mieć twoje słowo.
 Laurel przygryzła dolną wargę, zastanawiając się, czy może z tego jakoś wybrnąć. Jednak Tamani nie dawał za wygraną.
 – Obiecuję – powiedziała w końcu ponuro.
 – W takim razie możesz iść.
 – A ja? – zapytał Dawid.
 – Wykluczone.
 – Dlaczego? Bez obrazy, ale mogę się przydać bardziej niż Laurel.
 – Ostatecznie... możesz iść – powiedział złośliwie Tamani. – Jeżeli chcesz posłużyć za przynętę.
 – Tamani! – zaprotestowała Laurel.
 – No tak! Nie tylko jest człowiekiem, ale do tego ma otwarte rany – Barnes wyczuje go z trzystu metrów. A może i dalej. Albo będzie przynętą, albo zostaje – Tamani znowu pochylał się do przodu i delikatnie trącił ramię Dawida. Mogło się wydawać, że to przyjacielski gest, ale Laurel wiedziała swoje. – Niestety, kolego. Sugeruję, żebyś został szoferem. W samochodzie, którym będziemy uciekać.

Dawid nie miał wyjścia, musiał się zgodzić. Chyba że chciałby zostać przynętą...

Zjechali z głównej szosy, kiedy niebo różowiało na wschodzie. Jechali tą samą trasą co poprzedniego wieczoru. Laurel zaczynała się coraz bardziej denerwować. Wczoraj była taka butna i pewna siebie – wiedziała, że ma rację, i bardzo chciała znaleźć na to dowody. Teraz miała świadomość, na co się porywa, i jej odwaga topniała z każdym metrem.

– Tamani... A jak właściwie roślinina ma pokonać supersilnego trolla? – zapytała, chociaż dobrze wiedziała, że to nie jest właściwy czas na takie pytanie.

Tym razem Tamani się nie uśmiechnął. Odwrócił do niej twarz bez wyrazu.

– Przebiegłością – odparł cicho. – Przebiegłość i szybkość to moja jedyna broń.

Wcale się to Laurel nie podobało.

Honda Dawida wtoczyła się powoli w ślepią uliczkę Sea Cliff.
– To ten ostatni budynek. – Laurel pokazała ręką.

– Zatrzymajmy się tutaj – poprosił Tamani.

Dawid wjechał na krawężnik i przez chwilę wszyscy siedzieli, wpatrując się w zwalistą budowlę. W świetle wschodzącego słońca mogli dostrzec, że kiedyś była szara. Laurel przyglądała się ozdobnemu wykończeniu okapu i rzeźbionym okiennym framugom, próbując sobie wyobrazić, jaki to musiał być kiedyś piękny dom. „Ciekawe, od jak dawna należy do trolli” – przemknęło jej przez myśl. Zadrżała; zastanawiała się, czy go kupiły, czy po prostu przejęły po wymordowaniu poprzednich mieszkańców. Ta druga opcja wydawała jej się bardziej prawdopodobna.

Tamani wyjął z plecaka pas i zaczął zaglądać do kieszeni. W końcu podał Laurel skórzany pasek z małym nożykiem.

– Na wszelki wypadek – powiedział.

Nóż zaciął jej na rękę i przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu.

– To się zakłada w pasie – zasugerował Tamani.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie, ale obowiązała się paskiem i zapięła sprzączkę.

– Gotowa? – Spojrzał na nią z powagą.

Kosmyki włosów opadające na czoło rzuciły długie cienie na jego oczy, tworząc na twarzy pasiasty wzór. Miał zmarszczone

Skrzydła Laurel

brwi i małą zmarszczkę na czole – wyglądał jak wyjęty z reklamowy model.

– Gotowa – szepnęła Laurel.

Tamani wysiadł z samochodu i cicho zamknął za sobą drzwi. Laurel wypięła się z pasów, a wtedy Dawid położył jej dłoń na ramieniu. Podniosła wzrok, ale jednocześnie rzuciła pośpieszne spojrzenie w stronę Tamaniego.

– Nie idź! – szepnął błagalnie.

– Muszę – powiedziała i ścisnęła mu rękę. – Nie mogę go puścić samego.

Dawid zacisnął zęby i pokiwał ponuro głową.

– Wróć! – zabrzmiało jak żądanie.

Laurel nie była w stanie wykrztusić słowa, więc tylko skinęła głową i otworzyła drzwi. Tamani zajął do środka i popatrzył na Dawida.

– Za dziesięć minut podjedź bliżej. Jeśli do tego czasu nie dojedź do Barnes, to będzie znaczyć, że zginęliśmy po drodze.

Dawid ciężko przelknął ślinę.

– Obserwuj uważnie okolice. Jeśli któryś z nich wyjdzie, żeby cię złapać, natychmiast odjedź – to będzie znak, że dla nas już za późno na ratunek. Jedź wtedy na nasz teren i powiadom Shara.

Laurel nie spodobało się to, co usłyszała.

– Przykro mi, że nie mogę pozwolić ci na nic więcej – powiedział Tamani poważnym głosem, po krótkim wahaniu. – Naprawdę jest mi przykro – to mówiąc, zamknął drzwi, chwycił Laurel za rękę i nie oglądając się za siebie, ruszył w stronę budynku.

Laurel odwróciła się i przez długi czas patrzyła na Dawida przez ramię.

Obeszli budynek, podobnie jak dzień wcześniej z Dawidem. Laurel czuła na sercu ciężar, kiedy szła po własnych śladach w stronę potworów, które próbowały ją zabić. „Kto idzie ochoczo na spotkanie z własną śmiercią?” – pomyślała w duchu, potrząsając

głową z dezaprobatą. Nie spuszczała jednak oka z Tamaniego. Jego pewny siebie krok – widoczny nawet wtedy, gdy skradał się wzdłuż murów – dodawał jej odwagi. „Jestem tu dla niego” – powtarzała sobie w myślach tak długo, aż zaczęło jej się wydawać rozsądne.

Kiedy dotarli do rozbitego okna, Tamani gwałtownie wyciągnął rękę i zatrzymał ją w miejscu. Sam zajrzał przez wyrwaną framugę, której trolle nie naprawiły, i sięgnął do jednej z kieszonek na pasie. Wyjął coś, co wyglądało jak brązowa słomka, i włożył do niej jakiś mały przedmiot. Przykłąknął na jedno kolano i odsunął się od ściany, ukazując się na moment wszystkim, którzy mogli być w pomieszczeniu. Potem dmuchnął w słomkę i Laurel posłyszała, jak coś przecina powietrze ze świstem.

Tamani natychmiast położył się na brzuchu pod rozlupanym parapetem, a potem poczołgał ku tyłowi budynku. Laurel poszła w jego ślady.

– Co zrobiłeś? – szepnęła.

Ale zamiast odpowiedzi Tamani przyłożył palec do ust i dalej się czołgał. Po kilku sekundach Laurel usłyszała szmer rozmowy. Tamani zatrzymał się i zaczął wyglądać ostrożnie za róg. Spojrzał na starą pergolę i na jego ustach zakwitł delikatny uśmiech. Odwrócił się do Laurel, pokazał palcem na ziemię i powiedział bezgłośnie: „zostań”.

Chciała protestować, ale dostrzegła pęknięcia i rysy na kracie pergoli, więc uznała, że dodatkowy ciężar z pewnością nie pomoże Tamaniemu. Tymczasem on wspiął się bezszelestnie po kracie – Laurel nie sądziła, że to możliwe przy tak rozchwianej i niestabilnej konstrukcji. Przypominał teraz bardziej małpę niż ludzką postać.

Laurel kucnęła przy zalomie muru i wyjrzała za róg. Szramowaty i jego towarzyszy wylegiwali się na brudnej kanapie na równie zapaskudzonej werandzie. Mówili zbyt cicho, żeby mogła rozróżnić słowa, ale wcale tego nie żałowała; miała jeszcze w pamięci ich rozmowę z poprzedniego wieczoru w drodze do rzeki.

Szramowaty ziewnął, jego kumpel też wyglądał na śpiącego. Uszu Laurel doszły delikatne stuknięcia, kiedy Tamani siedł po dachu, ale trolle były chyba zbyt zmęczone, żeby cokolwiek usłyszeć, bo żaden z nich nie podniósł nawet głowy.

Chociaż spodziewała się tego, co zrobi Tamani, i tak o mało nie krzyknęła, kiedy zeskokczył z dachu i lekko wylądował tuż przed trollami. Wyrzucił ręce do przodu i chwyciłszy kreatury za głowy, uderzył jedną o drugą, aż zadudniło głucho. Trolle opadły na kanapę i przestały się ruszać.

Laurel zrobiła krok do przodu, zginiatając przy tym suchy liść.

– Zaczekaj – powiedział Tamani cicho. – Pozwól, że skończę to, co zacząłem. Nie chcesz na to patrzeć.

Ale Laurel uznała, że to zbyt wielka pokusa. Ponieważ jej nie pilnował, wcale nie schowała się za rogim budynku – przyglądała się wszystkiemu zafascynowana, ciekawa, co też Tamani robi.

Tymczasem on oparł się kolanem o ramię szramowatego i chwycił jego twarz w obie ręce. Zanim Laurel zorientowała się, co się za chwilę stanie, było już za późno. Z otwartymi szeroko oczami patrzyła, jak Tamani obraca głowę trolle wokół jego szyi. Jej uszu dobiegł przyporządkujący o młoci chrupot. Tamani położył szramowatego z powrotem na kanapie i podszedł do jego towarzysza. Laurel nie potrafiła odwrócić wzroku od bezwładnej głowy – pozbawionej życia, bez tego ohydneho uśmiechu, który wcześniej stale gościł na twarzy trolle.

Kiedy Tamani zaparł się nogą o ramię czerwonowłosego, Laurel szybko oprzytomniała, schowała się za rogim i włożyła palec do uszu. I tak nie miało to większego znaczenia, dźwięk skręcanego karku trolle świrował jej bowiem w uszach, a wyobraźnia podpowiadała to, czego nie widziały oczy. Podskoczyła nagle, bo Tamani położył jej palec na ramieniu.

– Musimy iść. – Objął Laurel i próbował odwrócić jej uwagę od widoku martwych trolli, ale i tak obejrzała się, by spojrzeć na dwie postaci, które zdawały się spać.

– Musiałeś to zrobić? – szepnęła, pielęgnując w sobie myśl, że przecież te trolle chciały zabić ją i Dawida.

W błym światle porannego słońca wyglądały jednak zupełnie bezbronne, a na ich zdeformowanych twarzach można było dostrzec spokój.

– Tak. Jedną z zasad wartownika jest nigdy nie zostawiać trolla żywego. Przysięgłem, że tak będę robił. Mówilem ci, żebyś ze mną nie szła.

W tej samej chwili Tamani wyjął coś z przegródki na pasku i popryskał tym zawiasy drzwi. Kiedy je popchnął, otworzyły się bezgłośnie. Laurel pamiętała o dziwnej bestii, więc weszła do środka z wahaniem. Stworzenie leżało bezwładnie na podłodze. Tamani ukucnął obok i wyjął z jego szyi małą strzałę. Laurel przypomniała sobie brązową słomkę i wiedziała już, co zrobił.

– Nie żyje? – zapytała szeptem.

– Tylko śpi. Strzały śmierci są dużo większe i nie działają tak szybko. Bestia zaczęłaby skowyczeć i cały nasz plan ległby w gruzach. – Tamani znowu sięgnął do paska i westchnął, odkręcając małą buteleczkę. – Tych mi akurat żal. Są zbyt głupie, żeby odpowiadać za swoje czyny: tyle samo w nich winy, co w lwie czy tygrysie, gdy rzucają się na ofiarę. Przynajmniej na początku, bo kiedy już nauczą się nienawidzić wrózek i wypełniać wszystkie rozkazy swojego pana, stają się niezwykle niebezpieczne. – Tamani podniósł powiekę stworzenia i wcisnął mu do oka dwie krople żółtej cieczy. – Umrze za parę minut – powiedział, wkładając flakonik z powrotem do przegródki na pasku.

Potem odwrócił się do Laurel i zbliżył swoją twarz do jej twarzy tak, by móc szeptać jej do ucha.

– Nie wiem, gdzie jest ten ostatni. Jeśli go znajdziemy i zaskoczmy, będzie łatwo. Idź za mną, ale od tej chwili ani jednego słowa, okej?

Laurel kiwnęła głową. Miała nadzieję, że będzie potrafiła iść tak samo cicho jak Tamani. Nigdy nie była niezadana – zwłaszcza

cza w porównaniu z rówieśnikami – ale przy Tamanim czuła się wyjątkowo niezgrabnie. Obserwowała jednak uważnie każdy jego krok i szła dokładnie po śladach, więc udało jej się pokonać schody w miarę cicho.

Minęli trzy pomieszczenia, puste, nie licząc ostoniętych mebli i krzącących w powietrzu pyłków kurzu. Tamani zajrzał przez czwarte drzwi i błyskawicznie sięgnął do pasa. Laurel widziała na podłodze cień Barnes, wydłużony przez promienie słońca wpadające od wschodu, ale i tak doskonale rozpoznawalny. Tamani znowu wyjął długą słomkę i przykląkł na jedno kolano, a następnie nabrał powietrza i starannie wycelował. Rozległo się delikatne puknięcie i strzałka poleciała do przodu.

Laurel uważnie przyglądała się cieniowi. Widziała, że drgnął, a potem usłyszała cichy jęk. Minęło kilka sekund, długich jak cała wieczność, i cień osunął się z głuchym łomotem na biurko. Tamani pokazał ręką na miejsce, w którym Laurel stała przytulona do ściany, i bezgłośnie zakazał jej się ruszać.

Tym razem posłuchała.

Tamani wszedł cicho do środka i przez kilka sekund kuczał za trollem. Laurel obserwowała cienie: zobaczyła, że Tamani unosi rękę wzdłuż głowy Barnes, a ponieważ wiedziała, co to oznacza, zacisnęła mocno powieki i zakryła uszy. Zamiast chrupotu usłyszała jednak łomot, który wprawił w drżenie ścianę, o którą się opierała.

– Myślałeś, że możesz na mnie próbować tych swoich wrózkowych sztuczek?

Laurel gwałtownie otworzyła oczy i rzuciła się w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał Tamani. Nie była w stanie dojrzeć Barnes; Tamani siedział skulony pod ścianą i patrzył na trolla z wściekłością. Widziała, że długi cień skacze w stronę Tamaniego, i już otworzyła usta, żeby krzyknąć słowo ostrzeżenia, ale Tamani zdążył uskoczyć, a Barnes uderzył w ścianę tak mocno, że aż popękał tynk. Tamani biegł po pomieszczeniu, a tym-

APRILYNNE PIKE

czasem Laurel próbowała jeszcze mocniej przywrzeć do ściany. Budynek drżał w posadach, kiedy Barnes – na szczęście bez skutku – rzucał się na chłopaka. Laurel obserwowała cienie i wstrzymywała oddech; bała się, że jakkolwiek dźwięk lub ruch może ją zdradzić.

Barnes wrzasnął i machnął potężnymi łapami – udało mu się uderzyć Tamanego w klatkę piersiową i cisnąć nim o południową ścianę, dokładnie naprzeciwko Laurel. W miejscu, w które uderzył Tamani, pojawiła się pajęczyna pęknięć. Chłopak osunął się na podłogę. Laurel trzymała kciuki za to, żeby udało mu się wstać i uciec, ale on tylko przechylił głowę i oddychał ciężko.

– Już lepiej – powiedział Barnes.

Laurel wystawiła głowę i zajrzała do środka. Barnes był odwrócony plecami i stał na środku pokoju, na wprost Tamanego. Nachylił się nad nim i chwilę przyglądał, a potem wybuchł swoim chrapliwym śmiechem.

– I kogo my tu mamy? Chłopca. Dziecko zaledwie. Jesteś już na tyle duży, żeby być strażnikiem?

– Owszem – wycharczał Tamani, patrząc na trolla pociemniałymi z gniewu oczami.

– I ciebie wysłali, żeby mnie unieszkodliwić? Wróżki zawsze były głupie.

Tamani wyrzucił nogę do przodu, ale Barnes był szybszy. Chwycił go za łydkę, podniósł z ziemi i, okręcając w powietrzu, rzucił o ścianę, aż dalej popękała.

– Chcesz ostrej zabawy, to będzie ostra zabawa – powiedział. – Prawdę powiedziawszy, taką lubię najbardziej.

Laurel otworzyła szeroko oczy z przerażenia, kiedy Barnes wyciągnął zza pasa pistolet, wycelował w Tamanego i pociągnął za spust.

Przenikliwy, ogłuszający świst kuli odbił się echem w czasie Laurel, a z jej ust wydobył się niemal bezgłośny okrzyk. Poczula zapach prochu, a jej świadomość z trudem zarejestrowała głuchy jęk. Natychmiast otworzyła oczy i spojrzała na Tamaniego. Miał twarz wykrzywioną bólem i jęczał przez zaciśnięte zęby, a przy tym patrzył wściekle na trolla, trzymając się za nogę palcami mokrymi od jasnej cieczy.

Barnes ponownie wycelował – tym razem Tamani nie zdołał powstrzymać krzyku, kiedy kula przebiła jego drugie udo. Laurel zadrżała, bo krzyk Tamaniego wydawał się bombardować wszystkie komórki jej organizmu, burząc ich symetrię i wprowadzając chaos. Zrobiła ostrożny krok do przodu, ale Tamani rzucił jej spojrzenie nakazujące pozostanie w miejscu. Popatrzył na nią przez ułamek sekundy, a potem przeniósł wzrok na Barnes. Na jego czoło wystąpiły krople potu. Barnes z głośny loskotem odłożył broń na biurko i podszedł bliżej.

– Chyba już się nigdzie nie wybierasz, co?

Tamani patrzył na trolla z nienawiścią.

– Przychodzisz tu w dniu podpisania dokumentów, dzięki którym stanę się właścicielem ziemi z waszą cenną bramą. Nie jestem na tyle głupi, żeby traktować to jak zbieg okoliczności. Skąd wiedzieliście?

Tamani zacisnął usta i nic nie powiedział.

Barnes kopnął go w stopę i chłopak jęknął.

– Skąd? – wrzasnął Barnes.

Tamani milczał, a Laurel zaczęła się zastanawiać, jak długo będzie w stanie na to patrzeć. W tej samej sekundzie Tamani otworzył oczy i spojrzał prosto na nią.

Zrozumiała, czego od niej oczekuje. Chciał, żeby dotzymała obietnicy, żeby zostawiła go, wyszła z budynku i sprowadziła Shara.

Dala słowo.

Ale wiedziała, że go nie dotrzyma. Nie zostawi Tamaniego. Zdala sobie sprawę z tego, że prędzej umrze razem z nim, niż zostawi go na samotną śmierć.

W tej samej chwili, w której poddała się w duchu, dostrzegła leżącą na biurku broń. Barnes odłożył ją tam i nie zwracał już na nią uwagi. Spod wpeł przmknętych powiek wzrok Tamaniego podążył za wzrokiem Laurel, a potem wrócił do niej. Tamani pokręcił głową tak nieznacznie, że ledwo to zauważyła. A potem jęknął, bo Barnes znowu kopnął go w nogę.

– Mów: skąd!

Barnes ukucnął przy Tamanim. Laurel wiedziała, że to jej jedyna szansa. Zaczęła skradać się w stronę biurka, próbując naśladować zgrabne kroki Tamaniego.

– Za dziesięć sekund chwycę twoją nogę i złamię w niej każdą kostkę!

Laurel zacisnęła dłoń na zimnej stali, próbując przypomnieć sobie wszystko, czego tata uczył ją o broni. Pistolet był ciężki, kanciasty, przypominał nieco zabawkę do strzelania wodą. Nie znalazła kurka ani mechanizmu do odbijania, więc zamknęła oczy na sekundę, z nadzieją, że to jeden z tych pistoletów, które wystarczy wycelować, a potem nacisnąć spust.

– Daję ci ostatnią szansę na odpowiedź. Raz, dwa...

– Trzy – dokończyła za niego Laurel, przykładając mu lufę do głowy.

Barnes zamarł.

– Wstawaj – zakomenderowała, odsuwając się nieco.

Barnes podniósł się i powoli obejrzał.

– Pod ścianę – zarządziła. – Daleko od niego.

– I ty chcesz strzelać? – zaśmiał się troll. – Taki dzieciak?

Laurel skrzywiła się, naciskając spust, i niemal krzyknęła z radości, kiedy udało jej się wystrzelić. Kula trafiła w ścianę. Dziewczyna wycelowała z powrotem w Barnes'a.

– Okej – powiedział.

Wycofując się, odwrócił do niej twarz. Rozpoznał ją i otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Myślałem, że nie żyjesz!

– Na drugi raz musisz bardziej się przyłożyć do myślenia – odpowiedziała Laurel, dumna, że jej głos nie drży tak bardzo jak nogi.

– Czyżby moi chłopcy... chwilę... nie... – Barnes zaczął obwąchiwać powietrze. – Ty... nie... – to mówiąc, odwrócił się do Tamaniego i zaśmiał. – Rozumiem. Wróżki bawią się w podrzucanie swoich dzieci. Podrzutki! Kiedy się wreszcie nauczycie, że to my, trolle, zawsze mamy najlepsze pomysły?

Laurel znowu strzeliła w ścianę i Barnes podskoczył.

– Koniec gadania – powiedziała.

Nastąpił impas. Barnes był niemal pewien, że Laurel do niego nie strzeli, a i ona podejrzewała, że rzeczywiście nie będzie w stanie. Nie mogła się jednak do tego przyznać przed trollem.

Niestety, jedynym sposobem na to, by położyć kres wszelkim wątpliwościom, było zastrzelenie Barnes'a. Laurel poczuła, że jej palce pocą się na spuście. Podniosła broń wyżej – tak, by zasłonić nią twarz trolla.

Tylko tyle mogła zrobić.

– Pamiętaj, Laurel, co ci mówiłem – odezwał się cicho Tamani. – To on chciał cię zabić, on otrul twój tatę i manipulował twoją mamą. Jeśli pozwolisz mu uciec, znowu to zrobi.

– Ależ przestań! – zaśmiał się fałszywie Barnes. – Przypisujesz mi zbyt wiele zasług.

Laurel zaczęła ciężko dyszeć. Próbowala zmusić palce do działania. Zamiast tego opuściła ręce o kilka centymetrów, a wtedy kąciki ust Barnes a uniosły się w uśmiechu.

– Wiedziałem, że tego nie zrobisz – syknął drwiąco, po czym przykucnął i rzucił się na nią.

Laurel zobaczyła tylko mordercze oczy i palce wyciągnięte niczym zwierzęce pazury. Nie czuła już ciężaru broni; jej palce zgięły się, a powietrze przeciął wystrzał. Kula uderzyła Barnes a w ramię; odrzuciło go. Laurel wrzasnęła i upuściła broń.

Tamani jęknął i przesunął się do przodu, po czym chwycił leżący na podłodze pistolet. Barnes wyl z bólu, ale odnalazł Laurel wzrokiem.

– Zostaw ją! – krzyknął Tamani i wycelował.

Barnes ledwie zdołał skupić się na skierowanej we własną głowę lufie pistoletu. Tamani nacisnął spust, ale w tej samej chwili troll rzucił się na okno i wyskoczył przez nie, rozbijając szybę. Druga kula Tamaniego utkwiała w ścianie. Laurel podbiegła do okna i zdążyła jeszcze zauważyć, jak zakrwawiony Barnes znika za wzgórzem. Kierował się w stronę rzeki.

Tamani z łoskotem opuścił ciężki pistolet. Laurel opadła na kolana i chwyciła chłopaka w ramiona. Jęknął jej do ucha, ale kiedy próbowała się odsunąć, przywarł jej do piersi.

– Nie waż mi się już nigdy... nigdy... mnie tak przestraszyć!

– Ja?! – zaprotestowała. – To nie mnie postrzelono – powiedziała i objęła go za szyję, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Nagle podniosła głowę, bo od strony schodów słychać było czyjeś dudniące kroki. Tamani odsunął ją na bok, chwycił broń i wycelował w drzwi.

Na szczycie schodów ukazała się poblada twarz Dawida. Tamani westchnął i pistolet znowu upadł na podłogę.

– Usłyszałem strzały i zobaczyłem, że Barnes ucieka – powiedział drżącym głosem. – Nic wam się nie stało?

– Na oko Hekaty, czy wy nie potraficie wypełniać poleceń? – jęknął Tamani.

– Jak widać, nie – odparła sucho Laurel.

– Co tu się działo? – zapytał Dawid, patrząc na ruinę pomieszczenia.

– Porozmawiamy w samochodzie. Pospieszmy się, Dawid. Tamani jest ranny – powiedziała Laurel.

Chwycili Tamaniego pod ramiona i jakoś udało im się podnieść go z podłogi. Chłopak starał się być dzielny, ale z jego ust raz po raz wydobywał się jęk; wtedy Laurel drżała. Zaciągnęli go do drzwi, a wtedy dziewczyna się zatrzymała.

– Zaczekajcie chwilę – powiedziała.

Pozwoliła, by Dawid przejął Tamaniego. Podbiegła do biurka, gdzie leżała sterta papierów. Wierzchni dokument był upstrzony czerwonymi plamkami. „Krew trolla” – pomyślała, krzywiąc się. Wzięła głęboki oddech i zmusiła się do chwycenia kartek. Zabrała wszystkie, na których widniało nazwisko mamy lub adres posiadłości. Na szczęście nie było tego dużo.

– Idziemy – powiedziała, chwytając Tamaniego pod ramię.

W milczeniu minęli martwe trole. Słońce świeciło już całkiem jasno i Laurel miała nadzieję, że nikt nie zauważy, jak wiołą do samochodu rannego. Z opóźnieniem zdała sobie sprawę z tego, że skoro Dawid słyszał strzały, to równie dobrze mogły one przyciągnąć uwagę kogoś jeszcze. Rozejrzała się po ulicy i ujrziała walące się ruiny. Uznała, że to nieistotne – okolica wyglądała na taką, gdzie strzelanie jest na porządku dziennym.

Dawid ułożył Tamaniego na tylnym siedzeniu samochodu. Chciał mu pomóc, ale chłopak odepchnął jego ręce.

– Zawieź mnie do Shara. Szybko – powiedział.

Dawid otworzył dla Laurel drzwi z przodu, ale pokręciła głowę i nie patrząc na przyjaciela, wsunęła się na tylne siedzenie, obok Tamaniego.

Położyła sobie na kolanach jego głowę, a chłopak przywarł do niej jak dziecko i jęczał, kiedy samochód podskakiwał na wybojach. Był błąd, a jego ciemne włosy zrobiły się tłuste od potu. Chciała go zmusić do otwarcia oczu, ale nie reagował. Oddychał nierówno. Laurel podniosła wzrok i spojrzała na Dawida, który obserwował ją w lusterku.

– Nie możemy jechać szybciej? – zapytała błagalnie.

Dawid pokręcił przecząco głową.

– Nie mogę pędzić, Laurel. Za duże ryzyko. Jak myślisz, co powiedziałaby policja, gdyby nas zatrzymała i zobaczyła Tamanego? – zapytał, patrząc na nią w lusterku. – Jadę najszybciej, jak mogę, naprawdę.

Jej oczy wypełniły się łzami, ale skinęła głową. Próbowала nie zauważać, że Tamani trzyma ją za ręce coraz słabiej.

Ulice były niemal zupełnie puste, ale całą drogę przez Crescent City, a później Klamath, Laurel wstrzymywała oddech, kiedy tylko zbliżali się do innych samochodów. Jakiś mężczyzna spojrzał na nią i zaczęła się zastanawiać, czy za jego okularami przeciwsłonecznymi nie kryją się czasem różnokolorowe oczy. Kiedy już była prawie pewna, że to troll wysłany, by ich wykończyć, mężczyzna odwrócił wzrok i skręcił w boczną ulicę.

W końcu wjechali na drogę prowadzącą do posiadłości. Mimo że nie była asfaltowa i auto podskakiwało na koleinach, Tamani nie protestował. Oddech wiązał Laurel w krtani, kiedy dojechali na miejsce.

Dawid wysiadł z samochodu i podbiegł do tylnych drzwi, żeby pomóc jej wyjąć Tamanego. Zaciągnęli go za dom i ruszyli ścieżką, tak dobrze znaną Laurel. Kiedy tylko minęli granicę lasu, dziewczyna zaczęła wołać, co raz przerywając szlochem:

– Shar! Shar! Potrzebujemy pomocy!

Niemal natychmiast wyszedł zza drzewa. Jeśli nawet był zszokowany tym, co zobaczył, nie dał tego po sobie poznać.

– Ja go zabiorę – powiedział ze spokojem, po czym przejął Tamanego i przewiesił go sobie przez ramiona. – Nie możesz dalej iść – powiedział do Dawida. – Nie dzisiaj.

Dawid zmarszczył czoło i popatrzył na Laurel.

– Przykro mi – szepnęła, obejmując go.

– Ale wrócisz? – zapytał, chwytając ją za rękę.

– Obiecuję – powiedziała.

Zabrała rękę i ruszyła ścieżką za Sharem.

Kiedy tylko Dawid zniknął z pola widzenia, na ścieżce wyrósł korowód niewiarygodnie pięknych młodych mężczyzn, z których niektórzy mieli na sobie maskujące broje; wszyscy pomogli nieść Tamanego. Wraz z każdą pojawiającą się wróżką poprawiała się samopoczucie Laurel. Tamani nie był już sam, wróżki na pewno mu pomogą. Musiała w to wierzyć. Szli krętą ścieżką, dziwnie dla niej obcą, i zatrzymali się przed starym drzewem, które mimo późnej jesieni wcale nie zmieniło kolorów.

Kilka wrózek po kolei kładło dłonie w płaskiej dziupli. W końcu Shar podniósł bezwładną rękę Tamanego i dotknął nią drzewa. Przez kilka sekund nikt się nie ruszał i nic się nie działo. A potem... drzewo zaczęło się chwiać i Laurel aż westchnęła z wrażeń, kiedy u jego nasady pojawiło się pęknięcie. Powiększało się, rozchylając pień, aż przerodziło się w luk. Powietrze zaczęło migotać rażącym blaskiem, a potem rozbiły nagle jaskrawym światłem i Laurel na ułamek sekundy przymknęła powieki. Gdy otworzyła oczy, światło tworzyło już złotą bramę, oplecioną wspaniałymi białymi kwiatami, pośród których migotały miliony klejnotów.

– To wejście do Avalonu? – zapytała Shara.

– Nie wpuszczajcie jej – rzucił, nawet na nią nie patrząc. – Jamison tu idzie.

Tuż przed nią skrzyżowały się włócznie, a wtedy zdała sobie sprawę z tego, że mimo zakazu zrobiła jeszcze kilka kroków. Czula ogromne pragnienie, by odtrącić włócznie i wbiec przez migoczącą bramę, ale powstrzymała się i stanęła w miejscu. Bra-

ma otwierała się przed wrózkami, które odsunęły się nieco, by zrobić jej miejsce. Laurel nie widziała zbyt wiele, chociaż pomiędzy włócznie udało jej się dostrzec szmaragdowozielone drzewo, skrawek lazurowego nieba i promienie słońca polyskujące niczym diamenty. Poczula nagle zapach świeżej ziemi i duszący, ciężki aromat, którego nie potrafiła rozpoznać. Po drugiej stronie bramy czekał mężczyzna o białych włosach, ubrany w długie, zwiewne, srebrzyste szaty. Wpatrywała się, jak podchodzi do Tamaniego, przesuwa mu palcem po twarzy i ogląda się na wróżki idące z noszami.

– Zabierzcie go prędko – powiedział i skinął ręką. – Jest coraz słabszy.

Położono Tamaniego na miękkich białych noszach i Laurel przyglądała się bezradnie, jak wnoszą go w świetlistą poświatę. Musiała wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że go jeszcze zobaczy. Przecież nikt nie mógł wejść do świata tak pełnego cudów bez nadziei na uzdrowienie.

Kiedy podniosła wzrok, zauważyła, że starszy mężczyzna przypatruje się jej uważnie.

– Rozumiem, że to ona – powiedział.

Jego głos był niewiarygodnie słodki, zbyt melodyjny, by przynależeć do świata ludzi. Laurel miała wrażenie, że mężczyznę otacza poświata; miał delikatne, niebieskie oczy, a wokół nich idealnie rozmieszczone zmarszczki – jak perfekcyjnie udrapowane zasłony, a nie nierówne wgłębienia, które znalazła z twarzy Maddie. Uśmiechnął się do niej łagodnie, a wtedy ból i trud ostatniej doby rozplynęły się w powietrzu.

– Byłaś bardzo dzielna – powiedział Jamison swoim anielskim głosem. – Nie sądziłismy, że tak szybko będziesz nam potrzebna. Ale życie często wymyka się planom, nieprawdaż?

Laurel przytaknęła i odwróciła się, by spojrzeć w głąb bramy, gdzie widać jeszcze było czubek głowy Tamaniego.

– Czy on... wyzdrowieje?

– Nie martw się. Tamani zawsze był silniejszy, niż na to wyglądał. Starał się, zwłaszcza dla ciebie. Zaopiekujemy się nim – powiedział i położył rękę na jej ramieniu, wskazując na ścieżkę, której Laurel nie знаła. – Pójdiesz ze mną?

Nadal wpatrywała się w wejście do Avalonu, ale odpowiedziała niemal mechanicznie.

– Oczywiście.

Przez kilka minut szli w milczeniu. Potem Jamison zatrzymał się i zaprosił ją, by usiadła na powalonym pniu. Sam spoczął obok, tak że niemal stykali się ramionami.

– Opowiedz mi o trollach – poprosił. – Rozumiem, że wpaśliście w tarapaty.

Pokiwała głową i opowiedziała o tym, jak ostrożny i odważny był Tamani. Gdy mówiła, że mimo postrzału nie chciał niczego zdradzić, w oczach Jamisona dostrzegła wyraz szacunku. Nie chciała wcale wspominać o sobie, ale w końcu wyrzuciła z siebie, że chwyciła za broń i nie potrafiła zastrzelić trola, a za spust pociągnęła dopiero wtedy, kiedy jej życie było zagrożone. Jednak nawet wtedy działo się to w zasadzie przypadkowo.

– A więc uciekł? – w głosie Jamisona nie było slychać krytyki.

Laurel pokiwała głową.

– Wiesz przecież, że to nie twoja wina. Tamani to wyszkolony wartownik, który bardzo poważnie traktuje swoją pracę. Ale ty – twoim zadaniem jest leczyć, nie mordować. Chyba byłbym nieco rozczarowany, gdybym się dowiedział, że potrafisz zabijać. Nawet jeśli miałyby to dotyczyć tylko trolli.

– Ale on teraz wie. Wie, kim ja jestem.

– I wie, gdzie mieszkasz. Musisz czuwać – dla dobra swoich rodziców, ale i własnego. Mianuję cię ich opiekunem. Tylko ty znasz tajemnice, które mogą utrzymać ich przy życiu.

Laurel pomyślała o tacie leżącym w szpitalu, być może już na progu śmierci.

– Mój tata umiera, za kilka dni zostanie tylko ja i mama. Nie mogę być tym, kim chciałby pan, żebym była – przyznała drżącym głosem.

Ukryła twarz w dłoniach, ogarnęła ją rozpacz.

Jamison objął ją i przytulił, a jego szaty wydały się dziewczynie miękkie jak puch.

– Pamiętaj, że jesteś jedną z nas – szepnął jej do ucha. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ci pomóc. Nasza pomoc to twoje prawo, twoje dziedzictwo – powiedział i sięgnął do przepastnych fałdów swojej szaty, po czym wyjął małą błyszczącą buteleczkę, wypełnioną granatowym płynem. – Na trudne chwile – wyjaśnił. – To rzadki eliksir, jedna z naszych jesiennych wrótek zrobiła go wiele lat temu. Mało mamy mikstur, które mogą pomóc człowiekowi, ale akurat ta jest ci potrzebna teraz, a może i w przyszłości. Powinno wystarczyć wypicie dwóch kropli.

Ręce jej się trzęsły, kiedy sięgnęła po buteleczkę. Jamison położył ją na jej dłoni i zacisnął swoimi palcami.

– Dobrze tego strzeż – powiedział. – Nie wiem, czy znajdzie się u nas jesienna wróżka wystarczająco silna, by zrobić drugi taki eliksir.

Laurel skinęła głową.

– Chcielibyśmy ci pomóc jeszcze w jeden sposób – dorzucił, wystawiając długi palec. – Ale pod jednym warunkiem.

– Cokolwiek to ma być, wszystko zrobię – powiedziała ochoczo Laurel.

– To nie o ciebie chodzi – odparł i rozprostował palce, ukazując kryształ wielkości piłki golfowej. – Chciałbym, żebyś zaoferowała to swojej mamie – dodał i położył kamień na jej dłoni.

– Czy to diament? – zapytała, zaskoczona.

– Tak, moje dziecko. Jest tak duży, że powinien wystarczyć na zaspokojenie wszystkich waszych potrzeb. To nasza propozycja. Wiesz, że umieszczono cię w tej rodzinie tylko po to, żebyś

po śmierci rodziców stała się właścicielką tej ziemi? – Laurel skinęła głową, więc Jamison mówił dalej: – Ostatnie wydarzenia udowodniły, że twoja rola jest niezwykle istotna i że musimy zdobyć prawo do tej ziemi wcześniej, niż zakładaliśmy. Ten klejnot ofiarujemy twoim rodzicom, jeśli przepiszą majątek na ciebie, kiedy tylko pozwoli na to stan zdrowia twojego ojca. Jak i co im powiedzieć – to już twoja decyzja. Ale musisz zostać właścicielką tej ziemi, Laurel – dodał stanowczym głosem. – A my jesteśmy gotowi zapłacić za to odpowiednią cenę.

Laurel pokiwała głową i schowała klejnot do kieszeni.

– Jestem pewna, że się zgodzą – powiedziała.

– Wierzę, że się nie mylisz. Musisz się spieszyć, Laurel. Twojemu tacie zostały już godziny, a nie dni życia.

– Dziękuję – szepnęła i ruszyła w drogę powrotną.

– Laurel...

– Tak?

– Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy. Calkiem niedługo – dodał.

W jego oczach pojawił się błysk, a wiekowe usta ułożyły się w delikatny, znaczący uśmiech.

Wydawało się, że po tym, jak jechała z gasnącym Tamanim w ramionach, droga między Brookings i Orick nie może się bardziej dłużyć. A jednak teraz – w towarzystwie samego tylko Dawida, ze spoczywającymi w kieszeniach dwoma największymi skarbami, jakie mogła sobie wyobrazić – kilometry wlokły się niemiłosiernie. Cały czas słyszała głos Jamisona: „Twojemu tacie zostały już godziny, a nie dni życia”. Powiedział „godziny”, tylko co to tak naprawdę oznaczało? Ile ma czasu, zanim zrobi się za późno? Co chwila wyciągała buteleczkę z kieszeni, ważyła ją w dłoni i chowała z powrotem, niepewna, gdzie będzie najbezpieczniej. W końcu zostawiła ją w kieszeni – choćby dlatego, żeby Dawid nie zaczął zadawać pytań, na które nie będzie mogła mu odpowiedzieć.

Na razie tego nie robił. Przytulił ją tylko, gdy wyszła z lasu, otworzył jej drzwi auta i zapytał: „Do szpitala?”. Od tego momentu nie odezwał się słowem. Była mu wdzięczna za to milczenie, bo jeszcze nie postanowiła, co może mu powiedzieć, a czego nie. Kilka tygodni wcześniej obiecała, że będzie mu mówić wszystko, o ile nie będzie to jakaś wielka tajemnica wróżek. Nie spodziewała się jednak, że odkryją przed nią swoje największe sekrety.

A teraz przecież знаła położenie bramy! Za taką informację pierwszy lepszy troll mógłby zabić ją i jej bliskich. Zdradzenie tajemnicy Dawidowi mogło narazić go na dodatkowe niebezpieczeństwo.

Skrzydła Laurel

Najlepiej było więc chwilowo nic mu nie mówić.

W końcu zajęchali na szpitalny parking i Dawid zatrzymał samochód.

– Chcesz, żebym poszedł z tobą? – zapytał, patrząc na wysoki, szary budynek szpitala.

– Nie. Jesteśmy oboje brudni i wyglądamy okropnie. Jeśli pójdę sama, może nie będę tak bardzo zwracała uwagi – powiedziała.

„Akurat” – dodała w duchu.

– W takim razie zaczekam tutaj i zadzwonię do mamy – oznajmił, po czym zawahał się i położył rękę na jej dłoniach. – Za parę godzin musiałbym wracać do domu. Moja mama będzie pewnie wściekła, zostawiła mi już chyba ze dwadzieścia wiadomości. Gdybyś czegoś potrzebowała... – zawiesił głos. – Wiesz, gdzie mnie szukać.

– Przyjdę do ciebie. Ale teraz muszę iść do taty.

– Dali ci coś, co go uratuje, prawda?

– O ile nie jest za późno – powiedziała, czując wzbierające pod powiekami łzy.

– Idź. Zaczekam.

Nachyliła się, żeby go uściśnąć, a potem wysiadła z samochodu i pobiegła do szpitala.

Próbowała nie rzucić się za bardzo w oczy, ale miała koszulkę ubrudzoną błotem z rzeki, a jak na złość zapomniała zabrać od Dawida swoją wiatrówkę, którą mogłaby przykryć. Oprócz tego była rozczochrana, jej dżinsy były podarte na prawym kolanie i nadal miała na stopach dziwnie niemodne mokasyny.

Ale przynajmniej rzeka zmyła krew Dawida z koszulki. No i twarz Laurel nie była tak posiniaczona jak jego. „W każdym razie nie mam żadnych widocznych obrażeń” – pomyślała, dotykając bolesnego miejsca na policzku.

Udało jej się bez większych problemów dotrzeć do sali, w której leżał tata – nikt jej po drodze nie zaczepiał, chociaż parę osób przyglądało się badawczo. Wzięła głęboki oddech, a po-

tem zapukała i otworzyła drzwi. Zajrzała za zasłonę i zobaczyła, że mama przysnęła z głową na nodze taty. W pomieszczeniu słychać było znajome dźwięki: pikanie aparatury do pomiaru uderzeń serca, cichy świst pompy tłoczącej tlen przez rurkę do nosa, brzęczenie aparatu do pomiaru ciśnienia. Przez ostatnie trzy tygodnie dźwięki te napawały ją lękiem, teraz jednak przyniosły ulgę. Tata żył, nawet jeśli ledwo ledwo.

Mama gwałtownie otworzyła oczy.

– Laurel? Laurel? – Podniosła się chwinnie i podbiegła do córki, a potem objęła ją mocno. – Gdzie ty się podziewałaś?! Byłam przerażona, kiedy nie wróciłaś na noc. Już myślałam... nawet nie wiem, co myślałam. Milion strasznych rzeczy naraz. Gdyby nie to, że tak się cieszę, że cię widzę – powiedziała, potrząsając lekko ramionami córki – dalabym ci szlaban na miesiąc – to mówiąc, zrobiła krok do tyłu i spojrzała na Laurel. – Co ci się stało? Wyglądasz okropnie.

Laurel rzuciła się ponownie w objęcia mamy – objęcia, o których myślała czule, uwięziona w mętnych wodach rzeki Chetco.

– To była długa noc – powiedziała głosem drżącym od wstrzymywanych łez.

Mama przytuliła się do niej mocno, a ona spojrzała ponad jej ramieniem na tatę. Już tak długo leżał w szpitalu, że trudno jej było sobie wyobrazić, jak budzi się i wstaje.

– Mam coś dla taty – zaśmiała się i odsunęła od mamy. – Dla ciebie też coś mam. Nigdy nie należy wracać z wycieczki z pustymi rękoma, prawda?

Mama spojrzała na nią z dziwną miną, a Laurel dalej śmiała się do siebie.

Podeszła do łóżka taty i przysunęła sobie obrotowy stół blisko jego głowy.

– Nie pozwól tu nikomu wejść – powiedziała i wyjęła z kieszeni buteleczkę.

– Laurel, co...

– To nic złego, mamó. Tata się po tym lepiej poczuje – to mówiąc, zdjęła nakrętkę i zassała odrobinę cennej cieczy do zakraplacza, a następnie pochylała się ostrożnie nad ojcem i wycisnęła mu do ust dwie polyskujące krople niebieskiego eliksiru. – Teraz już będzie dobrze – powiedziała, podnosząc wzrok.

– Skąd to wzięłaś? – Mama patrzyła na nią z otwartymi ustami.

– Nie zapytasz o swój prezent? – Laurel próbowała uniknąć odpowiedzi.

Mama opadła na stojący przy łóżku fotel, a Laurel przysunęła do niej swój stół. Milczała przez kilka sekund: zastanawiała się, od czego zacząć. Bo od czego można zacząć tak skomplikowaną opowieść? Spojrzała na zegarek i odchrząknęła.

– Mamo, pan Barnes dzisiaj nie przyjdzie. – Mama otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Laurel nie dała jej dojść do słowa. – Już nigdy nie przyjdzie. Mam nadzieję, że już go nigdy więcej nie zobaczysz. On nie jest tym, za kogo się podaje.

– Ale... – zaczęła mama, która zbladła, słysząc te słowa. – Ale przecież ziemia... I pieniądze! Nie wiem, jak... – nie dokończyła. Po policzkach popłynęły jej łzy.

– Wszystko będzie dobrze, mamó. – Laurel położyła rękę na jej ramieniu. – Wszystko będzie dobrze.

– Laurel, już o tym rozmawialiśmy. Nie ma innego rozwiązania.

– Jest – odparła dziewczyna, wyjmując z kieszeni diament.

Mama patrzyła nerwowo to na klejnot, to na córkę.

– Skąd to masz, Laurel? – zapytała surowym tonem, nie spuszczać wzroku z polyskującego kamienia.

– Poproszono mnie, żebym złożyła ci ofertę.

– Laurel, przerażasz mnie – powiedziała mama drżącym głosem.

– Nie, nie denerwuj się. Wszystko jest w porządku. Jest... – zawahała się. – Jest ktoś, kto chciałby, żeby ta ziemia została w naszej rodzinie. A konkretnie: żebym ja została jej właściciel-

ką. Proszono mnie, żebym przekazała ci ten diament w zamian za przepisanie posiadłości na mnie.

– Na ciebie? – zapytała mama po dłuższym milczeniu. Cały ten czas wpatrywała się w córkę.

Laurel skinęła głową.

– W zamian za to? – mama wskazała ręką diament.

– Właśnie tak.

– I za uratowanie taty?

– Tak.

– Nic z tego nie rozumiem.

Laurel popatrzyła na klejnot. Przez całą drogę z Orick próbowała się zdecydować, co powiedzieć мамie, ale nie mogła. Teraz nadeszła ta chwila, a ona nadal szukała właściwych słów.

– Mamo... Ja... ja nie jestem taka jak ty.

– Jak to? Co chcesz przez to powiedzieć?

Laurel wstała i podeszła do drzwi. Zamknęła je, żałując, że nie ma klucza, a potem wróciła do mamy.

– Nie zastanawiałaś się nigdy, dlaczego jestem inna?

– Nie jesteś inna, jesteś cudowna – i śliczna. Nie wiem, czemu w to wątpisz.

– Dziwnie się odzywiam.

– Ale zawsze byłaś zdrowa. I...

– Nie mam tętna.

– Slucham?

– Nie krwawię.

– Laurel, to śmie...

– Nie, mamo. Kiedy ostatni raz się skaleczyłam? Kiedy ostatnio widziałaś moją krew? – zapytała podniesionym głosem.

– Ja... ja... – Mama rozejrzała się bezradnie dookoła. – Nie pamiętam – powiedziała słabym głosem.

I wtedy wszystko, wszystko nabrało nagle sensu.

– Nie pamiętasz – powiedziała cicho Laurel. – Oczywiście, że nie pamiętasz. – Na pewno dziesiątki razy czyścili мамie pa-

mięć, kiedy zaczynała coś podejrzewać. Przy setkach okazji, kiedy coś było nie tak. Laurel poczuła, że uginają się pod nią nogi.

– Och, mamo. Tak mi przykro.

– Laurel, odkąd tu weszłaś, nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.

– Sara? – ochrypli, słaby głos sprawił, że obie obróciły się gwałtownie.

– Mark! Odzyskałeś przytomność! – zawołała mama, zapominając o rozmowie z Laurel.

Stały po obu stronach łóżka i głośkały go po rękach.

Tata rozejrzał się powoli po pomieszczeniu, a jego wzrok zarejestrował skomplikowaną aparaturę medyczną, pikającą i buczącą dookoła łóżka.

– Gdzie ja, u licha, jestem? – zapytał chrapliwie.

Kiedy Laurel wróciła na parking w czystej bluzce swojej mamy, Dawid siedział na bagażniku samochodu i czekał.

– Wszystko dobrze? – zapytał cicho.

– Tak. – Uśmiechnęła się. – A raczej będzie dobrze.

– Twój tata odzyskał przytomność?

Pokiwała głową z uśmiechem.

– Coś w tym rodzaju, bo nadal jest pod wpływem morfiny i środków usypiających, ale myślę, że gdy przestaną działać, będzie mógł wracać do domu – wyjaśniła, po czym usiadła obok Dawida na bagażniku. Objął ją, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

– A jak zareagowała twoja mama? – zapytała.

– Całkiem dobrze, zważywszy na to, że kłamałem jak najęty – zaśmiał się. – Powiedziałem jej, że zostawiłem komórkę w samochodzie, a my zasnęliśmy w szpitalu – wyjaśnił i spojrzal na trzymany w ręku telefon. – No, polowa z tego jest w zasadzie prawdą.

Laurel przewróciła oczami.

– Zrobiła mi wykład i powiedziała, że jestem nieodpowiedzialny, ale nie zabroniła jeździć samochodem ani nic takiego. To pewnie dzięki tobie – mama wie, że ci pomagam.

– Tak – westchnęła Laurel.

Mama Dawida nigdy nie pozna nawet połowy prawdy.

– Ale nie mam pojęcia, jak zareaguje, gdy zobaczy to – Dawid wskazał na wielkiego siniaka na twarzy. – No i to – wyciągnął ramię, na którym widniała podłużna rana. – Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, co mogło być w tej rzece. Pewnie powinienem iść na zastrzyk przeciwężcowy czy coś w tym stylu. A może nawet na założenie szwów. – Zaśmiał się ponuro. – Będę musiał wymyślić jakieś wytłumaczenie.

Laurel wpatrywała się przez kilka sekund w szeroką, czerwona ranę, a potem podjęła decyzję. Kto, jeśli nie Dawid, najbardziej na to zasługiwał? Wyjęła z kieszeni buteleczkę z eliksirem i ostrożnie ją odkręciła.

– Co ty robisz? – zapytał.

– Ciii – szepnęła i odwróciła jego głowę, by przybliżyć policzek.

Wycisnęła kroplę płynu na palec i rozsmarowała na fioletowym sińcu.

– Może szczypać – ostrzegła, a potem wpuściła drugą kroplę do rany na rękę chłopaka.

Nie zdążyła schować buteleczki z powrotem do kieszeni, a siniak już zniknął niemal całkowicie. Dawid wpatrywał się z otwartymi ustami w ranę; widział, jak błędnie i z intensywnie czerwonej przeradza się w mgnięciu oka w bladoróżową. Za kilka minut nie będzie po niej śladu.

– To właśnie zaaplikowałaś swojemu tacie? – zapytał, nadal przyglądając się znikającej ranie.

Laurel potwierdziła.

– Nawet się nie obejrzyj, jak stanie na nogach – zaśmiał się Dawid. – To bardzo dobrze. Mam już serdecznie dosyć tego, jak mną pomiatasz w tej księgarni – dodał z udawanym oburzeniem. – Nie wiem, czy wiesz, ale mam swoje prawa – powiedział i zaczął się śmiać, bo uderzyła go w ramię. Chwycił ją za nadgarstki i trzymał tak długo, aż nie dała za wygraną. – Kiedy wracacie do domu?

– Nie wiem. Chyba nie będą taty trzymać w szpitalu – może wypuszczą go nawet w ten weekend.

– Jesteś pewna, że to coś wyleczy go ze wszystkiego?

– Jestem pewna.

– Ja właściwie też – zaśmiał się, patrząc na zupełnie zagojone ramię, a potem zamilkł na chwilę. – Co powiedziałaś mamie?

Laurel westchnęła.

– Zaczęłam mówić prawdę, ale wtedy obudził się tata. Muszę jej coś powiedzieć, ale sama nie wiem co.

– Prawda będzie chyba najlepsza. Ale może nie cała – na twoim miejscu pominąłbym opowieść o trollach i o tym, że rodzice gościli w domu morderczego potwora.

Laurel skinęła głową.

– Ale powinni znać prawdę o tobie. Żebyś nie musiała się ukrywać we własnym domu.

Ich palce sploty się i Dawid ścisnął dłoń Laurel.

– Wróżki, trolle – co jeszcze istnieje na świecie, w co wcześniej nigdy bym nie uwierzył? Jeszcze cudowne leki – dzięki, tak w ogóle.

– To było sprawiedliwe. Przeze mnie musiałyście tyle przejść... I nie mam na myśli tylko trolli.

– Wiedziałem, w co się pakuję – powiedział i wzruszył ramionami. – To znaczy... nie wiedziałem wszystkiego, ale zdawałem sobie sprawę z tego, że jesteś inna. Odkąd cię zobaczyłem, wiedziałem, że jest w tobie coś... coś szczególnego – Dawid przesunął palcem po jej policzku. – I miałem rację.

APRILYNNE PIKE

– Szczególnego? – Skrzywiła się. – Tak to nazywasz?

– Tak – odparł. – Właśnie tak.

Dawid zamilkł i sięgnął po jej dłoń. Odwrócił ją i przykrył obiema rękoma. Przez moment przyglądał się Laurel w milczeniu, a potem musnął jej policzek i przyciągnął ją bliżej. Nie protestowała, kiedy dotknął ustami jej warg; było to delikatne niczym pocałunek wiatru. Odsunął się do tyłu i popatrzył na nią.

Nie poruszyła się i nie odezwała. Jeśli miał zamiar zaangażować się w to wszystko, czym stało się jej życie, musiała to być jego niezależna decyzja. Laurel wiedziała, czego chce, ale teraz nie chodziło już tylko o nią.

Dawid zawahał się przez chwilę, a potem przytulił dziewczynę mocno i pocałował jeszcze raz, dłużej. Niemal westchnęła z ulgą i objęła go w pasie. Jego wargi były delikatne, ciepłe i miękkie – jak cały Dawid.

Po chwili chłopak stanął naprzeciwko i wziął Laurel za rękę. Milczeli, bo nic nie trzeba było mówić. Laurel uśmiechnęła się, pogłaskała go po policzku i zsunęła się z bagażnika.

Dawid usiadł za kierownicą, nie spuszczać z niej wzroku. Pokiwała mu i patrzyła, jak wycofuje samochód z parkingu i wyjeżdża na drogę, z powrotem do normalności.

– Jesteś pewna, że chcesz iść sama? – zapytała mama, zatrzymując się na wyboistym podjeździe.

– Mogą nie wyjść, jeśli się pojawisz – odparła Laurel. – Nic mi tu nie grozi. – Uśmiechnęła się do gęstych zarośli. – Nie ma chyba drugiego miejsca na ziemi, w którym byłabym równie bezpieczna – dodała.

Ostatnie trzy dni spędziła na udowadnianiu rodzicom, że jest wróżką, a prawie cały ranek próbowała ich przekonać, że w ich dobrze pojętym interesie leży przyjęcie propozycji Jamisona. Rodzice byli nastawieni sceptycznie, ale ich obiekty stawały się kompletnie nieistotne w świetle tego, że wróżki uratowały przecież życie tacie. Niebagatelne znaczenie miała też wstępna wyce-
na nieoczlifowanego diamentu: jak się okazało, był wart prawie osiemset tysięcy dolarów.

Laurel nachyliła się i ucisnęła mamę.

– Ale wrócisz, prawda? – zapytała mama.

Uśmiechnęła się, bo przypomniała sobie, że Dawid zadał to samo pytanie.

– Tak, mamó. Wrócę.

Wysiadła z samochodu na chłodne, ostre powietrze. Niebo wyglądało ponuro, a gęste ciemne chmury zwiastowały deszcz. Postanowiła, że nie potraktuje tego jako złego znaku. „Po prostu idzie zima” – mruknęła pod nosem. Ale i tak przycisnęła do piersi torbę z mokasynami, jakby miała ją ona chronić przed złymi wieściami, które mogły się czaić wśród drzew.

Wieści nie mogą być złe. Nie mogą! Weszła do lasu i ruszyła ścieżką prowadzącą do strumienia. Wiedziała, że na pewno jest otoczona wartownikami, ale nie odważyła się zawołać – nie była zresztą pewna, czy potrafiłaby wykrztusić choć słowo, gdyby nawet się do tego zmusiła.

Doszła do rwącego strumienia i położyła torbę na glazie, na którym siedziała, gdy zobaczyła Tamanego po raz pierwszy. Teraz też na nim usiadła. Czekala. Po prostu czekała.

– Witaj, Laurel.

Poznałaby ten głos wszędzie, prześladował ją w snach od czterech dni. Nie, to nieprawda – od dwóch miesięcy. Odwróciła się i rzuciła w ramiona Tamanego, czując, że zalewa ją fala ulgi, a jej lzy moczają mu koszulę.

– Powiniennem częściej dawać się postrzelić – powiedział, obejmując ją mocno.

– Nigdy w życiu już tego nie rób – wyszochalała, nie odrywając się od jego piersi.

Jego koszule były zawsze takie miękkie... W tym momencie pragnęła na zawsze przytulać się do tej mięciutkiej tkaniny. Dłonie Tamanego mierzwiły jej włosy, głaskały ramiona, ścierały łzę ze skroni – wszystko jednocześnie. A przy tym cały czas szeptał słowa, których nie rozumiała, słowa, które przynosiły jej otuchę, zupełnie jakby były zaczarowane. Nie miało dla niej znaczenia, że magia Tamanego nie jest wielka. Dla niej on cały był magią.

Kiedy go w końcu puściła, ze śmiechem otarła lzy.

– Tak się cieszę, że cię widzę! Wszystko w porządku? Minęły dopiero cztery dni...

– Jestem trochę obolała. – Tamani wzruszył ramionami. – Teoretycznie nie jestem tu na służbie; mam odzyskiwać siły. Ale wiedziałem, że przyjdiesz, i chciałem tu być – powiedział, po czym pochylał się do przodu i odgarnął jej kosmyk włosów za ucho.

– P-p-przyniosłem z powrotem – wyjąkała, podając mu torbę z mokasynami.

Bliskość Tamanego jak zwykle przyprawiała ją o dreszcz.

– Zrobiłem je dla ciebie. – Tamani pokręcił głową.

– Kolejna rzecz, dzięki której nie będę mogła o tobie zapomnieć? – zapytała, dotykając pierścionka zawieszzonego na szyi.

– Takich rzeczy nigdy za wiele – odparł i obiegł wzrokiem polankę, a potem odchrząknął. – Ale po kolei – powiedział. – Otrzymałem zadanie: mam się dowiedzieć, jak została przyjęta propozycja wrózek.

– Całkiem pozytywnie – odpowiedziała podobnie pseudooficjalnym tonem. – Wkrótce zostaną przygotowane stosowne dokumenty – dodała i przewróciła oczami. – Pewnie potraktują to jako prezent gwiazdkowy dla mnie.

Tamani zaśmiał się i przyciągnął ją do siebie.

– Chodźmy stąd – powiedział. – Drzewa mają oczy.

– To chyba nie drzewa – zauważyła sarkastycznie.

– Może i nie – zaśmiał się. – Chodźmy tędy.

Chwycił ją za rękę i poprowadził ścieżką, która wila się tam i z powrotem, ale nie wiodła w żadne konkretne miejsce.

– Z twoim tatą wszystko w porządku? – zapytał Tamani, ścisnąc jej palce.

– Dzisiaj po południu wypisują go ze szpitala – odpowiedziała z uśmiechem. – Tata zamierza od jutra wracać do pracy. To dlatego tu jestem – dodała, poważniejąc. – Za parę godzin wracamy wszyscy do Crescent City – wyjaśniła, przypatrując się własnym stopom. – Nie wiem, kiedy znowu przyjadę.

Tamani odwrócił się i spojrzał na nią, a w jego oczach kryła się głębia czegoś, czego nie potrafiła określić.

– To ma być pożegnanie?

– Tak.

Tamani przesunął bosą stopą opadłe liście.

– Co to oznacza? Wybierasz Dawida?

Laurel nie przyjechała po to, żeby rozmawiać o Dawidzie.

– Chciałabym, żeby było inaczej, ale nie mogę na razie żyć w twoim świecie, Tamani. Muszę wracać do mojego. Jak sobie to wyobrażasz: miałabym prosić co jakiś czas mamę albo Dawida, żeby przywieźli mnie do mojego chłopaka?

Tamani odwrócił się i zaczął iść przed siebie, ale Laurel podążyła za nim.

– Mam pisać do ciebie listy czy może telefonować? Nie mam wyboru.

– Mogłabyś zostać – powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszała.

– Zostać?

– Mogłabyś zamieszkać... ze mną – powiedział. A potem mówił dalej, nie dając jej dojść do słowa: – Wkrótce będziesz właścicielką tej ziemi. Tu jest dom. Mogłabyś zostać!

Oczami wyobraźni Laurel ujrzała cudowne życie z Tamanim, ale przepędziła te myśli.

– Nie, Tam. Nie mogę.

– Przecież mieszkałaś tu kiedyś i było dobrze.

– Dobrze? Nic nie było dobrze. Nie spuszczaście ze mnie oka, a moich rodziców faszzerowaliście eliksirami zapomnienia, jakby to była woda!

– Domyśliłaś się? – Tamani wbił wzrok w ziemię.

– To jedyne logiczne wytłumaczenie.

– Mnie też się to nie podobało.

– Czy... – zaczęła Laurel i wzięła głęboki oddech. – Czy mnie też czyściliście pamięć, kiedy już się tu znalazłam?

– Czasami. – Tamani nie patrzył jej w oczy.

– Ty też to robiłeś? – zapytała ostrożnie.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, a potem pokręcił przecząco głową.

– Nie mógłbym – odparł. Przynal się bliżej i dodał bardzo cicho, ledwie słyszalnym głosem: – Raz powinienem. Ale nie mogłem.

– Co się wtedy stało?

– Szkoda, że nie pamiętasz – powiedział, drapiąc się w szyję.

– Przepraszam.

Tamani wzruszył ramionami.

– Byłaś dzieckiem, a ja dopiero zostałem wartownikiem – pełniłem straż może od tygodnia. – Zapomniałem się i zobaczyłaś mnie.

– Widziałam cię?

– Tak. Miałas może dziesięć ludzkich lat. Położyłem palec na ustach, żebyś nic nikomu nie mówiła, i schowałem się za drzewo. Patrzyłaś na mnie przez chwilę, a po godzinie chyba zapomniałaś o tym spotkaniu.

Laurel stała przez dłuższy czas w milczeniu.

– Pamiętam jak przez mgłę. To byłeś ty?

– Pamiętasz? – ucieszył się Tamani.

– Ledwo – powiedziała i opuściła wzrok, a potem odchrząknęła. – A co z moimi rodzicami? Czyścili im kiedykolwiek pamięć?

– Parę razy – westchnął. – Musiałem – dodał, zanim zaczęła protestować. – Na tym polegało moje zadanie. Ale tylko ze dwa-trzy razy. Zanim się tu pojawiłem, zrobiłaś się bardziej ostrożna i nie trzeba cię było już tak często kryć. A kiedy twoi rodzice zaczęli coś podejrzewać, starałem się przysłać kogoś innego – powiedział i wzruszył ramionami. – Zawsze byłem zdania, że to w ogóle beznadziejny plan.

– Dzięki – powiedziała po krótkim milczeniu.

– Nie gniewaj się. Gdybyś teraz została, byłoby inaczej. Teraz już wszystko wiesz. Nawet twoi rodzice wiedzą, nie trzeba byłoby nic robić.

– Muszę zostać z rodzicami. Grozi im niebezpieczeństwo. Otrzymałam zadanie: mam chronić moją rodzinę, nie mogę się teraz od niej odwrócić. To ludzie – i może dla ciebie są przez to gorsi – ale ja ich kocham i nie zostawię na pastwę pierwszego lepszego trolla, który przyjdzie, zwabiony ich zapachem. O nie!

– Więc po co tu jesteś? – zapytał z goryczą w głosie.
Przez chwilę nie odpowiadała, próbując zapanować nad emocjami.

– Czy ty wiesz, jak bardzo chciałabym tu zostać? Uwielbiam ten las. Uwielbiam... – zawahała się – przebywać z tobą. Słuchać o Avalonie, czuć magię tych drzew. Za każdym razem, kiedy stąd wyjeżdżam, zastanawiam się, dlaczego to robię.

– Więc dlaczego wyjeżdżasz? – zapytał głośniejszym głosem. – Zostań – powiedział nakazującym tonem i chwycił ją za ręce. – Zabiorę cię do Avalonu. Do Avalonu, Laurel. Możesz tam iść. Możemy tam iść razem.

– Tamani, przestań! Nie mogę. Po prostu nie mogę stać się teraz częścią twojego świata.

– Twojego świata.

– Mojego – przyznała niechętnie. – Jestem potrzebna mojej rodzinie, muszę wracać do mojego ludzkiego życia.

– Z Dawidem.

Pokręciła głową z frustracją.

– Tak, jeśli musisz wiedzieć. Dawid jest dla mnie kimś ważnym. Ale już ci powiedziałam, że wcale nie chodzi o wybór pomiędzy nim i tobą. Nie próbuję zdecydować, który z was jest moją prawdziwą miłością. To nie o to chodzi.

– Może dla ciebie to nie jest ważne – odpowiedział. Mówił cicho, niemal niesłyszalnie, ale uderzyło ją to, ile emocji kryją jego słowa. – Co jeszcze jest potrzebne, Laurel? Zrobiłem wszystko, co tylko mogłem. Dalem się postrzelić, żeby ciebie chronić. Powiedz, co jeszcze mogę zrobić, a ja to uczynię. Cokolwiek, bylebyś tylko została.

Zmusiła się do tego, żeby spojrzeć mu w oczy – pełne uczuć, których nigdy nie potrafiła nazwać. Zaszło jej w ustach i z trudem odnalazła własny głos.

– Dlaczego mnie tak kochasz, Tamani? – zadała pytanie, które męczyło ją od długich tygodni. – Przecież właściwie mnie nie znasz.

Nad ich głowami zadudniło niebo.

– A jeśli... jeśli to nieprawda?

Miała wrażenie, że stoją nad brzegiem przepaści. Nie była pewna, czy ma w sobie dość siły, by ją przeskoczyć.

– Jak to możliwe? – szepnęła.

Tamani wbil w nią płomienny wzrok.

– A gdybym ci powiedział, że twoje i moje życie sploty się ze sobą dawno temu? – to mówiąc, Tamani splótł swoje palce z jej palcami i uniósł połączone dłonie.

– Nie rozumiem – powiedziała Laurel, patrząc na ręce.

– Powiedziałem ci, że miałaś siedem lat, kiedy przyszałaś do świata ludzi. W świecie wróżek byłaś jednak dużo starsza. Miałaś swoje życie, Laurel. Miałaś przyjaciół – zamilkł na chwilę, a Laurel widziała, że próbuje zapanować nad emocjami. – Miałaś mnie – szepnął ledwo słyszalnie. – Znałaś mnie, Laurel, a ja znalazłem ciebie. Byliśmy przyjaciółmi, dobrymi przyjaciółmi. Prosiłem, żebyś nie odchodziła, ale powiedziałaś, że to twój obowiązek. To od ciebie nauczyłem się obowiązkowości i odpowiedzialności. – Tamani spuścił wzrok i uniósł jej dłoń do piersi. – Obiecałaś, że postarasz się o mnie pamiętać, ale oni kazali ci zapomnieć. Myślałem, że umrę, kiedy spojrzałaś na mnie po raz pierwszy i mnie nie poznałaś.

Oczy Laurel zaszyły łzami.

– Skłamałem w kwestii tego pierścionka – powiedział cichym, poważnym głosem. – On nie był przypadkowy. Należał kiedyś do ciebie. Dalaś mi go i powiedziałaś, że mam ci go oddać, gdy przyjdzie właściwa pora. Sądziłaś... miałaś nadzieję, że dzięki temu przypomnisz sobie swoje poprzednie życie. Najwyraźniej tak się nie stało. – Tamani wzruszył ramionami. – Ale ja obiecałem, że spróbuję.

Laurel stała w milczeniu, chociaż na ramiona kapła jej zimny deszcz.

– Nigdy z ciebie nie zrezygnowałem, Laurel. Przysiągłem sobie, że znajdę sposób, żeby wrócić do twojego życia. Najwcześ-

niej, jak się dalo, zostałem strażnikiem i zgłaszałem się do każdego zadania przy tej bramie. Jamison mi pomagał. Zawdzięczać mu naprawdę wiele, nigdy nie będę w stanie mu się odwdziżyć – powiedział Tamani, po czym uniósł dlonie Laurel do ust i pocałował delikatnie kostki. – Obserwowałem cię przez lata. Patrzyłem, jak z dziecka przeradzasz się w dojrzałą wróżkę. Byliśmy fantastycznymi przyjaciółmi w dzieciństwie, a przez ostatnie pięć lat towarzyszyłem ci niemal codziennie. Czy to takie dziwne, że się w tobie zakochałem?

Laurel milczała, bo cóż mogła powiedzieć?

Tamani zaśmiał się cicho.

– Przychodziłaś tu i siadałaś przy strumieniu – grałaś na gitarze i śpiewałaś, a ja słuchałem, siedząc na drzewie. To było moje ulubione zajęcie: śpiewasz naprawdę pięknie.

Grzywka opadała mu teraz na czoło mokrymi kosmykami. Laurel powoli przesuwała po nim wzrok: spojrziała na jego miękkie czarne spodnie, związane pod kolanami, obcisłą zieloną koszulę, opinającą klatkę piersiową, wreszcie symetryczną twarz o rysach tak idealnych, że ludzie mogą o nich tylko marzyć.

– Czekaleś na mnie tak długo? – szepnęła.

Tamani skinął głową.

– I będę czekać jeszcze dłużej. Kiedyś wrócisz do Avalonu, a gdy nastąpi ten dzień, pokażę ci, co mam ci do zaoferowania w moim świecie. W naszym świecie. Wybierzesz mnie. Wrócisz ze mną do domu – powiedział i chwycił jej twarz w swoje dlonie.

– Nie wiesz tego, Tamani – powiedziała Laurel.

Łzy piekły ją pod powiekami.

Oblizła nerwowo usta, a potem zmusił się do uśmiechu.

– Nie – powiedział ochryple. – Nie wiem.

Ręce, które trzymał na jej twarzy, jeszcze sekundę wcześniej wydawały się lodowate. Teraz gładził ją po policzkach palcami gorącymi od żaru w oczach.

– Ale muszę w to wierzyć. Muszę mieć nadzieję.

Laurel chciała mu powiedzieć, żeby zszedł na ziemię, żeby przestał żyć tym, co może nigdy się nie zdarzyć. Nie potrafiła jednak wykrztusić z siebie tych słów: nawet niewypowiedziane wydawały się fałszywe.

– Będę czekał, Laurel – tak długo, jak to będzie konieczne. Nigdy z ciebie nie zrezygnowałem – powiedział, przyciskając usta do jej czoła. – I nigdy nie zrezygnuję.

Przyciągnął ją do siebie w milczeniu. Przez krótką chwilę na świecie nie istniał nikt oprócz tych dwojga na maleńkim kawałku leśnej dróżki.

– Chodź – powiedział w końcu Tamani. – Twoja mama będzie się niepokoić.

Szli wijącą się ścieżką i trzymali się za ręce. W końcu Laurel zaczęła rozpoznawać las dookoła.

– Zostawię cię tutaj – odezwał się w miejscu, z którego było już widać skraj lasu.

– Nie na zawsze – obiecała.

– Wiem.

Laurel podniosła cienki, srebrny łańcuszek i przyjrzała się pierścionkowi – teraz doceniała jeszcze bardziej jego wagę.

– Będę o tobie myśleć, tak jak obiecałam.

– A ja będę myślał o tobie – jak codziennie. Żegnaj, Laurel.

Odwrócił się i ruszył z powrotem krętą ścieżką, a Laurel nie spuszczała oczu z jego pleców. Miała wrażenie, że każdy oddalający się krok Tamaniego wyrwa jej kawałek serca. Kiedy zielona koszula miała właśnie zniknąć za drzewem, Laurel zacisnęła mocno powieki.

Gdy je podniosła, Tamaniego nie było.

Wydawało jej się, że wraz z nim zniknęła cała magia tego lasu. Umarło życie, które czuła dookoła – magia przenikająca przez bramę Avalonu. Teraz drzewa były puste i bez życia.

– Zaczekaj – szepnęła. Zrobiła krok w stronę, w którą poszedł, i jej nogi same zaczęły biec. – Nie! – z jej gardła dobył się

krzyk, a ona biegła, odpychając gałęzie drzew. – Tamani, zaczekaj! – Mijała kolejne zakręty ścieżki, szukając go wzrokiem. – Proszę, Tamani! – wołała, biegnąc dalej, z nadzieją, że ujrzy fragment zielonej koszuli.

I nagle go zobaczyła: stał na wpół odwrócony, z niepewnym wyrazem twarzy. Nie zatrzymała się, nawet nie zwołniła. Dobiegła do niego, obiema rękoma gwałtownie chwyciła go za koszulę i przyciągnęła do siebie, łapczywie szukając jego ust. Zawirowała w niej fala gorąca, a wtedy przyciągnęła go jeszcze bliżej, jeszcze mocniej. Otoczył ją ramionami, a ich ciała złączyły się w jedną całość, której nawet nie próbowała kwestionować. Poczula na ustach słodycz jego warg. Tamani przyciskał ją do siebie tak, jakby chciał, żeby stała się jego częścią.

Przez chwilę tak się właśnie czuła: jak gdyby ten pocałunek połączył dwa światy, w których przyszło im żyć – choćby na ten krótki, ale wspaniały moment.

Kiedy się oderwali od siebie, z piersi Tamanego wydobyło się westchnienie tak ciężkie, jakby niosło w sobie brzemień wielu lat.

– Dziękuję – szepnął prawie niesłyszalnie.

– Ja... – Laurel pomyślała o Dawidzie, który czekał w domu na jej powrót. Dlaczego, będąc z jednym z nich, potrafiła myśleć tylko o tym drugim? To niesprawiedliwe, że ciągle była taka rozdarta. Nie fair wobec niej, ale i wobec nich. Podniosła wzrok. Zmusiła się, by spojrzeć mu prosto w oczy. – Ja nie wiem, jak to będzie, ale moim rodzicom grozi niebezpieczeństwo. Jestem im potrzebna, Tam – powiedziała, czując, że po policzku splywa jej łza. – Muszę ich chronić.

– Wiem. Nie powinienem był cię prosić.

– Gdyby nie oni, ja...

„Ja co?” – pomyślała.

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

– Nie pamiętam tej małej wróżki, która dała ci pierścionek. Nie pamiętam jej i nie pamiętam ciebie. Ale coś... jakaś część

mnie pamięta. I ta sama część mnie wie, jak bardzo ważny byłeś dla mnie kiedyś. – Laurel spuściła głowę. – I teraz też jesteś dla mnie ważny.

Tamani uśmiechnął się, ale dziwny to był uśmiech, pełen melancholii.

– Dziękuję ci za ten okrucieństwo nadziei, choćby przelotny.

– Zawsze jest nadzieja, Tamani.

– Teraz już jest.

Laurel pokiwała głową i zmusiła się, by puścić koszulę Tamanego. Potem odwróciła się i ruszyła tą samą drogą, którą przyszła.